

Barbara Cartland

Klątwa klanu

The Curse of the Clan



Od Autorki

Wizyta państwowa Króla Jerzego IV w Edynburgu, zorganizowana przez sir Waltera Scotta w 1822 roku, okazała się niebywałym sukcesem.

Istnieje portret pędzla sir Davida Wielkiego, przedstawiający króla w pełnym galowym stroju górali szkockich i królewskim tartanie Stewartów. Tak monarcha pojawił się na przyjęciu w pałacu Holyrood.

Chociaż Jego Królewska Mość, który uwielbiał się stroić, był swym wyglądem zachwycony, otoczenie uznało, iż rajtuzy cielistej barwy włożone przezeń do kiltu stanowiły raczej pocieszny widok.

Mój opis uroczystości na cześć króla, które miały miejsce w szkockiej stolicy, jest oparty na faktach, zaczerpniętych z książki wydanej w Edynburgu tego samego roku.

ROZDZIAŁ 1

1822

- Jak to miło znowu pana u nas widzieć, panie Falkirk.

- Dawno tu nie byłem, pani Barrowfield - niech pomyślę - co najmniej sześć lat.

- Dokładnie mówiąc, minęło siedem od czasu, gdy ostatnio gościł pan u nas. Ale, jak zawsze powtarzam, nigdy nie zapominam twarzy ani przyjaciela, a pana zawsze uważałam za przyjaciela, panie Falkirk.

- Czuję się zaszczycony, szanowna pani.

Szkot lekko skłonił się przed postawną, niechlujną kobietą, potem odchrząknął, jakby zamierzał przejść do rzeczy, i powiedział:

- Zapewne zastanawia się pani, co mnie tu dzisiaj sprowadziło.

- A owszem, głowiłam się nad tym. - Pani Barrowfield zaśmiała się w odpowiedzi. - Nie podejrzewam, że przybył pan dla moich pięknych oczu. Ale uczijmy to.

Co rzekłszy, podniosła się ze starego, trzeszczącego fotela przy kominku i ruszyła przez pokój w kierunku kredensu.

Otworzyła go i wydobyla butelkę porto oraz dwa kieliszki, które ustawiła na okrągłej tacy i przyniosła na stoliczek obok gościa. Ten spojrział z obawą na chwiejny mebel.

Pokój, w którym siedzieli wyglądał ubogo, jego umeblowanie stanowiło zaledwie kilka sprzętów, a ściany rozpaczliwie domagały się odnowienia. Jednak porozstawiane wszędzie tanie drobiazgi, które tak lubią zbierać kobiety w średnim wieku, buzujący na kominku ogień stwarzały pozory przytulności.

- Czy zechce pan odegrać rolę gospodarza? - zapyłała pani Barrowfield z lekką kokieterią.

Uniósł butelkę porto, spojrzął niepewnie na etykietkę i nalał pani Barrowfield pełen kieliszek, sobie zaś nieco więcej niż ćwierć.

- Bardzo pan wstrzemięźliwy - zauważyła gospodyni.

- Na moim stanowisku trzeźwy umysł jest rzeczą niezbędną - odparł pan Falkirk.

- Oczywiście, rozumiem - przyznała pani Barrowfield. - Jak się miewa Jego Wysokość książę?

Pan Falkirk milczał chwilę, zanim odpowiedział:

- Jestem tutaj właśnie z rozkazu księcia.

- Z rozkazu księcia? - pani Barrowfield uniosła brwi. - Miałam nadzieję, że przybywa pan na łaskawe polecenie Jej Wysokości księżnej.

Pan Falkirk sprawiał wrażenie zaskoczonego, więc pani Barrowfield wyjaśniła:

- Matka księcia, księżna Anna, bardzo się interesowała sierocińcem, co pan z pewnością pamięta. Zawsze przysyłano nam indyki na Boże Narodzenie i rzadko zdarzał się rok, w którym nie otrzymałabym dodatkowych funduszy na ulepszenia. Lecz gdy zmarła, wszystko się skończyło.

- Muszę przyznać, że jej wsparcie dla sierocińca umknęło mojej uwagi - zauważył pan Falkirk.

- Tak też pomyślałam - odparła pani Barrowfield z lekką naganą w głosie. - Ale miałam nadzieję, że tradycję podtrzyma młoda księżna.

Pani Barrowfield pociągnęła następny łyk porto i dodała:

- Przecież wszystko zostało w rodzinie, nieprawdaż? Sierociniec powstał, gdy księżna Harriet, babka Jego Wysokości, dowiedziała się, że jedna z dziewczek kuchennych jest w odmiennym stanie i zamiast wyrzucić ją na śnieg, założyła Sierociniec Bezimiennych.

Zachichotała.

- Przed wojną to były czasy, proszę pana, pieniędzy było w bród i ludzie byli hojni.

Pan Falkirk potrząsnął głową.

- Sądzę, że pani wie, iż teraz nie jest tak łatwo.

- Nie musi mi pan tego mówić - odparła ostro pani Barrowfield. - Oszczędzam, jak mogę, oglądam każdy grosz, a i tak trzeba ciągle zaciskać pasa. Sierociniec ma takie same wpływy jak kiedyś, ale ceny rosną. Za żywność trzeba teraz płacić dwa razy tyle, co za moich młodych lat.

- To na pewno prawda - mruknął Szkot.

- Gdy mnie tu przyjęto do pomocy przełożonej, miałam piętnaście lat i już trzy lata pracowałam w innym sierocińcu. Myślałam, że pnę się w górę. - Pani Barrowfield zaśmiała się chrapliwie. - Zapewniam pana, panie Falkirk, że nie miałam zamiaru spędzić tutaj reszty swoich dni, ale tu trafiłam i teraz jestem tu przełożoną, i muszę sobie radzić sama, albo prawie sama, ponieważ nie stać nas na żadną pomoc.

- Nie miałem pojęcia, że jest aż tak źle - powiedział pan Falkirk. - Dlaczego Rada sierocińca nie zawiadomiła księcia?

- Oni! - wykrzyknęła gniewnie pani Barrowfield. - Albo powymierali, albo wcale ich to nie interesuje!

Spostrzegła zaskoczenie malujące się na twarzy gościa i wyjaśniła:

- Pułkownik McNab umarł trzy lata temu, pan Cameron choruje i ma prawie osiemdziesiąt lat, lord Hirchington mieszka na wsi i nie widziałam go na oczy ani nie miałam od niego znaku życia, od kiedy umarła Jej Wysokość.

- Mogę tylko obiecać - odparł pan Falkirk - że przedstawię waszą sytuację księciu, jak tylko wrócę do Szkocji.

- Byłabym panu bardzo wdzięczna - powiedziała pani Barrowfield innym tonem. - Czy pan wie, ile dzieci mam tu w tej chwili?

Pan Falkirk potrząsnął głową.

- Trzydzieścioro dziewięcioro! - krzyknęła pani Barrowfield. - Trzydzieścioro dziewięcioro i właściwie zajmuję się nimi sama. To niedobrze, bardzo niedobrze! Starzeję się. Nie jest mi już tak łatwo jak niegdyś.

Dopiła duszkiem resztę porto i sięgnęła po butelkę.

Patrząc na jej czerwoną twarz, podpuchnięte oczy i dwa czy trzy dodatkowe podbródki, które pojawiły się od czasu ich poprzedniego spotkania, pan Falkirk odgadł, że pani Barrowfield musi się często pocieszać - jeśli nie tanim porto, którym on nie zamierzał rujnować sobie żołądka, to prawdopodobnie ginem, który według niego całkiem słusznie nazwano „upadkiem matek”.

Lecz żadnej z tych myśli nie zdradziła jego spokojna twarz, gdy siedział w fotelu naprzeciwko przełożonej i myślał, że najwyższy czas wyłuszczyć powód swojej wizyty.

Pan Falkirk był wysokim dobrze zbudowanym mężczyzną, wybitnie przystojnym w czasach swej młodości. Z włosami siwiejącymi na skroniach i ze szczupłą figurą, bez grama zbędnego tłuszczu wyglądał niezwykle dystyngowanie. A jako zarządca księcia Arkcraig wzbudzał ogromny podziw.

- Z pewnością przedstawię pani kłopoty Jego Wysokości - powtórzył. - Ale przyjechałem tu, aby poprosić panią...

Nie mógł dokończyć, gdyż pani Barrowfield przerwała mu:

- Niech pan powie Jego Wysokości, że tracimy nasze dobre imię, bowiem nie jesteśmy w stanie dostarczać silnych i zdrowych czeladników, tak jak się tego od nas oczekuje. Zaledwie tydzień temu przyszedł do mnie właściciel kilku szwalni i powiedział: „Chcę od pani dwóch najlepszych chłopców, pani Barrowfield, a nie takich anemicznych pokurczów, jakich mi pani dała w zeszłym roku”. „A co się stało z chłopcami, których panu „przysłałam w zeszłym

roku?" - pytam. „Bóg raczy wiedzieć!" - on na to. „Wiecznie było toto chore i biadolące. Do niczego. Odprawiłem ich - i to bez referencji!"

Pan Falkirk przybrał poważny wyraz twarzy.

- Proszę pani, takie przypadki rzeczywiście nie powinny się zdarzać w sierocińcu, który jest pod patronatem rodziny Jego Wysokości od ponad trzydziestu lat.

- To właśnie próbuję panu powiedzieć, panie Falkirk - rzekła pani Barrowfield. - Można by rzec, że psuje to reputację Jego Wysokości, a chociaż żyjecie tak daleko stąd, żywimy ogromny szacunek dla Szkocji i szkockiej szlachty.

- Dziękuję, pani Barrowfield.

- Dlatego miałam nadzieję - kontynuowała pani Barrowfield - że przekona pan nową księżną, aby do nas przyjechała.

- Księżna nie żyje!

- Nie żyje?

Pani Barrowfield rozwarła usta ze zdumienia i pan Falkirk pomyślał, że bardzo przypomina zdumionego indyka.

- Nie żyje - powiedział cicho. - Jej Wysokość umarła kilka tygodni temu we Francji.

- No nie? Zamurowało mnie! Przecież dopiero niedawno stanęła u ołtarza. Zaraz, niech pomyślę... przecież ona i Jego Wysokość pobrali się może rok temu, nie więcej!

- Dziesięć miesięcy, dokładnie mówiąc - powiedział sucho pan Falkirk.

- A teraz biedaczka odeszła do swego Stwórcy! Co za strata, naprawdę taka strata! A ja nawet jej nie widziałam.

Zaległa cisza. Pan Falkirk, jakby obawiał się, że pani Barrowfield zasypie go pytaniami, powiedział szybko:

- Jego Wysokość pojechał na północ, a mi rozkazał, abym przywiózł ze sobą jedną z pani sierot, gdy będę wracał.

- Moją sierotkę?! - wykrzyknęła pani Barrowfield. - Sądzę, że Jego Wysokość chce chłopca do pracy w kuchni albo w spiżarni. Niech pomyślę...

- Nie. Nie takie instrukcje otrzymałem od Jego Wysokości - przerwał pan Falkirk. - Potrzebuję dziewczęcia, ale dziewczęcia, które skończyło szesnasty rok.

- Szesnasty rok! Pan żartuje! - prychnęła pani Barrowfield. - Wie pan równie dobrze jak i ja, panie Falkirk, że nie trzymamy tutaj nikogo dłużej niż do dwunastego roku życia, a jeżeli można, to jeszcze krócej. - Zawahała się, a potem dodała: - I chociaż może sama nie powinnam tego mówić, nasze dziewczęta są znane ze swoich dobrych manier. Przynajmniej wiedzą, jak odzywać się z szacunkiem do starszych i lepszych od siebie, czego nie można powiedzieć o większości dzisiejszej młodzieży.

- Rzeczywiście to prawda - przytaknął pan Falkirk. - Lecz Jego Wysokość był przekonany, że znajdzie się u pani takie dziewczę, jakiego potrzebuje.

- Księżna Harriet zawsze dawała mi do zrozumienia, że na wasze potrzeby wystarcza wam młodzież Szkocji - powiedziała pani Barrowfield. - Jej Wysokość raz wzięła ode mnie dwójkę dziewcząt, gdy przebywała w rezydencji w Londynie. Wierzę, że była z nich bardzo zadowolona.

Uśmiechnęła się z ogromnym samozadowoleniem i ciągnęła:

- Wiele lat później jedna z nich przyszła mnie odwiedzić. Wyszła za mąż za lokaja. Ładna była, bestyjka. Zawsze uważałam, że uda się jej wydać za mąż, jeśli trafi się mężczyzna, który przymknie oczy na jej niefortunne pochodzenie.

- Czy jest pani absolutnie pewna, że nie ma tu żadnego dziewczęcia w odpowiednim wieku? - naciskał pan Falkirk.

- W zupełności! - odparła pani Barrowfield. - Mamy tu przeważnie bardzo małe dzieci. I tylko niebiosy wiedzą, jak trudno się nimi opiekować. Nie mam pojęcia, co zrobiłabym bez Tary!

- Tara? - zapytał pan Falkirk. - Czy to ta, która otworzyła mi drzwi?

- Ta właśnie. Ona opiekuje się maluchami. Zawsze powtarzam, że je rozpuszcza, ale trudno oczekiwać rozsądku u kogoś młodego. - Pani Barrowfield znowu zaśmiała się głośno. - Inaczej było za czasów starej przełożonej. Uważała, że najlepszym sposobem na uspokojenie dzieci są różgi. Czy były dobre, złe czy nijakie, była wszystkie i, muszę przyznać, czasami myślę, że jej metody były lepsze od moich. Za dobra jestem - cały mój kłopot.

- Jestem pewien, że to, iż jest pani litościwa dla tych nieszczęśliwych dzieci, przemawia na pani korzyść, pani Barrowfield - powiedział pan Falkirk. - Lecz wróćmy do Tary.

- Mówiłam właśnie... - zaczęła pani Barrowfield i urwała.
- Chyba nie chce pan powiedzieć... pan nie zamierza...

Z hukiem odstawiła pusty kielich na stół.

- O nie, szanowny panie, nie pozwolę, i tyle! Nie zabierze mi pan Tary! W całym tym domu tylko na niej mogę polegać. Kogo mam jeszcze do pomocy? Parę roztrzęsionych staruch, które nie znajdą pracy nigdzie indziej i które sprawiają mi więcej kłopotu, niż są tego warte, a jeszcze muszę im płacić. Niech pan bierze którekolwiek dziecko, wszystkie nawet, jeśli to panu odpowiada, ale nie Tarę!

- Ile ona ma lat? - zapytał pan Falkirk.

- Niech pomyślę... blisko osiemnaście, jak sądzę. Tak, właśnie tyle. Znalazła się tutaj w tysiąc osiemset czwartym, w rok po tym, jak ten diabeł Napoleon znowu zaczął wojnę. Pamiętam, bo zima była straszna i ceny żywności skoczyły. Cena węgla dwukrotnie!

- Więc Tara ma prawie osiemnaście lat - powiedział pan Falkirk. - Obawiam się, pani Barrowfield, że jeśli nie ma pani nikogo innego, będę musiał zastosować się do rozkazu Jego Wysokości i zabrać ją ze sobą do Szkocji.

- Po moim trupie! - wybuchnęła pani Barrowfield. - Nie pozwolę, panie Falkirk. Nie pozwolę, by pozostawiono mnie z trzydziestoma dziewięcioma rozwrzeszczanymi, rozbrykanymi dziećmiakami, z których większość nie potrafi nawet o siebie zadbać.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, a jej twarz stała się purpurowa, aż obserwujący ją Szkot zaczął się obawiać, że przełożona dostanie wylewu.

- Jeżeli odejdzie Tara, odejdę i ja. I co pan na to?

Usiadła, jakby nie mogła ustać na nogach, i zaczęła wachlować się kawałkiem papieru podniesionym ze stolika.

- Przykro mi, że panią zdenerwowałem, pani Barrowfield - powiedział pan Falkirk - lecz wie pani równie dobrze jak ja, że muszę postępować zgodnie z życzeniami Jego Wysokości.

- To niesprawiedliwe! - odparła pani Barrowfield głosem nabrzmiałym od powstrzymywanych łez. - To niesprawiedliwe! Pomiatają mną i wykorzystują mnie, i nikogo nie obchodzi mój los! Jego Wysokość ma pełno dziewcząt w Szkocji i nie musi zabierać jedynej, która się do czegokolwiek nadaje w sierocińcu założonym przez jego zmarłą babkę.

Głos pani Barrowfield niebezpiecznie się załamał, więc pan Falkirk czym prędzej nalał następny kieliszek porto i włożył go jej do ręki. Wzięła go z wdzięcznością, wypłała połowę jednym haustem i opadła na oparcie fotela, łapiąc oddech i usiłując odzyskać panowanie nad sobą.

- Mogę pani przyrzec jedno - powiedział pan Falkirk cicho - pozostawię pani tyle pieniędzy, aby wystarczyło na zatrudnienie lepszej pomocnicy niż ta, którą ma pani teraz, i

obiecuję, że jak tylko powrócę do Szkocji, nakłonię księcia do przekazania większej sumy na potrzeby sierocińca.

Odniósł wrażenie, iż jego słowa uspokoiły nieco panią Barrowfield, choć nadal patrzyła się bezmyślnie w ogień, ciężko dysząc.

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć coś więcej o tym dziewczęciu? - zapytał pan Falkirk. - Czy ma jakieś nazwisko?

- Nazwisko? - powtórzyła ironicznie pani Barrowfield. - Czyżby pan zapomniał, panie Falkirk? To jest Sierociniec Bezimiennych. Oczywiście, że nie ma nazwiska, tak jak i cała reszta tych nieszczęsnych stworzeń, które wciska mi się każdego dnia, tydzień po tygodniu.

Odsapnęła i ciągnęła dalej:

- „Mam następnego bękarcika dla pani” - powiedział mi doktor Harland w zeszłym tygodniu. A ja na to: „Więc niech go pan sobie zatrzyma. Dla myszy nie znajdę miejsca, nie mówiąc już o dziecku”.

„No, pani Barrowfield” - odparł. „Jest pani dobrą kobietą i chyba nie chciałaby pani widzieć, jak ten ludzki drobiazg kończy w rzece”.

„Nic mnie to nie obchodzi, gdzie skończy - odrzekłam - ale nie zostanie u mnie i niczym mnie pan nie przekona, doktorze, nie zmienię zdania”.

- Zabrał to dziecko? - zapytał pan Falkirk.

- Nie, dołączyło do reszty - odpowiedziała pani Barrowfield znużonym głosem. - Wydawało mi się, że go przekonałam, iż nie mamy miejsca, ale Tara stwierdziła, że dziecko może dzielić łóżeczko z innym podrzutkiem i jakoś je upchnęła. Powiedziałam jej potem, że jest głupia i tylko dodaje sobie roboty.

- Nie robiło jej to różnicy?

- Dla mnie to była różnica! - odrzekła ostro pani Barrowfield. - To ja muszę martwić się o następną gębę do

nakarmienia, gdy nie mam nawet pensa, by zapłacić za to żarcie, które pochłaniają. „Wiecie, co żrecie?” - ciągle powtarzam starszym. „Pył złoty!” Ale one wiecznie jęczą, że są głodne.

Pan Falkirk wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni dobrze skrojonego podróżnego płaszcza.

Wyciągnął z niego kilka banknotów i położył je na stole przed panią Barrowfield.

- Oto dwadzieścia funtów - powiedział. - Mają pani wystarczyć tylko do czasu, gdy powrócę do Szkocji i zajmę się zabezpieczeniem waszej przyszłości.

Zobaczył błysk zachłanności w oczach kobiety i zastanowił się, jaką część pieniędzy przeznaczy na żywność dla sierot, a jaką na alkohol. Tłumaczył sobie jednak, że w danej chwili nie ma innego wyjścia, jak spróbować uspokoić niechlujną, starą pijaczkę.

- Zanim pani pośle po Tarę, czy mogłaby mi pani powiedzieć, co o niej wie?

- Naprawdę zamierza pan ją zabrać?

- Przykro mi, pani Barrowfield, muszę to zrobić, chyba że ma pani inne dziewczę w odpowiednim wieku.

Pani Barrowfield uczyniła gest pełen bezradności i powiedziała naburmuszonym tonem:

- Co pan chce wiedzieć?

- Chcę znać dokładną datę jej przybycia. Przypuszczam, że prowadzi pani księgi?

Zobaczył, że przymrużyła oczy, i zrozumiał, iż jeśli w ogóle miała jakiegokolwiek księgi, to z pewnością wpisy w nich nie były prowadzone na bieżąco i niewiele można będzie się z nich dowiedzieć.

Szybko, jakby po to, aby odwrócić jego uwagę, pani Barrowfield powiedziała:

- Przypadkiem Tara różni się od innych dzieci. Urodziła się tutaj. Tu, w tym budynku.

- Jak to się stało?

- Nie dziw, że pan pyta. Było to w lecie tysiąc osiemset czwartego roku, nieco późniejszą porą, niż mamy teraz, na początku lipca, jak mi się wydaje. Siedziałam tu, gdzie teraz siedzę, gdy usłyszałam walenie do drzwi wejściowych - takie, że mogłoby obudzić umarłego. Skoczyłam na nogi - byłam o wiele młodsza i mogłam się szybciej ruszać - i poleciałam zobaczyć o co te hałasy. - Pani Barrowfield urwała, by dokończyć porto, po czym ciągnęła dalej: - Na zewnątrz był niemały tłumek. Dwóch mężczyzn podtrzymywało kobietę, która albo była nieprzytomna, albo nie żyła.

- Co się stało? - zapytał pan Falkirk.

- Wydarzył się wypadek, na ulicy potrącił ją powóz. Wpadła pod koła, ale woźnica nie zatrzymał się i pojechał dalej. - Pani Barrowfield znacząco wyciągnęła kieliszek i pan Falkirk ponownie go napełnił. - Tak to jest z tymi woźnicami. Są aroganccy, nie liczą się z nikim, nie obchodzi ich, czy komu się co złego nie stało.

- Niech pani mówi dalej - rzekł błagalnie pan Falkirk.

- Cóż, wnieśli tę kobietę do środka, a ja posłałam chłopca po doktora. Mieszkał trzy przecznice stąd. Nazywał się doktor Webber, w tamtych czasach opiekował się sierocińcem. Niesympatyczny człowiek, nigdy mi się nie podobał!

- A co z tą kobietą? - zapytał pan Falkirk, usiłując zapobiec dygresjom pani Barrowfield.

- Myślałam, że nie żyje - powiedziała pani Barrowfield - ale zanim przyszedł doktor, zaczęła jęczeć i stękać, aż wreszcie ku mojemu zdumieniu zrozumiałam, że rodzi!

- Nie zauważyła pani, że była ciężarna?

- Mówiąc szczerze, nie - wyznała pani Barrowfield. - Może w tamtych czasach nie byłam tak spostrzegawcza jak

teraz. Miała na sobie luźną suknię, a ponieważ była szczupłą, nie widać było tego po niej tak, jak byłoby widać po grubszej kobiecie.

- I co się stało? - niecierpliwił się pan Falkirk.

- Doktor dotarł po dobrych kilku godzinach. Nie mogli go znaleźć, czy też nie chciał przyjść. Bóg wie, jaki tam miał powód. Ale ja zrobiłam, co mogłam, i dziecko prawie przyszło na świat, zanim on się zjawił. - W tonie pani Barrowfield słychać było pogardę, gdy dodała: - Całą rzecz potraktował bezceremonialnie. Wie pan, jacy są lekarze, gdy nie wyniuchają sowitej zapłaty. W każdym razie przyjął poród i narobił niezłego zamieszania.

Pani Barrowfield w zamyśleniu piła porto, jakby spoglądała w przeszłość.

- Nigdy przedtem nie byłam obecna przy porodzie. Poczulałam się jednocześnie wstrząśnięta i zawstydzona.

Widzi pan, nigdy nie miałam własnych dzieci, nigdy nawet nie byłam zameżna.

Pan Falkirk nie skomentował tej wypowiedzi. Przypomniało mu się, że do przełożonej sierocińca zwyczajowo zwracano się „pani”, bez względu na jej stan cywilny.

- W każdym razie - ciągnęła pani Barrowfield - doktor położył dziecko i powiedział: „To przeżyje, jeśli się pani tym zaopiekuje, ale matka umarła!”

- Nie mógł jej uratować?

- Moim zdaniem, nawet nie próbował - pani Barrowfield pociągnęła nosem - a dopiero gdy popatrzyłam na matkę, zanim przyszli ją zabrać, uświadomiłam sobie, jak była młoda i jak inna, niż można się było spodziewać.

- Jak to inna? - zapytał pan Falkirk.

- Cóż, gdyby nie to, że nikt się nie interesował jej zniknięciem - najwyraźniej nikogo nie obchodziło, czy ona

żyje, czy nie - powiedziałabym, że to dama. Naprawdę, wyglądała na osobę dobrze urodzoną. Ładniutka, rudowłosa, z białą cerą, ubrana w rzeczy, które musiały kosztować niezły grosz, bez wątpienia.

- Niczego pani nie zachowała? Pani Barrowfield potrząsnęła głową.

- Nic się nie utrzyma w tym domu. W zimie, gdy jest chłodno, dzieci powykradają wszystko, jej halki zaś, jeżeli je w ogóle miała - w tamtych czasach nie były modne - zapewne podarliśmy na bandażę. Te małe hultaje wiecznie krwawią z różnych części ciała.

- Nie miała przy sobie nic szczególnego, nic, po czym można by było ustalić jej pochodzenie?

- O ile wiem, doktor próbował się czegoś dowiedzieć - odparła pani Barrowfield. - Moim zdaniem, chciał odzyskać swoje honorarium. Powiedział mi, że pytał się, czy w sąsiedztwie nie zgłoszono żadnego zaginięcia, ale nikt nie przyszedł tu szukać dziecka, więc przypuszczam, że niczego nie wskórał.

- Dlaczego nazwała ją pani Tara?

- Właśnie miałam to panu powiedzieć - odparła pani Barrowfield. - Pytał pan, czy ta kobieta miała przy sobie coś charakterystycznego? Nic, nawet torebki, choć gdyby miała, to zapewne ukradziono by ją w tym zamieszaniu.

Pani Barrowfield urwała dla lepszego efektu, po czym kontynuowała:

- Mogę panu powiedzieć, że jednej rzeczy na pewno nie miała, obrączki! Może to nie był przypadek, że przyszła do odpowiedniego miejsca ze swoim bezimiennym dzieckiem.

- Dlaczego dała pani dziecku imię Tara?

- Właśnie miałam to panu powiedzieć - odrzekła pani Barrowfield. - Nieboszczka miała na szyi medalion! Zapewne pan pomyśli, że jestem sentymentalna, ale zatrzymałam go.

Gdybym miała choć odrobinę zdrowego rozsądku, sprzedałabym go, bo w czasach gdy brakowało nam jedzenia, przydałby się nawet szyling czy dwa.

- Czy mogę zobaczyć ten medalion? - poprosił pan Falkirk.

Jeżeli zdenerwowała go gadatliwość pani Barrowfield i jej ciągle dygresje, nie pokazywał tego po sobie. Miał zupełnie beznamiętny wyraz twarzy, gdy wstała niepewnie na nogi, aby ponownie podejść do kredensu, z którego wcześniej wyjęła butelkę porto.

Była to tania, źle sklecona nadstawka kredensowa, ustawiona na stole z dwoma szufladami. Pani Barrowfield wyciągnęła jedną z nich. Ze swego miejsca pan Falkirk mógł dostrzec, że wypełniały ją rachunki, zwitek pogniecionej wstążki, grzebyki do włosów, ścinki materiału oraz różne drobiazgi, które prawdopodobnie miały niewiele znaczenia i jeszcze mniej wartości.

Pani Barrowfield grzebała w głębi szuflady, aż wreszcie znalazła małe puzderko na biżuterię. Trzymając je w ręce wróciła do pana Falkirka.

- Tu właśnie przechowuję moje skarby - powiedziała śmiejąc się paskudnie. ~ Nietrudno sobie wyobrazić, że niewiele ich mam, ale gdybym je zostawiła gdzieś na wierzchu, te małe diabły zaraz by się do nich dobrały.

Usiadła z powrotem w fotelu i postawiła otwarte puzderko na swoich tłustych udach. Pan Falkirk dostrzegł, że zawierało garść błękitnych paciorków, które kiedyś stanowić musiały naszyjnik. Była tam także broszka z urwanym zapięciem, tanie bransoletki z rodzaju tych, które można kupić za kilka pensów na każdym bazarze oraz kawałek uschniętej jemioli - zapewne pamiątka z młodości pani Barrowfield. chociaż trudno było sobie wyobrazić, że ta kobieta mogła przeżyć coś romantycznego.

- O proszę! - wykrzyknęła.

Pogmerała w paciorkach i wydobyła spod nich niewielki medalion na łańcuszku.

- To biedaczka miała na szyi - powiedziała, podając go panu Falkirkowi.

Był złoty, ale nie najwyższej próby, i prawdopodobnie nie kosztował wiele. Na wieczku miał wygrawerowane słowo „Tara”, a gdy go otworzył, znalazł wewnątrz pasmo ciemnobrązowych włosów.

- Widzi pan, jaka jestem uczciwa! - stwierdziła pani Barrowfield. - Jak już panu mówiłam, panie Falkirk, kto inny na pewno by to sprzedał, lecz ja zawsze myślałam, że może pewnego dnia się przyda i proszę, zainteresował pana.

- Rzeczywiście mnie zainteresował, pani Barrowfield - powiedział pan Falkirk. - Z pewnością zrozumie pani, że chciałbym go zabrać ze sobą.

- Trudno mi sobie wyobrazić, żeby Jego Wysokość był zainteresowany taką błyskotką - zdziwiła się pani Barrowfield.

- Dlaczego chce zabrać dziewczynę do Szkocji? Jeszcze mi pan tego nie powiedział.

- Mówiąc szczerze, sam nie wiem, pani Barrowfield - odparł pan Falkirk. - Wykonuję tylko zadanie, które powierzył mi Jego Wysokość książę, zanim wyjechał na północ.

- To bardzo dziwne - oznajmiła pani Barrowfield.

Pan Falkirk zgadzał się z nią w zupełności, ale nie miał zamiaru jej tego przyznać.

- Czy teraz - ciągnął swym cichym głosem - mogłaby pani posłać po Tarę. Chciałbym ją poznać.

- Kiedy ją pan zabierze? - zapytała pani Barrowfield.

W jej głosie pojawił się ostry ton, lecz gdy odstawiwszy puzderko na stół podniosła banknoty, pan Falkirk uznał, że stanowiły one całkiem odpowiednie pocieszenie.

- Wyjeżdżam dziś po południu - odrzekł. - Mogę zjechać po Tarę po drodze z Arkcraig House.

- Będzie jechała z panem w powozie?

- Nie ma innej możliwości podróżowania na północ, a ponieważ nie sądzę, aby miała duże bagaże, nie będzie nam ciasno.

- Bagaże! Owszem, niewiele ich będzie miała! - parsknęła pani Barrowfield,

- Gdybym tylko mógł ją zobaczyć, zanim wyjdę. - prosił pan Falkirk, wstając.

Lecz pani Barrowfield nie ruszyła się z fotela.

- Trochę mi słabo po tych niedobrych wieściach, które mi pan przywiózł - powiedziała. - Niech pan podejdzie do drzwi i zawoła ją po imieniu. Usłyszysz.

Pan Falkirk wiedział, że słabość pani Barrowfield była skutkiem nadużycia alkoholu. Dlatego też nie protestował, ale podszedł do drzwi, otworzył je i znalazł się w ponurym i brzydkim holu. Ze sprzętów stał tam jedynie sosnowy stolik, na którym zostawił kapelusz, i twarde krzesło, gdzie położył pelerynę.

Zewsząd dobiegały dźwięki krzykliwych głosów, z pierwszego piętra, na które prowadziły nie przykryte chodnikami schody, dochodził płacz małych dzieci.

Instynktownie wyczuł, że znajdzie Tarę przy płaczącym dziecku. Powoli wszedł na schody, trzymając się brudnej i popękanej poręczy. Wreszcie stanął na piętrze. Sierociniec był budynkiem jednopiętrowym. Wykonano go ściśle według wskazówek księżnej Harriet, a w czasach w których powstał, służył jako wzór tego typu instytucji. Lecz pan Falkirk uświadomił sobie, że trzydzieści lat, które upłynęło od tego czasu, nie tylko spowodowało, że budynek przestał być nowoczesny. Mijające lata wycisnęły swoje piętno również na jego wnętrzu.

Pomyślał, że prawdopodobnie najpoważniejsze szkody powstały w ciągu kilku ostatnich lat. Powybijane okna, które zabito deskami zamiast wymienić w nich szyby, klepki w podłodze, na które było niebezpiecznie nastąpić, drzwi, które zwisały na zawiasach, ponieważ brakowało w nich zamków.

Objął to wszystko spojrzeniem. Otworzył drzwi, zza których dobiegały hałasy, i znalazł się w długiej sypialni, cuchnącej brudem, nie mytymi dziećmi i różnymi innymi rzeczami, o których wołał nawet nie myśleć. Po obu stronach długiego pokoju stały w rzędzie łóżka. Niektóre dzieci leżały w nich, płacząc rozdzierająco, inne szamotały się ze sobą, wrzeszcząc przy tym. Panu Falkirkowi zdało się, że są bardzo nieodpowiednio ubrane.

Po przeciwnej stronie pokoju, trzymając w ramionach malutkie niemowlę, stała ta sama dziewczyna, która puściła go do budynku. Miała na sobie szarą kretonową sukienkę z białym kołnierzykiem oraz ciasno przylegający do głowy szary czepek - mundurek wybrany przez księżną Harriet dla jej sierot. Rzeczywiście był bardzo skromny, obwieszczał wszem wobec, że nosząca go osoba żyje z łaski.

Przemierzając sypialnię pan Falkirk spostrzegł, że wszystkie dzieci szamocące się w łóżkach mają krótko przystrzyżone włosy i znowu przypomniało mu się, że to następny punkt regulaminu dla tych, którzy dostąpili łaski opieki w Sierocińcu Bezimiennych, Kiedy podszedł do Tary, wstała z drewnianego zydelka, na którym siedziała i, wciąż trzymając na ręku niemowlę, grzecznie dygnęła.

Pan Falkirk przyjrzał się jej po raz pierwszy. Jest bardzo chuda, pomyślał, tak chuda, iż może to być tylko wynikiem niedożywienia. Gdy zwróciła ku niemu twarz, kości jej podbródka wyostrzyły się. Miała ogromne ciemnoniebieskie oczy, otoczone frędzlami gęstych rzęs, które zdawały się

złotawe przy powiekach, lecz niemal dramatycznie ciemniały na wywiniętych ku górze końcach.

Pan Falkirk pomyślał, że takie oczy mogły być niezwykle pociągające, ale nie u dziewczyny tak żałośnie chudej, z zapadłymi policzkami, na których ostro rysowały się kości, nadając jej wygląd nieopierzonego pisklęcia.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, Taro - powiedział.

Spojrzała na niego zaskoczona. Potem, głosem niespodziewanie miękkim i śpiewnym, powiedziała do dzieci:

- Cicho, kochane, mamy gościa, który ma życzenie ze mną mówić. Jeżeli wrócicie do łóżek w zupełnej ciszy, obiecuję, że opowiem wam bajkę, jak tylko sobie pójdzie.

Najwyraźniej musiała to być specjalna przyjemność, ponieważ niemal natychmiast hałas ustał. Dzieci - prawdopodobnie w wieku od czterech do siedmiu lat - szybko zajęły swoje łóżka lub materace i siedziały, patrząc na niego szeroko otwartymi oczyma, niewątpliwie z niecierpliwością oczekując jego odejścia. Niemowlę, które Tara trzymała, zaczęło płakać. Ukołysała je i wsunęła mu do buzi jego własny kciuk, więc i ono umilkło. Spojrzała na Falkirka.

- Słucham pana? Chciał pan ze mną mówić?

- Zabieram cię stąd, Taro.

Zobaczył, że otworzyła szerzej oczy, w których nagle pojawił się strach.

- Och nie, proszę pana! Nie mogę zostawić dzieci! Czy rozmawiał pan z panią Barrowfield?

- Rozmawiałem.

- I ona się zgodziła? - zapytała z niedowierzaniem Tara.

- Nie ma innego wyjścia, musi cię puścić. Księżę Arkcraig kazał mi przywieźć cię do Szkocji.

- Do... Szkocji? - w głosie Tary zabrzmiało nieskrywane zdumienie, gdy dodała: - Myślałam... że... chodzi panu o to, że... mam pójść do terminu.

- Nie wiem, co będziesz robiła - powiedział szczerze pan Falkirk. - Wiem tylko, że księżę wydał mi takie polecenie i to na jego życzenie mam zabrać cię ze sobą, gdy dziś po południu będę wyjeżdżał z Londynu.

Rozejrzała się bezradnie po sypialni, jakby nagle przyszło jej do głowy, że mogłaby wziąć ze sobą dzieci.

- Dałem pani Barrowfield wystarczająco dużo pieniędzy, aby mogła zatrudnić kogoś na twoje miejsce - rzekł pan Falkirk.

A potem on również spojrzął na wpatrzone w niego, milczące dzieci i zrozumiał, że będzie bardzo trudno znaleźć kogoś, kto zajmie miejsce Tary w ich życiu. Najwyraźniej pani Barrowfield niewiele przyczyniała się do dziecięcego szczęścia i wygody. Pan Falkirk był kawalerem i niewiele miał do czynienia z dziećmi, ale nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by odgadnąć, że jedyne ciepło, jakiego te sieroty w życiu zaznały, dała im Tara.

Jakby czytając w jego myślach, zapytała:

- Jak mogę je zostawić, panie? Na pewno znajdzie się jakaś inna dziewczyna, którą będzie pan mógł zabrać.

- Zapewniam cię, że pani Barrowfield mówiła mi to samo - odrzekł pan Falkirk - lecz nie znalazła żadnej w odpowiednim wieku.

Tara gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Czemu Jego Wysokość księżę chce właśnie mnie? Pan Falkirk nie odpowiadał, a ona dodała szybko:

- Jest Belgrave. Nazwaliśmy ją tak, ponieważ znaleziono ją na progu domu przy placu Belgrave. W przyszłym roku skończy jedenaście lat, a jest wyjątkowo wyrosnięta, jak na swój wiek. Może ona?

- Obawiam się, że nie.

- Jest pan pewien, panie? Nauczyłam ją szorować podłogi, a chociaż nie umie jeszcze dobrze szyć, szybko się uczy.

- Obawiam się, że jest za młoda.

- Gdyby pan przyszedł w zeszłym miesiącu, May mieszkała jeszcze u nas. Ona by się nadawała. Miała skończone dwanaście lat i wzrost prawie ze mną równy. Nie bała się ciężkiej pracy, a na dodatek to miła i wesoła dziewczynka. I nigdy nie narzekała, nawet gdy była bardzo głodna.

- Lecz nie ma tu już May, a zresztą ona też byłaby za młoda - powiedział pan Falkirk. - Wydaje mi się, Taro, że wyjazd do Szkocji może być dla ciebie bardzo interesujący.

Zobaczył, że jego nie znoszący sprzeciwu ton wywołał wyraz rozpaczony w niebieskich oczach Tary.

- Kiedy pan żąda, abym... wyjechała, panie?

- Dzisiaj po południu. Przyjadę po ciebie mniej więcej za kwadrans trzecia.

- Och, panie! - okrzyk jej był niezwykle wymowny. Zawarła w nim więcej treści, niż zdołałaby wyrazić tysiącem słów. Potem głosem tak cichym, że prawie go nie słyszał, zapytała: - Nie mogę odmówić... nieprawdaż.

- Nie, Taro, nie możesz. Ten sierociniec należy do Jego Wysokości księcia Arkcraig. Jeżeli zażąda jednej z przebywających tu sierot, kimkolwiek by była, nikt nie ma prawa odmówić mu posłuszeństwa, nawet pani Barrowfield.

Tara westchnęła, a westchnienie to zabrzmiało rozdzierająco.

- Będę gotowa, panie - powiedziała cicho. Poczł podziw dla odwagi i być może dumy, która nie pozwoliła jej dłużej się opierać. Odwrócił się i wyszedł z pokoju, a gdy zamykał za sobą drzwi usłyszał krzyk dzieci: - Bajkę! Bajkę! Przysięgłeś nam bajkę!

Pan Falkirk zszedł ostrożnie po schodach, obawiając się ze względu na ich stan, że mogą nie wytrzymać ciężaru jego ciała. Mimo wszystko dotarł bezpiecznie do holu. Podniósł

kapelusz, zarzucił sobie pelerynę na ramiona i skierował się zdecydowanie do drzwi wejściowych. Nie miał ochoty na dalsze utarczki z panią Barrowfield. Poza tym podejrzewał, iż nie byłaby w stanie w ogóle mówić. Było bardzo prawdopodobne, że spała.

Wyszedł, a gdy już znalazł się na ulicy, odwrócił się i spojrzał na sierociniec. Nie ulegało wątpliwości, że budynek był w bardzo złym stanie: ramy okienne prawie odarte z farby, drzwi wejściowe stanowiły żaloszny widok, a od dawna nie polerowana kołatka szerniała.

- Księżna Anna byłaby wstrząśnięta! - powiedział do siebie i przyrzekł sobie, że zaprowadzi tu porządek, gdy tylko otrzyma pozwolenie od księcia.

Opowiadanie zajęło Tarze pół godziny. Nie poprzestała na jednej bajce, lecz na trzech. Dzieci słuchały w skupieniu. Gdy skończyła, wstała ze stołka i powiedziała:

- I to wszystko. Posprzątajcie rzeczy.

- Jeszcze jedną! Taro, opowiedz nam jeszcze jedną!

Powtarzał to tuzin cienkich głosików, lecz Tara nieugięcie potrząsnęła głową.

- Muszę pójść i ugotować wam coś na obiad - powiedziała - albo wszyscy będziemy głodni.

- Już jestem głodna! - żałośnie pisnęła jedna z dziewczynek.

- Ja też! I ja też!

Głosiki połączyły się w chór. Tara szybkim krokiem wyszła z sypialni, zanim dzieci zdążyły ją zatrzymać, i zbiegła na dół po schodach

Z pokoju na parterze, gdzie bawiły się starsze dzieci, dobiegał ogłuszający hałas. Tara była przekonana, że dwóch największych chłopców bije się ze sobą. Wiecznie się bili. Tara nie mogła nic zrobić, aby temu zapobiec. Zresztą, tego ranka nie miała na to czasu.

Zapukała do drzwi saloniku pani Barrowfield, a gdy nie było odpowiedzi, weszła. Pani Barrowfield, jak się tego spodziewał pan Falkirk, mocno spała. W pokoju było gorąco i duszno. Nawet gdy było ciepło na dworze, pani Barrowfield kazała rozpalać ogień na kominku w swoim saloniku. Tara wiedziała, iż uważała to za swojego rodzaju symbol, wygodę, która wcale nie była konieczna, lecz bez której nie miała zamiaru się obywać.

Tara ukradkiem i bardzo cicho, gdyż wcale nie chciała obudzić przełożonej, uchyliła okno. Lecz gdy ujrzała prawie pustą butelkę po porto, stojącą na stole, zrozumiała, że wcale nie byłoby łatwo wyrwać panią Barrowfield ze snu. Pani Barrowfield była gruba i wyglądała nieprzyjemnie, jej twarz nabrała purpurowego koloru, a przez otwarte usta dobywało się chrapanie.

Tara tylko podniosła butelkę i wstawiła ją z powrotem do kredensu. Potem zebrała kieliszki. Gdy sięgała po nie, jej wzrok padł na puzderko leżące na stole. I choć nikt jej tego nie powiedział, wiedziała, że ten człowiek, który zabierał ją do Szkocji, widział medalion jej matki.

Pomyślała, że jest to jedyna rzecz, która naprawdę do niej należy, jedyna rzecz, która wyróżnia ją spośród tamtych trzydziściorga dziewięciorga bezimiennych sierot, bez żadnego pochodzenia i przeszłości, bez niczego, co mogłoby pozwolić ustalić ich tożsamość - prócz wrodzonych cech, takich jak kolor włosów, oczu czy cery.

Oby tylko go nie zgubił - pomyślała z obawą Tara.

Potem odłożyła puzderko na miejsce i, niosąc w ręku dwa brudne kieliszki, wyszła z saloniku, cicho zamykając za sobą drzwi.

W kuchni spotkała jedną ze staruszek, najętych do pomocy. Kobięcina nie miała już zębów i nie widziała na jedno oko, lecz uważała się za kucharkę, a pani Barrowfield w

pełni akceptowała ją w tej roli. Zupa, którą mieszała w ogromnym kotle, pachniała nieprzyjemnie. Tara pomyślała, że najprawdopodobniej smakuje jeszcze gorzej. Ale było to lepsze niż nic. Zupa, którą serwowano dzieciom w porze obiadowej, była ich jedynym większym posiłkiem.

Szczęśliwie dostarczono do sierocińca chleb, i to tylko dlatego, że tydzień wcześniej Tara zmusiła panią Barrowfield do zapłacenia zaległych rachunków w piekarni i do dania niewielkiej zaliczki. Tylko ona wiedziała, ile pieniędzy przydzielanych sierocińcowi pochłaniał alkohol pani Barrowfield. On to pozwalał przełożonej czuć się dobrze i dzięki temu w sierocińcu była choć jedna zadowolona osoba.

Tara nie martwiła się tym zbyt, chyba że dzieci chorowały z braku pożywienia lub były tak głodne, że nie mogły zasnąć w nocy. Wtedy walczyła z panią Barrowfield o ich prawa jak lwica. Stara kobieta była zbyt leniwa, by się jej długo opierać, więc niezmiennie kapitulowała i oddawała część pieniędzy, które zamierzała zatrzymać sobie.

Tara pokroiła bochny na jednakowej grubości kromki. Wiedziała, że jeśli tylko odwróci wzrok, starsi chłopcy zabiorą mniejszym dzieciom ich porcje. Będą się też przymilać do dziewcząt w nadziei, że zechcą one oddać im część swoich racji.

Tylko dzięki Tarze w sierocińcu nie zapanowały rządy najsilniejszych chłopców - i największych łobuzów. Nigdy nie stosowała przemocy wobec dzieci, choć od czasu do czasu uciekała się do niej rozwścieczona pani Barrowfield. Tarze wystarczała siła jej własnej osobowości. Nie miała innego wyjścia, musiała dominować nad swymi podopiecznymi psychicznie, ponieważ fizycznie była bez szans.

Kończąc kroić chleb spostrzegła kątem oka, że staruszka coś ukradkiem chowa w kącie kuchni. Dobrze wiedziała, co się dzieje. Podeszła do niej, sięgnęła nad ramieniem od strony

jej niewidzącego oka i odebrała to, co tamta usiłowała wsunąć pod swój wytarty, rozłożony się płaszcz. Był to duży kawał mięsa - gorszego gatunku, lecz tylko na takie mogli sobie pozwolić. Na tym mięsie powinna być gotowana zupa, którą owa tak zwana kucharka mieszała na kuchni od godziny.

Starucha wrzasnęła z wściekłości, lecz Tara nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi. Spokojnie położyła mięso na stole i zaczęła siekać je, jak umiała najdrobniej, aż zaczęło przypominać mielonkę.

- To moje! - parsknęła na nią stara.

- Nieprawda, Mary, i dobrze o tym wiesz - powiedziała Tara. - Dzieci są głodne. Muszą coś zjeść, bo poumierają.

- I bardzo dobrze, moim zdaniem! Komu one są potrzebne?

Pytanie to Tara często sobie zadawała, ale nie umiała znaleźć na nie odpowiedzi.

- Nie bądź zachłanna, Mary - szepnęła cicho. - Wiesz dobrze, że byłoby to pożałowania godne, gdyby dzieci umarły, ponieważ ty ukradłaś im jedzenie.

- Głodna jestem, jak wracam wieczorem do domu - zawodziła Mary. - A moje biedne koty nigdy nie mają nic do żarcia.

- Mogą łowić myszy - odparła Tara. - Natomiast te biedne dzieci nic nie mogą zrobić - nawet jabłka z drzewa nie zerwą.

Westchnęła.

- Och Mary, chciałabym, żeby sierociniec był na wsi. Jestem pewna, że byłoby łatwiej tam żyć niż w Londynie.

- Londynowi nic nie brak, gdy się ma pieniądze - burknęła Mary.

- Gdy się ma pieniądze, wszędzie jest łatwiej żyć - odrzekła Tara.

Dokończyła siekać mięso i wrzuciła je do kotła z gotującą się zupą. Mieszała, póki w powietrzu nie rozszedł się zupełnie

inny zapach. Dodała trochę soli, dorzuciła też cebulki, które zobaczyła pozostawione na stole.

- Mieszaj dalej Mary - powiedziała - a ja zawołam dzieci. Umyłaś miseczki?

Mary nie odpowiedziała. Tara domyśliła się, że wcale ich nie umyła i nie miała takiego zamiaru. Zawsze tak jest, pomyślała wzdychając. Nie można ani trochę polegać na Mary, a ta druga staruszka, która przychodziła po południu i miała myć podłogi, była jeszcze gorsza.

Ponieważ w sierocińcu było tak dużo dzieci, nie miały one osobnej jadalni. Jadalnię zamieniono w kolejny pokój do spania, ustawiając kilka łóżek i kładąc materace na podłodze. Dlatego dzieci jadały na stojąco w holu albo siedząc na schodach. Utrudniało to Tarze upewnienie się, czy wszystkie sprawiedliwie otrzymały swoją porcję.

Potrząsnęła dzwonkiem i na ten dźwięk rozwarły się drzwi w całym domu, a dzieci wdarły się do kuchni jak fala przyływu, nadbiegając ze wszystkich stron. Na górze zostały tylko niemowlęta. Tara pamiętała, aby pilnie uważać na kubełek z mlekiem stojący w rogu kuchni. Gdyby tylko odwróciła się na chwilę, zanurzyłyby się w nim liczne kubki i łyżki tych dzieci, które według przepisów były za duże, by potrzebować mleka.

Przez następne pięć minut sytuacja przypominała walkę z burzą na miotanym falami okręcie.

- Nie, tylko po kromce chleba na głowę! Fred, odłóż to natychmiast, wzięłeś już swoją porcję. Helen, uważaj, bo wylejesz zupę. Nie pchajcie się, dzieci, starczy dla wszystkich, trzeba tylko poczekać.

Mówiła to samo codziennie przy każdym posiłku. Nie dlatego były nieposłuszne, kradły i usiłowały wyłudzić więcej od innych, że jej nie kochały, lecz ponieważ zwierzęcy

instynkt samozachowawczy podpowiadał im, że muszą jeść, aby nie zginąć.

Tara nałożyła ostatnią łyżkę zupy z kotła i zobaczyła małego chłopca, który właśnie porywał samotny kawałek chleba, leżący na kuchennym stole. Dla niej nie zostało nic. Przyjęła to z rezygnacją, jak setki razy przedtem.

To moja wina - pomyślała. - Muszę pamiętać, żeby zjeść moją kromkę, zanim zawołam dzieci.

Brutalna rzeczywistość zdążyła już ją nauczyć, że zbyt długi post ogromnie osłabia. Przerazała ją myśl, że może upuścić trzymane na ręku niemowlę.

Istniała jeszcze możliwość, że zostanie poczęstowana herbatą. Ten luksus pani Barrowfield rezerwowała wyłącznie dla siebie, lecz jeżeli była w dobrym humorze, czasami pozwalała Tarze wypić resztki.

Mary usmażyła dwa duże kotlety schabowe dla przełożonej, umieściła je pieczołowicie na czystym talerzu, obok przysmażonych cebulek.

- A to podwieczorek dla jaśnie pani - powiedziała Mary, stawiając imbryk na tacy z takim impetem, że zadzwoniła filiżanka na spodku.

- Dziękuję, Mary. Zapomniałaś tylko o ziemniakach.

W zupie znalazło się trochę ziemniaków, część z nich była nadgniła, ponieważ ze względu na cenę kupowano drugi gatunek. Udało się jej wybrać trzy duże piękne s. tuki. Ułożyła je na talerzu z kotletami. Poczowała, że mimo woli do ust napływa jej ślina.

Może ten pan da mi coś do zjedzenia dzisiaj wieczorem, pomyślała z nadzieją, wnosząc tacę do pokoju pani Barrowfield.

ROZDZIAŁ 2

Siedząc w powozie, Tara pochyliła się do przodu i wykrzyknęła:

- Ależ tu zielono! Wiedziałam, że za miastem musi być zielono, ale nie sądziłam, że aż tak!

Pan Falkirk zamierzał odpowiedzieć, gdy dodała z zachwytem:

- A tamto pole jest złote! Prawdziwie złote!

- Zboże - rzekł lakonicznie pan Falkirk, po czym zapytał:

- Czyba byłaś już kiedyś na wsi?

Tara potrząsnęła głową.

- Nie. Kiedyś pani Barrowfield pozwalała mi zabierać starsze dzieci do Hyde Parku, lecz ostatnio było u nas tyle maleństw, że nie mogła obyć się beze mnie.

- Ależ dzieci musiały wychodzić - zaprotestował pan Falkirk.

- Bawiły się na placu za sierocińcem - odparła Tara. - Jest niewielki i bardzo błotnisty w zimie, ale przynajmniej przebywały na świeżym powietrzu.

Odpowiadając na pytanie odwróciła się ku niemu, lecz potem zaraz pochyliła się, aby wyrzeć przez okno.

- Gdyby dzieci mogły to zobaczyć - powiedziała szeptem.

Dla pana Falkirka stało się jasne, że jej myśli wciąż krążyły wokół pozostawionych dzieci. Gdy zabierał Tarę z sierocińca, był świadkiem wzruszającej sceny, która dziwnie zapadła mu w serce; Mniejsze dzieci przywarły do niej płacząc i zawodząc, starsze zaś krzyczały niemal rozpaczliwie, póki powóz nie zniknął im z oczu. Nawet pani Barrowfield robiła wrażenie poruszonej niespodziewaną utratą Tary, lecz pan Falkirk nie mógł pozbyć się myśli, że martwiła się raczej ze względu na siebie, ponieważ opuszczała ją doświadczona pomocnica. Zresztą, bez względu na przyczyny, Tarze było bardzo trudno odejść.

Gdy wreszcie uwolniła się z oplatających ją ramion młodszych dzieci i usiadła w powozie obok pana Falkirka, jej twarz była zalana łzami. Trochę czasu upłynęło, zanim zdołała odzyskać panowanie nad sobą. Jechali już dobre kilka minut, gdy uspokoiła się na tyle, by wykrztusić:

- C... co poczną maleństwa... beze mnie? Jestem pewna, że... najmłodsze będą przymierały głodem.

- Właśnie chciałem ci coś powiedzieć, Taro - rzekł pan Falkirk. - Zauważyłem, że dzieciom brakuje pożywienia, a cały sierociniec znajduje się w opłakanym stanie. To nie do pomyślenia!

Spostrzegł, że Tara patrzy na niego z rozpaczliwym lękiem malującym się w zalanych łzami oczach, więc dodał szybko, nie mogąc znieść jej bólu:

- Poczyłem pewne kroki, które, mam nadzieję, spotkają się z twoim uznaniem.

- To... to znaczy? - zapytała Tara łamiącym się głosem.

- Gospodyni w Arkcraig House jest kobietą starszą, ale bardzo zaradną. Za czasów jej młodości zbudowano sierociniec. Służyła też u księżnej Anny i wie, jak bardzo Jej Wysokość interesowała się losem sierot.

- Dopiero po śmierci księżnej zaczęło źle się dziać - powiedziała Tara.

- Tak mi się wydawało - odrzekł pan Falkirk. - Prosiłem panią Kingston, aby zatrudniła kucharkę, która będzie kupowała odpowiednią żywność dla dzieci.

Radość, która zakwitła na szczupłej twarzyczce Tary, zmieniła ją nie do poznania. Pan Falkirk zdawał sobie sprawę, że lwią część pieniędzy wpłacanych co tydzień przez księżących prawników, na sierociniec, pani Barrowfield wydawała na alkohol.

- Pani Kingston ma również poszukać dziewcząt do sprzątnięcia - ciągnął - i do pomocy przy opiece nad dziećmi.

Urwał, a potem dodał ostrzejszym tonem:

- Nie rozumiem jednego. Co stało się z nauczycielkami? Wiem, że było ich kilka za czasów księżnej Anny.

- Dwie przeszły na emeryturę i nikogo nie przyjęto na ich miejsce - odparła Tara. - Natomiast ostatnia odeszła mniej więcej pół roku temu, gdyż okazało się, że nie jest w stanie zapanować nad starszymi chłopcami.

Tara umilkła, a potem dodała niemal błagalnym tonem:

- Oni nie są aż tacy niegrzeczni, tylko ona nie umiała zbyt dobrze uczyć.

Spojrzała na Falkirka z lękiem, jakby się bała, że go rozgniewa i dorzuciła:

- Sama uczyłam młodsze dzieci, gdy miałam czas, ale trudno go wygospodarować, jeśli ma się niemowlęta pod opieką.

- Więc opowiadałaś im bajki - powiedział pan Falkirk z uśmiechem. - Jestem przekonany, że bardziej im to odpowiadało.

- Dlatego opowiadałam je w nagrodę - wyjaśniła Tara. - I uspokajały dzieci.

- Na pewno - przytaknął. - Ale pomówię z księciem, gdyż chciałbym mieć pewność, że sierociniec znów otrzyma nauczycieli z prawdziwego zdarzenia.

- To będzie wspaniałe! - wykrzyknęła Tara. - Och, chciałabym tam być. Tak wiele pragnęłabym się nauczyć.

Pan Falkirk spojrzał na nią z uśmiechem i powiedział:

- Z pewnością uczestniczyłaś w wielu lekcjach w swoim życiu.

- Miałam ich za mało - odrzekła Tara. - Pastor był dla mnie bardzo dobry, lecz zmarł w zeszłym roku.

W jej głosie zabrzmiała nuta, która pozwoliła panu Falkirkowi zrozumieć, jak bolesna to dla niej strata.

- Skąd był ten pastor? - zapytał.

- Z kościoła prezbiteriańskiego w Chelsea - odrzekła Tara. - Wydaje mi się, że to jedyny taki kościół w Londynie.

- Czy odprawiał nabożeństwa w sierocińcu?

- Co niedziela. Przychodził też dwa czy trzy razy w tygodniu, aby nas uczyć Pisma Świętego.

Westchnęła cicho.

- Mówił tak ciekawie. Niecierpliwie czekałam na te lekcje, bardziej niż na cokolwiek innego. Poza tym pożyczał mi książki.

- Więc umiesz płynnie czytać.

- Uwielbiam czytać! - odparła. - Ale od kiedy pastor umarł, pozostała mi jedynie Biblia, którą mi kiedyś dał.

Spojrzała na pana Falkirka uśmiechając się nieśmiało i dodała:

- Czasem wydaje mi się, że znam ją na pamięć. Zapewne z niej nauczyła się tak ładnie wysławiać po angielsku, pomyślał pan Falkirk. Zdążył zauważyć, że mówiła językiem, jakim posługują się ludzie wykształceni. Również jej zasób słów był znacznie większy, niż można by się spodziewać po wychowance sierocińca.

- Książę ma bardzo dużą bibliotekę w zamku - powiedział.

Podniecenie zabłysło w oczach Tary, za chwilę jednak przygasło, gdy rzekła:

- Nie sądzę, żeby Jego Wysokość książę zezwolił, abym... ruszała jego książki.

- Jestem przekonany, że pozwoli ci z nich korzystać, jeżeli będziesz na nie uważała - odparł pan Falkirk. - A jeżeli nie, sam posiadam pokaźny księgozbiór, który z radością ci udostępnię.

- Naprawdę, panie?

Rozbawiło go jej podniecenie i oszołomienie.

- Mówiąc szczerze, mam ze sobą kilka książek - powiedział. - Gdy zatrzymamy się dzisiaj na noc, rozpakuję je i będziesz mogła wybrać sobie coś do czytania w podróży. Chociaż obawiam się, że moje książki będą dla ciebie dość ciężkie i nudne.

- Nic, co można czytać, nie jest dla mnie nudne - odparła Tara. - Tak bardzo pragnę czytać. Zawsze chciałam mieć pieniądze na kupno gazety. Ale pani Barrowfield ciągle powtarzała, że nie stać nas na gazetę.

Pan Falkirk zacisnął usta. Podjął już decyzję, że przekona księcia, aby wysłał panią Barrowfield na emeryturę, a na jej miejsce umieścić kobietę rozsądną i pełną matczynego ciepła. Należało znaleźć kogoś, kto nie tylko opiekowałby się dziećmi, lecz również przygotował je do wejścia w świat, w który większość z nich wkraczała w wieku dwunastu lat. Jednak najbardziej martwiło go to, że dzieci z sierocińca były niedożywione i nieodpowiednio ubrane.

Popatrzył na Tarę i z ulgą stwierdził, że jej szara sukienka z białym kołnierzykiem była nie tylko czysta, ale i utrzymana w nie najgorszym stanie. Zastanowił się nad brzydota mundurka i pomyślał, że - sądząc po surowości kroju, rzucającej się w oczy szczególnie w przypadku ciasno przylegającego do głowy, podobnego do hełmu, czepka - takiego wyboru mogła dokonać tylko księżna Harriet. Założycielka Sierocińca Bezimiennych była Szkotką o surowych zasadach i niezwykle konkretnym usposobieniu.

Spoglądając na Tarę, pan Falkirk uznał, że prawdopodobnie byłaby całkiem ładna, gdyby nie ta jej żalosna chudość i gdyby kości przegubów jej dłoni, które czasem wysuwały się spod czarnej peleryny podróżnej, nie były tak okropnie wystające.

- Chcę z tobą zawrzeć pewną umowę - powiedział.

- Umowę?

- Tak. Pożyczę ci moje książki pod warunkiem, że będziesz zjadać wszystko, co się przed tobą postawi podczas naszej podróży do Szkocji.

Tara zaśmiała się.

- Proszę pana, nie odmówię żadnego posiłku, który mi pan zaoferuje.

Lecz pan Falkirk przekonał się szybko, że było to optymistyczne założenie. Tara nie mogła sprostać postawionemu przed nią zadaniu.

Gdy zatrzymali się na pierwszej stacji pocztowej, w karczmie w Baldock, gdzie mieli spędzić noc, Tara odkryła, że przeznaczona dla niej sypialnia na piętrze, przekracza wszelkie jej wyobrażenia o wygodzie i luksusach. Umyła ręce i twarz, przebrała się w drugą suknię z szarego kretonu, identyczną jak ta, którą miała dotychczas na sobie, i zeszła na dół, by spotkać się z panem Falkirkiem.

Z dachu powozu zdjęto część ich waliz i Tara spodziewała się, że pan Falkirk przebierze się do obiadu w inne ubranie, ponieważ powiedział coś na ten temat, gdy zajechali do karczmy. Lecz nie była przygotowana na to, jak wielką różnicę w jego wyglądzie spowoduje wieczorowy strój, i patrzyła ze zdumieniem w szeroko otwartych oczach na jego elegancko skrojony frak o długich polach i muślinową krawatę u szyi.

Ale jej podziw dla ubioru pana Falkirka przyćmiło oszołomienie na widok wszystkich tych potraw, które wnosił do saloniku karczmarz w asyście dwóch służących w czepeczkach. Były tam talerze gorącej, pachnącej przyprawami zupy, udziec barani i dwa tłusciutkie gołąbki, pieczone na rożnie. Postawiony z boku stół uginał się pod ciężarem zimnych mięs, skowronków zapiekanych w cieście z ostrygami, schabu, nóżek - które gorąco zachwalał karczmarz - dorodnych kurcząt oraz dużej szynki.

- Zapewne jesteś głodna, Taro, tak jak ja - powiedział pan Falkirk, gdy zasiedli do stołu.

Zauważył z aprobatą, że czekała, by zobaczyć, którą łyżkę on wybierze do zupy, zanim zaczęła jeść. Jadła szybko i odniósł wrażenie, że pilnuje się, aby nie jeść jeszcze szybciej. Gdy tylko skończyli zupę, karczmarz wniósł apetyczną fladę. Przepraszał, że nie podał jej wcześniej, lecz jego żona dopiero co skończyła ją smażyć. „Palce lizać” - zachwalał.

- Wiem, że będzie panu smakowała - powiedział do pana Falkirka. - I panience też będzie smakować.

Pan Falkirk spostrzegł, że Tara wzięła zaledwie mały kawałek ryby, a spojrzenie, które mu rzuciła, zawierało pytanie, czy nie bierze za wiele. Lecz on nic nie powiedział, a kiedy przyszło do krojenia baraniego udźca, sam nałożył jej sporą porcję. Dopiero gdy skończył to, co miał na talerzu, zobaczył, że Tara zjadła zaledwie kawałek mięsa. - Nie smakuje ci baranina? - zapytał.

- Może to się wydać niewdzięcznością, panie, lecz nie mogę już jeść. - Westchnęła cicho i dodała: - Gdyby można było przesłać choć część tego wszystkiego do sierocińca.

- W danej chwili nie martwi mnie sierociniec - odparł pan Falkirk - lecz ty, Taro. Obiecałaś mi, że zjesz wszystko, co się przed tobą postawi!

- Wiem panie, ale to niemożliwe... naprawdę. Czuję się tak najedzona, że nie jestem w stanie przełknąć następnego kęsa.

- Co ty dzisiaj jadłaś? Zaległa cisza.

- Chcę wiedzieć - nalegał.

- Zjadłam... kawałek chleba ze... smalcem na śniadanie, proszę pana - odparła Tara. - Ale obiadu... nie wystarczyło dla... wszystkich.

- Przyrzekłem ci, że zaradzimy temu w najbliższej przyszłości - powiedział pan Falkirk. - Dlatego chcę, abys

odżywiała się rozsądnie. Dzieci, które tam zostawiłaś, nic na tym nie skorzystają, że będziesz się głodzić, bowiem myślisz o nich. W ten sposób nigdy nie nabierzesz sił. Jestem przekonany, że tego właśnie chciałby książę.

- Będę się starała... naprawdę będę się starała - obiecała Tara.

Ponieważ pan Falkirk nalegał, udało się jej jeszcze zjeść galaretkę z porto, która - jak twierdził karczmarz - była specjalnością zajazdu.

Pan Falkirk jadł obficie i z apetytem i zapewnił Tarę, że w tej karczmie karmiono o wiele lepiej niż w wielu innych gospodach, w których zatrzymają się w drodze do Szkocji. Wypił też butelkę wyśmienitego bordo, lecz nie zaproponował wina Tarze.

Następnego ranka wyruszyli w podróż wczesnie. I chociaż z początku Tara była bardzo spokojna, nie chcąc w żaden sposób przeszkadzać, czy się narzucać panu Falkirkowi, wkrótce przekonał się, że wprost rozsadzają ją pytania. Poczuli się zafascynowani krajobrazem widzianym oczyma osoby, która przez blisko osiemnaście lat była właściwie uwięziona w jednym budynku i pozbawiona kontaktu ze światem.

Podczas podróży ze zdziwieniem odkrywał, że Tara jest niezwykle inteligentna. Uświadomił sobie, jak bardzo dzięki lekturze rozwinęła się jej wyobraźnia i umysł. Bawił go jej sposób reagowania na nowe sytuacje i z zaciekawieniem słuchał jej wypowiedzi na temat bogatych i biednych.

- Wydaje mi się dziwne - oznajmiła w trakcie jednej z rozmów - że w Londynie mieszka tak wielu bogaczy i nic a nic nie obchodzi ich los tych najbiedniejszych.

- Czy masz na myśli tych, których widuje się na ulicach? - zapytał pan Falkirk.

- Tak, chociażby zamiatacze ulic czy biedne stare kobiety podobne do Mary, która mimo że jest bardzo stara, pracuje w

sierocińcu, bo inaczej umarłaby z głodu. Przecież ktoś powinien się nimi zaopiekować.

- Często sam myślałem o tym - przyznał pan Falkirk.

- A dzieci? Cierpią, ale wydaje się, że nikogo to nie obchodzi. Doktor często powtarza, że jeżeli my nie weźmiemy maleństwa, to albo umrze z zaniedbania, albo skończy w rzece!

Gdy Tara mówiła to wszystko, w jej głosie brzmiała bolesna nuta i pan Falkirk zrozumiał, jak bardzo jest wrażliwa - nadspodziewanie wrażliwa, jak na osobę wychowaną w takich warunkach.

- Gdybym była bogata - mówiła - a czasami wyobrażam sobie, że mam miliony, miliony funtów, zorganizowałabym prawdziwe szkoły, w których dzieci mogłyby się uczyć nie płacąc za to ani pensa.

- Wydaje ci się, że podobałoby się to dzieciom?

- Po szkole dziecko miałoby widoki na zdobycie lepszej pracy - odparła Tara. - Mężczyźni, którzy przychodzą do sierocińca w poszukiwaniu czeladników, zawsze pytają, czy chłopiec umie czytać i pisać. Dla dziewcząt nie jest to takie ważne.

- A więc uważasz, że wszystkie dzieci powinny uczyć się czytać?

- Nie ma nic wspanialszego niż czytanie książek.

Pan Falkirk uśmiechnął się.

- Wydaje mi się, że są jeszcze inne rzeczy, które cię zainteresują. Coś, co można zrobić lub zobaczyć, nie tylko poczytać o tym.

Na chwilę zapanowała cisza.

- Do jakiej pracy będę potrzebna Jego Wysokości. Czy sądzi pan, że mam się opiekować dziećmi?

- Nie mam pojęcia - odrzekł pan Falkirk. - Tak wygląda prawda, Taro. Książę kazał mi przywieźć dziewczynę z sierocińca do Szkocji. Musiałem wykonać jego rozkazy.

- Pani Barrowfield powiedziała, że jest pan zarządcą Jego Wysokości.

- Bo jestem - zgodził się pan Falkirk. - Służyłem poprzedniemu księciu aż do jego śmierci, teraz służę jego synowi, piątemu księciu Arkcraig.

- Czy Jego Wysokość jest żonaty?

- Był, ale jego żona zmarła niedawno.

- I nie miała dzieci? Myślałam, że może właśnie dlatego wiezie mnie pan do Szkocji. Chciałabym opiekować się dziećmi.

- Obawiam się, że w zamku Arkcraig nie ma dzieci - powiedział pan Falkirk. - Chociaż w dobrach książęcych jest ich niemało.

- Więc zapewne będę pracowała w pralni - zastanawiała się Tara. - Umiem dobrze pracować, kiedy mam mydło.

Pan Falkirk nic nie odpowiedział, a ona ciągnęła dalej:

- Wolałabym nie iść do kuchni, chociaż nie sądzę, abym mogła wybierać. Muszę zrobić to, co Jego Wysokość mi każe.

- Wszyscy musimy - powiedział pan Falkirk, próbując dodać jej odwagi.

Pytania zaintrygowanej Tary o powody jej podróży do Szkocji tylko wzmagaly jego własną irytację, wywołaną tym, że książę nie zaufał mu. Obaj byli głęboko poruszeni i zdenerwowani wydarzeniami we Francji, i zapewne dlatego nie naciskał swego chlebowodcy, by swe życzenia wyraził jaśniej, co oczywiście by zrobił w innych okolicznościach. Książę jedynie rozkazał mu przywieźć do Szkocji dziewczynę z sierocińca. Po czym natychmiast wsiadł do powozu, który czekał u drzwi, i odjechał.

Powóz eskortowało czterech jeźdźców, a za nimi podążało lando z bagażami, lokajem i sekretarzem, z którym pan Falkirk w ostatniej chwili zdążył omówić kwestię regulowania rachunków we wszystkich gospodach, w których zatrzymywał się książę.

Sam był do tego stopnia zdumiony, że nie będzie towarzyszył jak zwykle orszakowi książęcemu, iż dopiero gdy lando zniknęło z pola widzenia, uświadomił sobie, ile pytań pozostało bez odpowiedzi. Teraz zastanawiał się, czy mógł źle zrozumieć polecenie księcia. Jednakże Jego Wysokość rzecz wyłożył jasno i krótko, nie mogło więc być mowy o pomyłce.

Rzeczywiście, w owej chwili najrozsądniej było nie odzywać się do księcia. Nietrudno było zgadnąć, że spędził bezsenną noc. Pod oczami miał sine cienie, a czoło srogo zmarszczone. Najwyraźniej nie życzył sobie rozmawiać z nikim. Pan Falkirk, chociaż chciał mu wyrazić swoje współczucie i zrozumienie, uświadomił sobie, iż najlepiej zrobi nie odzywając się i nie narzucając księciu.

Zostawiali za sobą kolejne mile, a myśli jego wciąż niespokojnie krążyły wokół tego, co czekało na niego i Tarę w Szkocji. Lecz mieli jeszcze przed sobą długą podróż i pan Falkirk był wdzięczny losowi, że jak na tę porę roku drogi były suche i nie groziło im utknięcie w błocie albo zabłądzenie we mgle, jak się mu to nieraz przytrafiało w jego poprzednich podróżach. Świeciło słońce, ale nie było za gorąco, mimo iż nastał już czerwiec. Przez otwarte okna wpadał lekki, orzeźwiający wietrzyk.

Na początku pan Falkirk odczuwał pewien niepokój, ponieważ książę wziął ze sobą wszystkich jeźdźców i zostawił powóz, w którym jechali z Tarą, bez żadnej ochrony przed rabusiami. Ogromną ulgę sprawiał mu fakt, że kurz unoszący się nad drogą wzbijały tylko koła ich własnego powozu.

Mimo tego, że podniecona Tara wyzbywszy się nieśmiałości zasypywała go pytaniami, pan Falkirk przespał sporą część drogi. Wiedział, że gdy tylko zamknie oczy, Tara otworzy jedną z pożyczonych jej książek, skuli się w kącie powozu i będzie czytać, póki on się znowu nie obudzi.

Jej opinie na temat książek, które miał ze sobą, raczej ciężkich i poświęconych głównie polityce, między innymi najnowszemu komentarzowi do Rebelii 1745 roku, tak zaciekały pana Falkirka, że ze zdziwieniem zauważył, iż przesiaduje nocami dłużej, niż zamierzał. Nie tylko dyskutował z Tarą o tym, co przeczytała, ale dzielił się z nią również swoimi poglądami na tematy roztrząsane w książkach. Rozmawiali również o wielu innych sprawach.

Dopiero gdy zostawał sam we własnej sypialni, niemal z konsternacją uświadamiał sobie, że dyskutował, wykladał i rozmawiał z Tarą zupełnie jak z kimś sobie równym. Przecież powinna raczej zastanawiać się, jaką pracę jej powierzą w zamku - pomyślał - a nie napychać sobie głowę sprawami, które nie będą jej dotyczyć w jej ograniczonej egzystencji.

To dziewczę jest wyjątkowe, nie ma co do tego wątpliwości... Szkoda...

Nagle uświadomił sobie, że wszelkie objawy sympatii okazanej Tarze uprzedzą wobec niej pozostałych służących. Przecież i tak znajdzie się od samego początku w niekorzystnej sytuacji, ze względu na swe nieprawe pochodzenie. Chociaż w Londynie zaobserwować można było pewne rozluźnienie obyczajów, na które niewątpliwie miał wpływ godny potępienia przykład moralny płynący z dworu Jerzego IV, Szkocja pozostawała skrajnie purytańska i surowa. A ponieważ Tara nie miała ojca, będzie nosiła piętno dziecka z nieprawego łoża, jej pochodzenie zaś - była przecież Sassenach (Sassenach - szkockie i irlandzkie określenie Anglików.), czyli Angielką - jeszcze pogorszy sprawę.

- Najlepsze, co mógłbym dla niej zrobić, to odesłać ją z powrotem - powiedział pan Falkirk na głos.

Zaczął winić siebie, że tak dokładnie wypełnił polecenie księcia. Zamiast wieźć Tarę do Szkocji, powinien był wrócić z pustymi rękoma i powiadomić księcia, że nic nie mógł zrobić, ponieważ w sierocińcu nie było sieroty odpowiadającej wymaganiom Jego Wysokości. Byłoby to kłamstwo, no powiedzmy, że tylko wykręt, ponieważ Tara nie była zwyczajną sierotą. Zapewne umknęło uwagi księcia, że w wieku dwunastu lat sieroty oddawane były do terminu.

- Co za głupiec ze mnie, że nie pomyślałem o tym wcześniej - powtarzał sobie pan Falkirk kilkanaście razy na dzień.

Niestety, nic już nie mógł zrobić, a gdy powóz nieubłaganie toczył się przez północną część Anglii w kierunku granicy szkockiej, Tara ciekawiła go coraz więcej. Tym bardziej obawiał się tego, co czekało ją w zamku Arkcraig. Wiedział już, że oceniając obiektywnie, Tara była wyjątkowa, że mógł na polecenie księcia wyszukać tysiąc sierot i nie znalazłby jednej, która mogłaby jej dorównać.

Drugiego dnia podróży, zanim zatrzymali się na nocleg w zajęździe pocztowym, Tara powiedziała z lekkim wahaniem:

- Czy... mogę poprosić o coś, panie?

- Ależ oczywiście - odparł pan Falkirk, - O, co chodzi?

- Zdaję sobie sprawę, że... zupełnie nie wiem, jak powinnam... się zachowywać i... co powinnam robić - powiedziała - a ponieważ... nie chciałabym popełniać błędów... byłabym wdzięczna, gdyby pan mnie pouczył... - Popatrzyła na niego z obawą i dodała: - Postaram się... nie sprawić kłopotu, panie... lecz zawsze pragnęłam zachowywać się... jak dama, przy... stole... albo przy jakimkolwiek zajęciu... ale nigdy nie znalazłam książki na ten temat.

- Istnieją takie książki - powiedział pan Falkirk. - Lecz chciałbym ci powiedzieć, Taro, że wydaje mi się, iż instynktownie wiesz, co należy robić, a to jest o wiele ważniejsze niż wszystko, co możesz wyczytać w książkach.

- Jest pan bardzo miły - rzekła Tara - ale dobrze wiem, iż wiele rzeczy robię źle. Staram się naśladować sposób w jaki pan trzyma nóż i widelec, bo inaczej trzymała je pani Barrowfield.

- Tego można się było spodziewać - uśmiechnął się pan Falkirk. - Pokażę ci, jak to powinno wyglądać.

Lecz zastanawiał się, czy rzeczywiście będzie to z korzyścią dla niej, jeżeli nauczy ją nie tylko jak jadać, jak posługiwać się sztućcami, ale też jak podnosić filiżankę do ust i jak wdzięcznie siadać na krześle. Miała resztę swego życia spędzić między służącymi, którzy w większości zachowywali się zupełnie inaczej, niż ich chlebodawcy uważali za stosowne. Pan Falkirk miał tylko nadzieję, że Tara różniąca się od nich tak bardzo, nie będzie przedmiotem drwin i śmiechu.

- Lecz ona naprawdę jest inna - mówił sobie i po raz nie wiadomo który żałował, że nie pozostawił jej tam, gdzie była, chociaż nie wiedział, jak długo wytrzymałaby takie życie.

Bez wątpienia, mimo męczącej podróży, w wyglądzie Tary nastąpiła zauważalna poprawa, nawet po zaledwie siedmiu dniach. Z jej twarzy zniknęło napięcie i panu Falkirkowi wydawało się, że jej broda się zaokrągliła, a kości nie wystawały już tak przez skórę, jak gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Przybierała też na wadze. Sama mu powiedziała, że pasek tak ją cisnął, iż musiała część nocy spędzić na poszerzaniu sukienek.

- Mam nadzieję, że gdy przyjedziemy do Szkocji, będziesz mogła uszyć sobie nową suknię - pocieszał ją pan Falkirk.

Tara popatrzyła na niego i, zanim wypowiedziała pytanie, wiedział, o co chce zapytać.

- Czy myśli pan... że będę musiała nosić te suknie... gdy będę w zamku? - powiedziała cichym głosem. - Czy też wolno mi będzie ubierać się jak inni?

- Sądzę, że na to pytanie może odpowiedzieć tylko Jego Wysokość.

- On o wszystkim decyduje, nieprawdaż?

- Tak jest - przyznał pan Falkirk. - Widzisz, Taro, chociaż arystokracja angielska posiada dużo władzy i cieszy się ogromnym poważaniem, ksiązę Arkcraig stanowi zupełnie odrębną kategorię.

- Czemu to?

- Ponieważ jest nie tylko szlachetnie urodzony, lecz również jest Wodzem klanu.

- Czytam o klanach w jednej z pana książek.

- I sądzę, że znajdziesz w niej wiele o McCraigach - powiedział pan Falkirk. - Są częścią szkockiej historii i walczyli we wszystkich wielkich bitwach, w których brata udział Szkocja.

- Na przykład pod Stirling Bridge.

- Właśnie - zgodził się pan Falkirk - a także w bitwie, która rozegrała się w tysiąc dwieście dziewięćdziesiątym ósmym roku. Czy wiesz jaka to bitwa?

Myślała chwilę.

- Czytałam o niej zeszłego wieczoru... ależ oczywiście! Bitwa pod Falkirk!

- Bardzo dobrze!

- Myślałam o tym, jak odważny był Wallace - ciągnęła Tara. - Pomimo to skazano go na powieszenie i poćwiartowanie.

- Król Edward nigdy nie wybaczył mu, że zwyciężył pod Stirling Bridge - powiedział pan Falkirk.

- Pana książki opowiadają o bitwach, jakby to były wspaniałe i chwalebne wydarzenia, lecz mnie nie opuszcza myśl o rannych, których nie miał kto pielęgnować.

- To prawda. Ci, którzy nie zginęli na placu boju, umierali później od ran. Były to ciężkie lata, lecz dzisiaj klany już zaprzestały walk, zajmują się uprawą swych ziem i hodowlą bydła.

- Czy nadal oczekują przewodnictwa od Wodza?

- Wierzą w niego, ufają mu. Bez Wodza klan jest jak statek bez steru, jak owce bez pasterza.

Pan Falkirk mówił niemal ostrym tonem.

Myślał o tych wodzach wysokogórskich klanów, którzy goniąc za rozrywkami południa, opuścili Szkocję dla splendoru dworu hanowerskiego w Londynie. Konsekwencją tego było rozproszenie klanów, ich członków zaś wykorzystywali jako siłę roboczą mieszkańcy nizinnych okolic Szkocji. Część z nich wywieźli za morza ci, którzy zamierzali góry Szkocji przekształcić w ogromne pastwisko dla owiec, więc usuwali z hal ludzi zamieszkujących tam od stuleci.

Na chwilę zapomniał o Tarze, aż usłyszał jej pytanie.

- Czy opowie mi pan o obecnym księciu? Czy jest młody?

- Jego Wysokość książę skończył właśnie trzydzieści lat - odrzekł pan Falkirk. - Jest wyjątkowo przystojny i sądzę, że będziesz uważała, iż wygląda właśnie tak, jak powinien wyglądać Wódz klanu. Urwał, po czym dodał z wahaniem:

- Książę miał ostatnio dużo zmartwień i mogę się tylko modlić, aby przyszłość okazała się dla niego łaskawsza od przeszłości.

Zaciekawilo to Tarę, lecz ponieważ pan Falkirk zmienił temat, zrozumiała, iż nie miał chęci dłużej rozprawiać o swoim chlebodawcy. Ponieważ interesowało ją tak wiele rzeczy, wróciła myślą do księcia dopiero, gdy znaleźli się o

dzień drogi od zamku Arkcraig. Jego cień padł na jej myśli napelniając ją niezrozumiałą obawą. .

- Jesteśmy teraz na ziemi McCraigów - pan Falkirk poinformował ją poprzedniego dnia.

Tara widziała w Londynie kobiety z koszami na głowach, sprzedające na ulicach bukietki białego, a czasem fioletowego wrzosu. Jakże inaczej wyglądał jednak na rozległych wrzosowiskach, gdzie rozkwitał wszystkimi odcieniami fioletu. Światło kładące się na wzgórzach nadawało krajobrazowi niemal baśniowy charakter, a mgły, które skrywały go rankiem, i błękitne jeziora tylko potęgowały wrażenie. Nie wyobrażała sobie, że gdziekolwiek może istnieć taki zaczarowany świat jasności i cienia, gdzie barwy są tak jaskrawe, że aż nierzeczywiste, gdzie niebo zmienia się z błękitu w szarość, a słońce w deszcz, jak humor kobiety.

- Czy tego się spodziewałaś? - zapytał pan Falkirk.

- Nawet mi się nie śniło, że coś takiego może istnieć - westchnęła Tara. - To jest tak piękne... tak piękne, że samo patrzenie sprawia mi ból.

Rozumiał, co usiłuje powiedzieć, i rozumiał też, czemu zupełnie zapomniała o swych książkach siedząc cały dzień przy oknie, gdzie wiatr owiewał jej twarz zapachem wrzosów. Chwilami zdawała się być pod działaniem czasu, oczy jej nabierały tajemniczej głębi, jak srebrzyste kaskady i kryształowo czyste strumyki biegnące wzdłuż drogi.

Jeżeli obawiała się tego, co na nią czekało, obawiał się też pan Falkirk. Wiedział, że w czasie podróży Tara zmieniła się bardzo. Nie było to już to samo dziewczę, które zabrał z sierocińca. Zmiana dokonana się nie tylko dzięki jego naukom, wyjaśnieniom, odpowiedziom na zadawane przez nią pytania. Przeobraziła ją ich wspólna podróż, tak inna od jej poprzedniego życia, ale również inna od tego, co ją czekało.

Może powinna była podróżować jak służąca - pomyślał pan Falkirk.

W takim przypadku powinien był nalegać, aby towarzyszyło im jeszcze jedno lando albo kazać Tarze jechać na pudle, wciśniętej między woźnicę a lokaja, na miejscu właściwym jej stanowi. Natomiast on, nie zastanawiając się nad tym, co robi, wziął ją do siebie, jakby była jego znajomą, młodą damą z dobrego rodu. W zajazdach pocztowych spała w najlepszych pokojach, jadła razem z nim w osobnych salonikach, obsługiwały ją pokojówki, a służący odzywali się do niej uprzejmie. Dzięki swej wrażliwości i instynktowi, podpowiadającemu co wypada, a co nie, Tara zachowywała się w podróży zupełnie jak prawdziwa dama. Zdradzały ją tylko jej suknie.

- To był błąd... Obawiam się, że to był błąd - powiedział na głos pan Falkirk, wiedział jednak, że gdyby miał po raz wtóry podjąć decyzję, zachowałby się dokładnie tak samo.

Pan Falkirk był bezdzietny, bo chociaż kochał wiele kobiet, żadnej nie pojął za żonę. więc z zafascynowaniem obserwował jak pąk otwiera się i rozwija w kwiat, który uznać musiał za zaskakująco piękny. Myśli Tary w dziwny sposób biegły podobnymi torami, co jego własne, i wiedział, że każdy nauczyciel marzy o takim właśnie uczniu. Uczniu tak sprawnym umysłowo, tak chłonnym, jak Tara, która przyswajała sobie nie tylko to, co jej powiedział, lecz także to, co myślał.

- Bóg jeden wie, co z nią będzie - powtarzał sobie, wiedząc, że gdyby mógł kierować się swoimi chęciami, odesłałby ją z powrotem do Londynu i to natychmiast, zanim dotrą na zamek.

Nieświadoma tych myśli Tara zadzierała głowę ku górującym nad nimi szczytom i nachylała się, aby popatrzeć

na srebrzystą kaskadę, spadającą po nagiej szarej skale do leżącego w dole jeziora.

- Za każdym razem, gdy spoglądam przez okno, jest coraz piękniej - powiedziała. - Jest coś takiego w Szkocji, przez co czuję... zapewne pan pomyśli, że to śmieszne... czuję, że należę do tego miejsca, że jest częścią mnie..., częścią mojego serca.

Dwa powozy sunące wzdłuż wysadzonej drzewami alei, prowadzącej do zamku, wiozły sześciu mężczyzn odzianych w zielono - żółty kraciasty tartan klanu Kildonnonów.

Wódz klanu, przystojny mężczyzna o krzaczastych bokobrodach, podobnych brwiach oraz siwiejącym wąsie, rozsiadł się wygodnie. Natomiast jego brat i dwaj synowie, ubrani w taki sam tartan, omawiali między sobą powód, dla którego zaproszono ich na zamek.

- Jak myślisz, ojcze, dlaczego księżę wezwał nas tak obcesowo?

- Był to raczej rozkaz niż zaproszenie - dodał drugi syn.

- Owszem - potwierdził stryj. - Nie było to grzeczne zapytanie: „Czy zechcecie przyjechać?“, ale zdecydowane: „Macie być na zamku o godzinie czwartej w dniu dziesiątego lipca, czy wam się to podoba, czy nie!“

- Sądzę, że księżę zamierza zdać nam sprawę ze swojej podróży do Francji - powiedział The Kildonnon.

Jego tytuł, The, należał do najstarszych w Szkocji, choć klan Kildonnonów był niewielki, miał długą historię i odznaczał się niezwykłą dumą.

- Wiedziałeś, że udał się do Francji? - zapytał Wódz jego brat.

- Tak, wiedziałem.

- I nie uważasz, że mogła istnieć jakaś szczególna przyczyna jego podróży?

Po tym pytaniu zaległa cisza i minęła dobra chwila, zanim The Kildonnon zapytał:

- Co masz na myśli?

Znów zapadła chwila ciszy, którą zakłócał jedynie stukot kół i końskich kopyt. Wreszcie Alister Kildonnon .xi rzekł:

- Krążyły plotki - choć nie wiem, czy doszły do ciebie - że jakiś miesiąc temu Margaret pojechała do Francji.

- Margaret pojechała do Francji? - powtórzył The Kildonnon. - Kto tak mówi? Dlaczego mi nie powiedziano?

- Nie jestem pewien, czy to prawda - odparł jego brat. - Słyszałem jedynie, że opuściła zamek i pojechała na południe.

Siedzący naprzeciwko dwaj synowie The Kildonnona wymienili spojrzenia. Było oczywiste, że mogliby coś na ten temat powiedzieć, gdyby tylko chcieli, lecz jak na sekretny znak zacisnęli wargi i siedzieli w milczeniu.

Byli to przystojni młodzieńcy, jeden liczył sobie lat dziewiętnaście, drugi - dwadzieścia trzy. Ich zawadiacki sposób noszenia czapek i buńczuczna postawę naśladowało wielu młodych mężczyzn z klanu Kildonnonów.

- Cóż, dowiemy się, czy Margaret jest we Francji, czy nie, gdy zajedziemy na zamek - powiedział Alister Kildonnon, gdy konie z wysiłkiem ciągnęły powóz, wstępując na ostatnie wzniesienie alei podjazdowej.

Zamek Arkcraig wznosił się wysoko nad doliną, był wspaniale usytuowany, gdyż od stuleci McCraigowie umacniali swe pozycje w przygotowaniu na odparcie nieprzyjacielskich napaści.

Najbardziej zajadłymi ich wrogami byli Kildonnonowie. Nieustanne walki między dwoma skłóconymi klanami zebrały śmiertelne żniwo i pozostawiły las krzyży widniejący na cmentarzu położonym niżej na stoku góry.

Ponad zamkiem, z jego murami obronnymi, wieżami i główną basztą, której ściany kiedyś stanowiły fortyfikację nie

do zdobycia, wznosiły się wysokie wzgórza, w zimie pobielone śniegiem. Lecz teraz właśnie rozkwitały wrzosy. Na ich fioletowym tle wyraźnie odcinał się szary kamień.

Konie z fantazją zajęły pod gigantyczną bramę wjazdową, ozdobioną nabijanymi mosiądzem ćwiekami i wiekowymi zawiasami kutymi z żelaza. Gdy tylko się zatrzymały, drzwi otwarto i słudzy książęcy, odziani w tartan McCraigów, z obowiązkowymi sporrkami (Sporran - skórzana torba stanowiąca część szkockiego stroju narodowego.) z borsuczej skóry zawieszonymi w pasie, wprowadzili gości.

W drugim powozie najeżdżali dwaj synowie Alistera, brata The Kildonnona.

Sześciu członków klanu wprowadził z zachowaniem ceremonii majordomus, noszący sporrak strojnieszy niż pozostali słudzy. Zaprowadził Kildonnonów po szerokich schodach na pierwsze piętro.

Tam, zgodnie ze szkockim zwyczajem, znajdowały się komnaty, gdzie przyjmowano gości, z których najważniejszą była Komnata Wodza. Kildonnonowie wiedzieli, że książę przyjmie ich właśnie tam.

Była to wspaniała komnata o wysokich oknach wychodzących na ogrody ciągnące się u stóp zamku i dalej na szare jezioro otoczone falującymi wrzosowiskami, będącymi ostoją dzikiego ptactwa.

W Komnacie Wodza nikt na nich nie czekał. The Kildonnon podszedł do okna, by spojrzeć z zawiścią na jezioro, o którym wiedział, że jest pełne młodego łososa, a także na wrzosowiska, o wiele żyźniejsze od jego własnych i niewątpliwie bardziej obfitujące w zwierzynę.

Jednakże nie przybył tu, aby podziwiać posiadłości innego Wodza, czy też mu ich zazdrościć. Choć nie miał zamiaru się do tego przyznać, dręczyły go te same pytania, co innych:

dlaczego ksiązę rozkazał im przybyć na zamek i czy plotki o księżnej miały jakiegokolwiek podstawy?

Drzwi po przeciwległej stronie komnaty otworzyły się i wszedł ksiązę Arkcraig. Jedno spojrzenie na niego wystarczyło The Kildonnonowi, aby się zorientować, że nie jest to przyjacielskie spotkanie, lecz oficjalna audiencja, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego sprawy przybrały taki obrót.

Książę Arkcraig był wysokim mężczyzną, wyższym od wszystkich Kildonnonów. Tego dnia trzymał się szczególnie sztywno i wystarczyło spojrzeć na jego twarz, by poznać, że coś go gnębi. W ciągu ostatniego roku, odkąd ksiązę został mężem jego córki, The Kildonnon zdażył go poznać i polubić, a ich spotkania zazwyczaj nie odbywały się w formalnej atmosferze. Książę witał go przyjaznym uściskiem dłoni i natychmiast zaczynał dyskusję na temat interesujący ich obu, a była to nieodmiennie przyszłość klanów.

Lecz dzisiaj ksiązę podszedł do nich i przez chwilę stał spoglądając na The Kildonnona, jakby go nigdy wcześniej nie widział. Na jego twarzy malowało się wzburzenie, a pochmurne spojrzenie zwiastujące gniew zmroziło przybyszów.

Jakby chcąc zrobić na nich wrażenie, ksiązę przywdział galowy strój Wodza, biały sporran zdobiony srebrem na czerwono - niebiesko - białym tartanie, pled spięty na ramieniu ogromną broszą z brunatnym górskim kryształem. U jego szyi białł się koronkowy żabot, a zza kraciastej skarpety pobłyskiwał skean - dhu (Skean - dhu - rodzaj sztyletu.).

Milczące przyjęcie, które zgotował im ksiązę, uświadomiło The Kildonnonowi, że coś wisi w powietrzu niczym ciemne chmury zgromadzone nad wrzosowiskami. Wreszcie, ponieważ uznał, że jako starszy powinien się

odezwać i rozwiać niepokój, który ogarnął wszystkich, powiedział z wysiłkiem:

- Dzień dobry, Arkcraig! Prosiłeś, abyśmy przybyli, i oto jesteśmy!

- Dzień dobry!

Głos księcia był zimny i twardy.

- Bądźcie łaskawi usiąść.

Mówiąc to wskazał dłonią krzesła ustawione rzędem w przeciwległym końcu komnaty. Przed nim stał fotel o wysokim oparciu, kunsztownie rzeźbione krzesło Wodza. The Kildonnon wiedział, że używa się go wyłącznie przy oficjalnych okazjach.

Zauważył, że jego synowie i bratankowie wymieniają między sobą spojrzenia. Nie zamierzał jednak niczym okazać lęku, który w nim narastał. Przeszedł więc przez komnatę, jak chciał książę, zasiadł na krzesle i założył nogę na nogę, zmuszając się do zachowania przynajmniej zewnętrznego spokoju.

Pozostali Kildonnonowie poszli za jego przykładem. Dopiero gdy wszyscy usiedli, książę majestatycznie ruszył ku krzesłu, które w tych okolicznościach zdawało się być niemal tronem. Nie usiadł, tylko stanął przed nim. Potem, wpijając się wzrokiem w The Kildonnona, powiedział powoli i wyraźnie:

- Sprowadziłem cię tutaj, Kildonnon, byś wysłuchał prawdy o twojej córce Margaret, mojej małżonce księżnej Arkcraig, która już nie żyje!

ROZDZIAŁ 3

- Nie żyje! - słowa te zabrzmiały jak grom, obijając się echem po Komnacie Wodza. W chwilę później, gdy pozostali członkowie klanu z niedowierzaniem wpatrywali się w księcia, The Kildonnon rzekł:

- Dlaczego mi nie powiedziano?

- Mówię ci teraz!

- A gdzie jest jej ciało?

- Pochowano ją we Francji, obok jej kochanka. - Ktoś ze świstem wciągnął powietrze, a księżę dokończył chrapliwie: - Gotów jestem opowiedzieć wam, co zaszło, i dlatego sprowadziłem was tutaj.

The Kildonnon siedział wbijając weń wzrok. Jego - gęste brwi zbiegły się na czole. Pozostali trwali nieruchomo na swych krzesłach i tylko stojący przed nimi księżę wydawał się wręcz obraźliwie spokojny. Lecz jego twarz była tak ponura i surowa, że zdawać się mogło, iż ta jedna noc z młodego człowieka uczyniła starca.

Arkraig skierował swe słowa do The Kildonnona.

- Kiedy ty i ja uzgodniliśmy, iż nasze klany będą żyć w pokoju, że ustaną walki między nami, zaproponowałeś kilka rozwiązań, dzięki którym miałem umocnić nasze dobrosąsiedzkie stosunki.

The Kildonnon skinął potakująco głową.

- Po pierwsze - ciągnął księżę - miałem ci pożyczyć dziesięć tysięcy funtów na pomoc dla zubożałych członków twojego klanu i dla tych, którzy jak twierdziłeś, doznali krzywdy z naszej strony.

- I tak było - przerwał Alister Kildonnon. - To McCraigowie spustoszyli nasze pola, rozpędzili stada i pokradli owce!

Mówił ze złością i napastliwie, lecz księżę całkowicie zignorował go. Ze wzrokiem wciąż utkwionym w The Kildonnona ciągnął, jakby nikt się nie odezwał:

- Po drugie: aby wzmocnić więzy między naszymi klanami, miałem zaślubić twoją córkę, Margaret.

Zaległa cisza, która zdawała się wypełniać całą salę, jakby sześciu mężczyzn wstrzymało oddech.

- Podkreślałeś - mówił dalej - że gdy twoja córka zostanie księżną Arkcraig, będzie mogła wiele pomóc kobietom z twojego rodu. Zachęcając je do nauki rzemiosła, miała im uświadomić, że dni walk się skończyły, a dzieci należy wychowywać w atmosferze pokoju.

The Kildonnon nie odezwał się. Księżę zapytał:

- Czy nie to mi zaproponowałeś i nie na to się zgodziłem?

- Tak było - rzekł krótko The Kildonnon.

- Ponieważ wierzyłem, iż nasze zamierzenia były bardzo korzystne nie tylko dla twojego klanu, ale i dla mojego - ciągnął dalej księżę - pożyczyłem ci pieniądze i poślubiłem też twoją córkę.

Spojrzał przelotnie na pozostałych członków klanu, a w jego oczach odmalowała się taka pogarda, że zamarli, czując się tak, jakby ich opluł.

- Nie miałem pojęcia - powiedział surowo Arkcraig - iż twoja córka nie zgadzała się z twoimi zamiarami, że nie pociągał jej sielski obraz pokoju i dobrobytu, jaki obaj mieliśmy zamiar stworzyć w przyszłości.

Znowu spojrzał na pozostałych Kildonnonów i mówił dalej:

- Oszukiwała i bez wątpienia każdy McCraig powiedziałby, że Kildonnonowie oszukują od wieków!

- Uważam to za obelgę! - krzyknął Alister Kildonnon.

- Ale to jest fakt - zripostował księżę. - Tej samej nocy, kiedy pojąłem ją za żonę, Margaret Kildonnon oznajmiła mi,

że mnie nienawidzi i gardzi mną i wszystkimi z mojego klanu, a żoną moją pozostanie jedynie z nazwiska.

Znowu zaległa złowroga cisza, wreszcie The Kildonnon odezwał się zmienionym głosem:

- Musisz mi uwierzyć, Arkcraig, nic wiedziałem, że ona tak czuła.

- Wyobrażałem sobie, że czas złagodzi jej gorycz - odparł tamten - nie wiedziałem natomiast o jednym, o czym bez wątpienia wiedzieli niektórzy członkowie twojej rodziny. Margaret miała kochanka i nie oddaliła go, gdy mnie poślubiła.

The Kildonnon znieruchomiał. Jego synowie wymieniali spojrzenia i szybko, jakby w zamieszaniu, uciekali ze wzrokiem.

- Podobno mąż zawsze ostatni dowiaduje się o tym, że jego małżonka cudzołoży. - Głos księcia był głosem człowieka, który musi powiedzieć coś odrażającego, lecz który panuje nad własnym obrzydzeniem.

- Zapewniam cię, na mój honor, że nie wiedziałem o tym - powiedział The Kildonnon.

- Więc ciebie oszukano tak jak mnie! - rzekł Arkcraig. - Oszukała ciebie nie tylko córka, ale także synowie, bratankowie i zapewne twój własny brat!

Powoli The Kildonnon obrócił głowę, by spojrzeć na swych krewnych, lecz unikali jego wzroku.

Księżę zaśmiał się ponuro.

- Czy sądzisz, że nie wiedzieli, iż ich kuzyn Neil spotyka się potajemnie z moją żoną, gdy tylko nadarzy się po temu okazja? - Ponieważ nie było odpowiedzi, ciągnął dalej: - Nie wątpię, że ludzie z mojego własnego klanu mogli powiedzieć mi, gdzie udawała się księżna, gdy upierała się, aby jechać samotnie; kto czekał na nią na wrzosowiskach i w lasach, w

jaki sposób przemycano na zamek listy, przewożone przez granicę przez wtajemniczonych.

Głos księcia smagał niczym pejcz. Teraz brzmiała w nim nie tylko pogarda, lecz także niepohamowany gniew. Jego ciemne oczy miały wściekłe błyski.

- Nie wiem, jak długo trwałby ten hańbiący i poniżający stan rzeczy - powiedział - gdyby twoja córka nie uświadomiła sobie, że muszę dowiedzieć się o jej zdradzie, bowiem była brzemienna.

Nie ulegało wątpliwości, że wieść ta wstrząsnęła The Kildonnonem. Jego dłonie zacisnęły się na poręczach fotela, z twarzy zaś jego brata odpłynęła cała krew.

- Brzemienna! - powtórzył niemal niedosłyszalnie. - Skądżeś się o tym dowiedział?

- Twoja córka łaskawie zostawiła mi list opisujący okoliczności, które spowodowały jej wyjazd do Francji z kochankiem i kuzynem - Neilem Kildonnonem!

Po raz wtóry dwaj synowie The Kildonnona skrzyżowali spojrzenia i było oczywiste, że musieli wiedzieć, gdzie wyjechała ich siostra. Lecz książę na nich nie patrzył. Z oczyma wciąż utkwionymi w ich ojca kontynuował swą opowieść:

- Gdy tylko się dowiedziałem, dokąd udała się owa kobieta, która nosiła moje nazwisko, a była w ciąży z innym, podążyłem jej śladem.

- Pojechałeś do Francji? - pytanie The Kildonnona zabrzmiało chrapliwie.

- Ponieważ popłynąłem morzem, gdy oni wybrali drogę lądową - odrzekł - zdażyłem do Calais przed nimi.

- Co tam zaszło?

To Alister Kildonnon zadał pytanie, jakby nie mógł wytrzymać niepewności.

- Wyzwałem Neila Kildonnona na pojedynek - odparł książę - i zabiłem go!

- Zabiłeś! - wykrzyknął The Kildonnon oskarżycielskim tonem.

- Pojedynek był całkowicie honorowy - rzekł powoli Arkcraig - obaj mieliśmy sekundantów, a sędzia był człowiekiem powszechnie szanowanym,

- A on cię nie ranił? - zapytał Rory, starszy syn Kildonnona.

Książę wykrzywił wargi i odrzekł:

- Neil Kildonnon nigdy nie był wybitnym strzelcem!

- Ale... zabić go! - W ustach Alistera Kildonnona także zabrzmiało to jak oskarżenie.

- Dokładnie mówiąc - powiedział zimno książę - umierał prawie cały dzień. Otoczono go opieką lekarską i o ile wiem, zrobiono wszystko co w ludzkiej mocy, by uratować mu życie.

- A jednak umarł! - powiedział The Kildonnon. - A Margaret?

- Gdy doniesiono jej o jego śmierci, twoja córka przebiła sobie serce jego skean - dhu.

- Mogłeś do tego nie dopuścić! Z pewnością mogłeś do tego nie dopuścić! - krzyknął Rory Kildonnon zrywając się na nogi.

Książę zmierzył go wzrokiem od stóp do głów i odparł:

- Kazałem zawieźć moją żonę do klasztoru, gdzie umieszczono ją pod opieką zakonnicy. Niestety, ponieważ straszliwie cierpiała, lekarz zalecił podawać jej laudanum. Opiekująca się nią siostra zakonna dała jej przepisaną dawkę, a buteleczkę postawiła w drugim kącie sypialni.

Odwrócił oczy od młodzieńca, który stał przed nim wzburzony, i spojrzał na The Kildonnona.

- W jakiś sposób, nadludzkim wysiłkiem - ciągnął cicho - Margaret zwlokła się z łoża, wzięła buteleczkę i wypła całą jej zawartość.

The Kildonnon zakrył dłonią oczy. Po raz pierwszy pozwolił sobie na gest słabości.

- Zapadła na śpiączkę - mówił dalej książę - i nigdy się więcej nie zbudziła.

- I, jak sądzę, było ci to na rękę? - zapytał ze złością Rory Kildonnon. - Pozbyłeś się ich obojga, Neila i mojej siostry.

Postąpił w kierunku Arkcraiga z groźnie wysuniętą brodą i zaciśniętymi pięściami.

- Usiądź! - rozkazał ostro książę. - Usiądź i wysłuchaj, co jeszcze mam wam do powiedzenia.

Wyglądało na to, iż nie zostanie wysłuchany, lecz The Kildonnon odjął dłonie od oczu i powiedział:

- Usiądź, Rory, Margaret umarła i nie możemy temu zaradzić.

- Neil też nie żyje! - odparł ze złością Rory Kildonnon, ale usłuchał ojca.

Książę spojrział na siedzących przed nim mężczyzn, po czym oznajmił:

- Są dwie rzeczy, które możecie zrobić: albo podejmiecie decyzję, że prawda o śmierci mojej żony nie wydostanie się poza tę salę, albo rozgłosicie ją i nasze klany znowu skoczą sobie do gardeł.

Popatrzył na Rory'ego Kildonnona i na pozostałych. Po ich twarzach poznał, że w tej chwili z chęcią rzuciliby się do walki z nim. Ale The Kildonnon odezwał się władcym tonem:

- To, co nam opowiedziałeś, Arkcraig, pozostanie między nami. Nie pragnę, aby zhańbiono imię mojej córki. Ani nie pragnę ciągnąć w nieskończoność waśni, która zbyt długo niosła niedolę i cierpienie Kildonnonom.

- Oto rozsądny wybór - rzekł książę. - Lecz mając na uwadze sposób, w jaki mnie potraktowano oraz upokorzenie, które musiałem znieść, chciałbym postawić pewien warunek, na który wyrazicie swoją zgodę.

Sześciu mężczyzn spojrzało na niego z obawą. W jego głosie brzmiał inny ton, zaszła też pewna zmiana w jego zachowaniu. Odnieśli wrażenie, że rzuca im nie wypowiedziane słowami wyzwanie.

- Jaki to warunek? - zapytał The Kildonnon.

- Bardzo prosty - odrzekł książę. - Przyjąłem żonę, którą dla mnie wybraliście. Teraz wy przyjmiecie tę wybraną przeze mnie.

- Żonę! - wykrzyknął Alister Kildonnon niedowierzająco.

W odpowiedzi książę podniósł duży, srebrny dzwonek stojący za nim, na stoliku koło krzesła Wodza. Zadzwoił i niemal natychmiast otwarły się drzwi do komnaty.

Droga wiodła w górę po stoku zbocza, wijąc się między halami liliowymi od wrzosu. Gdzieniegdzie, spłoszone widokiem koni, wzbijały się stada dzikiego ptactwa i spływały ku nizinom, szybując z wdziękiem, który wydawał się Tarze nie do opisanego.

Całą drogę od miejsca ich ostatniego noclegu siedziała jak oczarowana pięknem mijanego krajobrazu. Widziała tajemnicze, ciemnozielone sosnowe lasy, nagie górskie zbocza, po których toczyły się kaskady, migocąc w słońcu i nękając u stóp skalistych złomów. Górskie stawy były jeszcze piękniejsze niż te, które podziwiała wcześniej, a promienie słońca zamieniały wodę w złoto. Z każdą przebytą milą Tara coraz bardziej nabierała przekonania, że podróżuje po baśniowej krainie, w której istnienie nigdy nie wierzyła.

- Czy może być coś piękniejszego? - zapytała. Siedzący obok niej pan Falkirk zaśmiał się.

- To samo powiedziałeś wczoraj.

- I powtórzę to jeszcze jutro! - odrzekła. - Gdyby podróż ta mogła trwać wiecznie.

Wiedział, że lękała się przyjazdu na zamek, i uważał, że miała istotne powody do obaw. On sam żałował w pewien sposób, że ich podróż dobiegała końca i że nie będzie mógł dalej nauczać tego pojętnego dziecka.

- Wkrótce ujrzymy zamek - powiedział, gdy konie stanęły na szczycie wzgórza i zaczęły schodzić w następną dolinę.

Tara odwróciła się od okna i spojrzała na swego towarzysza.

- Ja... ja się... boję - szepnęła bardzo cicho.

- Zapewniam cię, że nie będzie aż tak źle - odparł.

- Może być... gorzej. - Westchnęła lekko, a potem dodała lekko drżącym głosem: - Czy... pan tam będzie?

- Owszem, będę - obiecał pan Falkirk - ale zrozum, Taro, jestem zarządcą Jego Wysokości i gdybym faworyzował kogoś ze służby, mogłoby to wywołać różne komentarze, a możliwe, że nawet niesnaski.

- Rozumiem - powiedziała Tara. - Ale przyrzekł pan, że będę mogła pożyczać pana książki i... będę mogła porozmawiać jeśli... trudno mi będzie... wytrzymać.

- Przyrzekam ci, że nie będzie tak źle - odparł ostro pan Falkirk.

Myślał o Tarze w nocy i zdecydował, że spróbuje przekonać księcia o jej raczej niepospolitych zaletach, a jeżeli książę nie będzie miał zdecydowanego poglądu na sprawę, postara się, żeby Tara trafiła pod opiekę ochmistrzyni, dobrotliwej kobiety, która od ponad trzydziestu lat służyła na zamku.

- Nie mogę zapomnieć oddać ci jednej rzeczy - powiedział głośno. - Wydaje mi się, Taro, że doda ci ona odwagi. - Mówiąc to wyciągnął z kieszeni kamizelki mały złoty medalion, który niegdyś należał do jej matki.

Tara wydała cichy okrzyk radości, a gdy włożył medalion w jej dłoń, spuściła na niego wzrok. Zrozumiał, że dał jej coś, co rzeczywiście sprawiło jej wielką radość.

- Czy często myślisz o swojej matce? - zapytał.

- Opowiadam sobie o niej w myślach - odrzekła Tara - i o ojcu też.

Wydało mu się, że gdy wypowiadała to ostatnie słowo, w jej głosie zabrzmiało wyzwanie. Jakby prowokowała go do wytknięcia tego niewątpliwego faktu, iż jej ojciec, kimkolwiek był, nie zechciał poślubić jej matki.

- Cieszę się z tego - powiedział pan Falkirk. . - Mam wrażenie, Taro, że gdybyś nie miała tak bujnej wyobraźni, twoje dotychczasowe życie byłoby o wiele trudniejsze do zniesienia.

- Umiałam czytać i to sprawiało całą różnicę. Mogłam uciec w lekturę od wszystkich problemów sierocińca. Mogłam zapomnieć o pani Barrowfield, o braku pieniędzy, o tym że dzieci były zawsze głodne.

- Już nie będą więcej głodne - oświadczył pan Falkirk. - Możesz być tego pewna.

- Wciąż powtarzam sobie, że to, co mi pan obiecał, jest prawdą - odrzekła Tara. - i wydaje mi się, że gdy dzieci będą syte, łatwiej będzie sobie z nimi poradzić.

- Jestem o tym przekonany - powiedział pan Falkirk uspokajająco. - Taro, postaraj się dla odmiany pomyśleć o sobie. Rozpoczynasz nowe życie i chciałbym bardzo, abyś była w nim szczęśliwa.

- Mimo to... boję się - wyszeptała Tara prawie bezgłośnie.

A potem uśmiechnęła się i panu Falkirkowi wydało się, że jej oczy rozblęły.

- Oto co zrobię, panie. Założę medalion mojej matki i za każdym razem, gdy wspomnę, że mam go na sobie, będę z

niego czerpać odwagę. Taką, jaką wykazali Szkoci w walkach z Anglikami.

- Czytałaś o tym - uśmiechnął się pan Falkirk.

- Zeszłej nocy czytałam o bitwie pod Culloden - odrzekła Tara. - Och, dlaczego nie wygrali? Taki zamęt tam panował... głodni, przemoczeni żołnierze szkoccy, Anglicy wsparci ogniem armatnim.

Odwróciła się od niego i spojrzała przez okno. Ale nie widziała piękna rozciągających się tam wrzosowisk. Przed oczyma miała upokorzone i zwyciężone klany, rannych umierających na polu bitewnym, triumfujących, zniechęconych Anglików, z premedytacją dobijających tych, którzy jeszcze żyli.

- Walka się skończyła - powiedział pan Falkirk cicho. - Teraz, Tara, musimy pracować nad tym, aby zapewnić Szkotom dobrobyt. Wielu z nich żyje w straszliwej biedzie, a jeżeli posiadają jakiegokolwiek talenty, prócz talentu do utrzymywania się przy życiu, nie umieją z nich korzystać.

- Chciałabym móc im pomóc - rzuciła impulsywnie Tara.

Potem zaśmiała się i dodała:

- Jakże butnie to zabrzmiało, panie, gdy ja sama jestem tylko Sassenach!

- Nie możesz być tego pewna - powiedział pan Falkirk. - Nosisz przecież szkockie imię.

- Tara to szkockie imię? - zapytała. - Zawsze mnie to zastanawiało.

- Oczywiście, że szkockie - odparł pan Falkirk. - Myślałem, że pastor ci o tym powiedział.

- Zazwyczaj rozmawialiśmy o Biblii - odrzekła Tara - albo o książkach, które mi pożyczył. Nigdy nie przyszło mi do głowy, aby zapytać go o coś związanego ze mną. Jej oczy lśniły, gdy ciągnęła dalej:

- Lecz powiedział mi pan coś wspaniałego. Teraz gdy wiem, że mam szkockie imię, będę śniła, że należę do tego pięknego kraju. I będę tak samo odważna jak Szkoci.

Pan Falkirk pomyślał, że w jej słowach było coś ogromnie wzruszającego, ale nie zdążył już nic powiedzieć, bowiem powóz zatrzymał się nagle.

- Ciekaw jestem, co się stało?! - wykrzyknął i wystawił głowę przez otwarte okno.

Zaskoczony ujrzał stajennego, w książęcej liberii, siedzącego na koniu. To on zatrzymał powóz. Zsiadł z konia i, trzymając go za uzdę, ruszył w ich kierunku.

- Dzień dobry, panie Falkirk.

- Dzień dobry, Andrew.

- Mam dla was, panie, wiadomość od Jego Wysokości księcia.

- O co chodzi? - zapytał pan Falkirk.

- Jego Wysokość księżę prosi, abyś panie przybył na zamek dokładnie za dziesięć piąta. Macie się udać na galeryjkę przed Komnatą Wodza i tam poczekać, aż księżę zawezwie was dzwonkiem.

Pan Falkirk wyglądał na zdziwionego.

- Czy nie zobaczę się z księciem wcześniej?

- Nie, panie, ale gdy jaśnie księżę zadzwoni, wy i ta osoba, coście ją ze sobą przywieźli, macie wejść do Komnaty Wodza.

Stajenny przemawiał, jakby wyuczył się wiadomości na pamięć, niczym papuga. Gdy skończył, pan Falkirk powiedział:

- Czy to wszystko?

- Tak, panie.

- Dziękuję, Andrew.

Stajenny zasalutował, wsiadł na swojego konia i, uśmiechnąwszy się szeroko do lokajów, odjechał drogą, którą przybył.

Pan Falkirk wyjął zegarek z kieszeni i rozmawiał z lokajem, który zeskoczył z powozu i stanął przy drzwiczkach w oczekiwaniu na polecenia.

- Jeżeli pojedziemy teraz na zamek, to przybędziemy zbyt wcześnie. Zatrzymamy się w gospodzie u wylotu następnej doliny.

- Tak jest, panie.

Konie ruszyły znowu. Gdy pan Falkirk wygodnie się rozsiadł, Tara zapytała z obawą:

- Dlaczego Jego Wysokość księżę chce, abym towarzyszyła panu do Komnaty Wodza?

- Nie mam pojęcia - odparł pan Falkirk z nutą irytacji w głosie.

Polecenie księcia było dla niego niezrozumiałe i wytrąciło go z równowagi. Zapewne cała ta tajemnica była zupełnie niepotrzebna, jak niepotrzebne było przywożenie dziewczyny z sierocińca do Szkocji. Lecz ponieważ wiedział, że wystraszy Tarę, opanował irytację i zaczął rozmowę na zupełnie inny temat, ciągnąc ją przez dwie mile, póki nie dojechali do gospody.

Zajazd był bardzo skromny, lecz podwieczorek, który zaserwowano podróżnym na zamówienie pana Falkirka, w oczach Tary stanowił prawdziwą ucztę. Były tam bułeczki i pampuchy, jeszcze gorące od ognia, i domowe masło do smarowania placków z płatków owsianych, których Tara nigdy przedtem nie jadła.

- Czy w Szkocji zawsze się jada takie podwieczorki? - zapytała.

- W Szkocji każda gospodyni chlubi się swoimi wypiekami - odrzekł pan Falkirk. - A ja zalecam ci szkockie

podwieczorki, Taro, ponieważ choć nie jesteś już tak chuda, jak na początku naszej podróży, to mogłabyś jeszcze trochę przybrać na wadze.

Uśmiechnęła się do niego nieśmiało i zobaczył, że zniknęły wgłębienia w jej policzkach i wygładziły się bruzdy pod oczyma. Mimo to nadal była bardzo szczupła i obawiał się, jak zniesie zimne noce zimowe, gdy lodowate wichry ze świstem nadlatywały z ośnieżonych gór i hulały zawodząc wokół zamczyska, i nawet ogień płonący w wielkich kominkach nie był w stanie ogrzać komnat.

Będzie potrzebowała cieplejszych ubrań, niż ma teraz na sobie - zdecydował pan Falkirk i pomyślał, że jest to następna rzecz, na którą musi zwrócić uwagę księcia.

Nagle stwierdził, śmiejąc się z siebie w duchu, że zachowuje się jak kura przy małym kurczęciu. Księżę pomyśli, że odebrało mu rozum, jeżeli zacznie omawiać z nim niestosowność ubioru służącej. Jako zarządca miał absolutną władzę nad służbą i mógł czynić to, co uważał za stosowne, lecz jeśli zacznie traktować Tarę lepiej od innych, spowoduje wybuch zawiści u pozostałych służących.

- Czy martwi cię coś, panie? - zapytała Tara.

Jej wrażliwość nie zdziwiła pana Falkirka. Zaraz na początku podróży zorientował się, że dzięki swojej subtelności Tara wyczuwa jego nastroje i uczucia, jak również jego myśli.

- Sądzę, że schlebiłoby ci, gdybym powiedział, że martwię się o ciebie?

- Uczyniłby mi pan wielki, wielki... honor - odrzekła niskim głosem. - Był pan dla mnie taki dobry. Nie wiedziałam, że ludzie mogą być tak dobrzy, i chyba dlatego boję się, że pana stracę i zostanę sama.

- Będę na zamku - powiedział.

Jednakże wiedział, że niewielkie to było pocieszenie. A w każdym razie nie było to, co chciała usłyszeć... Przez chwilę milczała, aż wreszcie zdecydowała się:

- Czy Jego Wysokość jest... bardzo straszny? - Zawahała się chwilę i dodała: - Wiem, oczywiście, że normalnie nie będę go widywać, lecz rozkazał mi przyjść, gdy przyjadę, więc zobaczę go, kiedy tylko przybędę na zamek.

- Wydaje mi się, że właśnie w takiej chwili powinnaś wspomnieć swoją szkocką krew - uśmiechnął się pan Falkirk.
- I powiedzieć sobie, że nie lękasz się nikogo ani niczego.

Mówiąc to zauważył, że Tara niemal instynktownie sięgnęła dłonią do medalionu zawieszzonego na piersi pod suknią.

- Pomyślę o tym i będę udawała, że mój klan jest tak samo ważny jak klan McCraigów.

- Jestem przekonany, że to prawda - powiedział pan Falkirk.

Nagrodził go blask w oczach Tary i uśmiech, który zdawał się zmieniać jej twarz. Jednakże uśmiech ten znikł, a jej twarz przybrała poważny i wyraźnie zaniepokojony wyraz, kiedy znowu wyruszyli w drogę, a konie powiozły ich doliną ku wielkiej, kutej w żelazie bramie i w górę aleją prowadzącą ku zamkowi.

Gdy po raz pierwszy zobaczyła go wysoko na stoku wzgórza, wieże i mury obronne rysujące się na tle nieba, zaparło jej dech w piersi. Pan Falkirk widział zamek wiele razy, a mimo to zawsze, gdy powracał z dalekiej podróży, jego majestatyczne piękno uderzało go na nowo. Zamek wzbudzał lęk, lecz jednocześnie miał w sobie coś statecznego i niezłomnego, dzięki czemu on, który nie był McCraigiem, mógł zrozumieć, dlaczego członkowie klanu widzieli w nim symbol ochrony i siły. Jakby wierzyli, że póki będzie stał zamek, póty będą istnieć.

Pomyślał, że ci, którzy wygnali górali szkockich i rozgromili ich klany, pograżyli Szkotów w rozpacz, w poczuciu, że znaleźli się w świecie, gdzie nic nie jest pewne, nawet nadzieja. Lecz zamek Arkcraig symbolizował wszystko, co wzbudzało w Szkotach ich dumę własną i dumę z krwi płynącej w ich żyłach. W jego sile i stabilności czytali, że mężczyźni nie na próżno ginęli walcząc za sprawę, w którą wierzyli, że zaszczytem było poświęcenie się dla idei.

Konie ciągnęły powóz po ostatnim zakosie podjazdu. Woźnica poganiał je, chcąc zajechać z fasonem, świadom wyczynu, którym była podróż z Londynu na zamek. Osiągnięcia tego będą mu zazdrościć młodszy.

- Jest bardzo... duży.

Tara odezwała się po raz pierwszy od dziesięciu minut. Gdy powóz zatrzymał się przed wejściowymi drzwiami, pan Falkirk uśmiechnął się do niej.

- Przyzwyczaisz się do tego - powiedział. - I pamiętaj: jakkolwiek by był wielki, jest teraz twoim domem, tak samo jak i moim.

Uśmiechnęła się na to niepewnie. Potem otworzyły się drzwi powozu i służba powitała powracającego pana Falkirka.

Z ramion Tary zdjęto czarną narzutkę, po czym oboje z panem Falkirkiem weszli powoli po szerokich, kamiennych schodach na galeryjkę. Tara popatrzyła na jelenie łby, które zdobiły wielki hol, na tarcze i ogromne miecze tworzące surowy wzór nad kominkiem, na przewieszzone przez poręcze sztandary - niektóre w strzepach. Potem czuła już tylko, że serce wali jej w piersiach i że pogłębia się wrażenie suchości w ustach.

Służący w kiltach zdawali się jej podobni żołnierzom, a idący przed nimi majordomus sprawiał iście wielkopańskie wrażenie, nie zdziwiłaby się, gdyby jej powiedziano, że to on jest księciem.

Gdy zatrzymali się w gospodzie, zdążyła się przebrać w czystą, nie wymiętą suknię. Pan Falkirk nie poddał jej tego pomysłu, lecz sama, spodziewając się, że będzie mogła się przebrać, kiedy tylko zajadą na zamek, umieściła suknię na wierzchu w swoim bagażu.

Nie zajęło jej to wiele czasu w gospodzie, a gdy obmywała twarz z kurzu, pomyślała, że pan Falkirk miał rację twierdząc, iż nie jest już tak chuda i zagłodzona jak przed wyjazdem z sierocińca. Czuła się też znacznie lepiej niż kiedykolwiek w swoim życiu. Znikło będące skutkiem ciągłego niedożywienia wycieńczenie, które czasem powodowało takie wrażenie, jakby pogrążała się w ziemi. Każdego dnia podróży, odczuwała przyływ nowej energii, a każdej nocy, gdy kładła się do łóżka, nie była zbyt zmęczona, by przeczytać przynajmniej rozdział pożyczonej od pana Falkirka książki. Mimo to dręczyła ją obawa, że jeśli nie okaże się wystarczająco silna do pracy, wyznaczonej jej przez księcia, odeślą ją z powrotem do Londynu albo, co gorsza, do innego sierocińca w Szkocji.

Jakże upokarzające by to było, gdyby okazało się, że nie może podolać swoim obowiązkom. Co gorsza, ponieważ była bezimienną sierotą, nie zwolniono by jej tak jak zwykłej służącej. Nie mogłaby wrócić do domu i szukać sobie innej pracy. Znaleziono by jej inne miejsce, a jedyne jej referencje pochodziłyby z sierocińca należącego przecież do księcia.

- Nie wolno mi się ugiąć! Nie wolno! - mówiła do siebie, patrząc w lustro w gospodzie. Zmartwiona, poprawiła szary czepek na głowie.

Czepek przykrywał uszy. Uważała, że to bardzo niedobrze, ponieważ niektóre dzieci z sierocińca miały kłopoty ze słuchem, a czepek jeszcze utrudniał słyszenie.

Tara słyszała zupełnie dobrze, nawet z zakrytymi uszami, lecz uważała, że czepek jest bardzo brzydki i znowu

wzbudziła się w niej nadzieja, że księżę pozwoli jej ubierać się w zwykłe suknie, żeby nie różniła się tak bardzo od innych.

Gdy weszli z panem Falkirkiem na galerę, poczuła, że służący uważnie się jej przyglądają i że jej szara kretonowa sukienka wygląda bezbarwnie na tle jaskrawych barw tartanu i wyglansowanych guzików przy ich żakietach.

- Czy przekazano ci, panie, instrukcje Jego Wysokości - usłyszała pytanie majordomusa.

Pan Falkirk skinął głową.

Teraz, na zamku, wydawało się Tarze, iż jego zachowanie się zmieniło. Było w nim coś władczego, coś, co uświadomiło Tarze, że książe zarządca to ważna persona.

Słyszeli gwar głosów dobiegający zza wielkich dębowych drzwi, lecz nie mogli rozróżnić słów. Ponieważ pan Falkirk się nie odzywał, Tara stała obok niego milcząca. Czuła, jak z każdą chwilą rośnie w niej napięcie i niczym fala podchodzi jej do gardła. Wreszcie zadzwonił dzwonek. Jego głośny dźwięk sprawił, że podskoczyła.

Majordomus skinął na pana Falkirka i wyciągnął rękę ku klamce. Otworzył drzwi i donośnym głosem zaanonsował.

- Pan Falkirk, Wasza Wysokość!

Zarządca wszedł pierwszy. Tarze wydało się, że komnata mieni się jak tęcza barwami tartanów. Jej oczy spoczęły na mężczyźnie stojącym naprzeciwko nich. Poznała, że to musi być księżę. Wyglądał dokładnie tak, jak sobie wyobrażała; był tylko bardziej przerażający. Zdawało się, że dominuje nie tylko nad siedzącymi przed nim mężczyznami, lecz także nad całą komnatą. Nie wyobrażała sobie, że jakikolwiek człowiek może wyglądać tak dystyngowanie, poważnie i wspaniale. Sądząc z opowieści pana Falkirka spodziewała się ujrzyć mężczyznę przystojnego, lecz nie aż tak wspaniałego. Nie przypuszczała również, że człowiek o tak czystych rysach może patrzeć z taką wyższością i wzgardą.

Tara pomyślała, że jest zagniewany, i wyczuła w komnacie napięcie, grożące eksplozją. Wydawało się jej, że winni temu byli panowie siedzący na krzesłach. Teraz skierowali na nią swój wzrok i patrzyli dziwnie, tak że poczuła się jednocześnie onieśmielona i przestraszona.

Ogarnął ją paniczny lęk i miała uczucie, że uginają się pod nią kolana. I nagle, zupełnie jak gdyby do niej przemówił, poczuła na piersiach medalion matczynej i powiedziała sobie: jestem Szkotką i ci Szkoci nie są w stanie mnie przestraszyć. Uniosła nieco brodę i stojąc za panem Falkirkiem, usłyszała jak ten mówi:

- Dzień dobry, Wasza Księżęca Wysokość.
- Dzień dobry, Falkirk. Muszę ci pogratulować, że przyjechałeś na czas.

Tara uświadomiła sobie, że głęboki głos księcia ma zupełnie odmienne brzmienie od innych męskich głosów, które kiedykolwiek słyszała.

Chociaż była nieśmiała, nie mogła oderwać od niego oczu. Pomyślała, że jeśli on przebywa w komnacie, trudno pamiętać, że jest tam jeszcze ktokolwiek inny. Zauważyła, że spogląda na pana Falkirka, a nawet nie rzucił okiem w jej kierunku. Gdy zamykały się za nimi drzwi, powiedział powoli i wyraźnie:

- Powiadomiłem The Kildonnona, Falkirk, o wydarzeniach, które miały miejsce we Francji. On i jego krewni zgodzili się, że lepiej będzie, jeżeli sprawa ta nie wyjdzie poza te cztery ściany.

Pan Falkirk skinął głową. - Zanim przybyłeś - ciągnął księżę - przypomniałem również Kildonnonowi, że gdy rok temu zawarliśmy układ, pozwoliłem, aby wybrał mi żonę, ponieważ uważałem to za korzystne dla interesów naszych klanów. Teraz ja żądam przywileju wyboru.

Spojrzał na Tarę.

- Zgodnie z moim poleceniem - mówił dalej - przywiozłeś ze sobą moją przyszłą małżonkę.

Pan Falkirk zamarł, a Tara w oszołomieniu patrzyła na księcia. Nie zrozumiała jego słów. Książę zwrócił się do The Kildonnona.

- Wybrałem - oznajmił - dziewczę nie skażone światem ani nie zepsute przez krewnych, których nie ma. Pochodzi z Sierocińca Bezimiennych i wydaje mi się, że przyznacie mi rację, iż aby wypełniać obowiązki księżnej Arkcraig, w obecnych okolicznościach nie znajdzie się lepsza kandydatka niż... bękart!

Na chwilę zaległa cisza. Wreszcie Rory Kildonnon i jego brat zerwali się na nogi.

- Znieważasz nas, Arkcraig, i nie będziemy tego dłużej tolerować!

Mówiąc to ruszyli groźnie w jego kierunku, lecz on krzywiąc wargi w bladym uśmiechu odparł:

- Macie inną możliwość panowie: zwróćcie mi dziesięć tysięcy funtów, które pożyczyłem waszemu ojcu. Wtedy będziecie mogli wypowiedzieć wojnę mnie i mojemu klanowi. Ale pozwólcie powiedzieć sobie raz i na zawsze, że zatrzymamy wszelkie ziemie, które zagarniemy w bitwie!

- Nie możesz tego zrobić! - wykrzyknął rozgorączkowany Rory Kildonnon. - Pojedziemy do Edynburga, podamy cię do sądu!

- I jaką kompensatę przyznają wam za wasze spalone zbiory, stracone bydło i padłe owce? - zapytał z przekąsem książę. - Przyślą wam wojsko do ochrony? Możecie sobie pozwolić na ciągnącą się w nieskończoność wojnę sądową?

Młodzieńcy stali niezdecydowani. The Kildonnon podniósł się i ruchem ręki rozkazał im, aby wrócili na miejsca.

- Surowe stawiasz warunki, Arkcraig - powiedział cicho.

- Ale przynajmniej uczciwe - odrzekł książę. - Nie oszukuję was, jak wy oszukaliście mnie.

Spojrzenia Wodzów skrzyżowały się i przez chwilę wydawać się mogło, że pasowali się wzrokiem. Skapitulował The Kildonnon.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że nie mamy wyboru. Musimy robić, czego od nas zażadasz.

- Ale jeśli... - usiłował się wtrącić Rory Kildonnon.

The Kildonnon odwrócił się gniewnie do niego. - Oto moja decyzja i wszyscy postąpicie, jak wam każę!

- A więc dobrze - powiedział książę - a ponieważ założyłem, iż zgodzicie się bez zastrzeżeń, będziecie teraz obecni przy moim ślubie, po czym każdy z was złoży hołd nowej księżnej Arkcraig.

Młodzi Kildonnonowie znów próbowali protestować, ale ojciec spiorunował ich wzrokiem, po czym skinął głową w kierunku księcia.

- Zgadzą się, Arkcraig.

Lecz książę chciał uzyskać zgodę od każdego z osobna, zwrócił się więc do brata The Kildonnona, Alistera, i zapytał:

- Zgadzasz się?

Starszy mężczyzna zawahał się chwilę i przełknął głośno ślinę, zanim odpowiedział ledwo dosłyszalnym głosem:

- Zgadzam się.

- A ty, Rory Kildonnonie? - indagował dalej książę. Młody człowiek spojrzał na ojca, jakby błagając, aby

nie zmuszano go, by postąpił wbrew sobie. Lecz The Kildonnon zmarszczył brwi i po chwili jego syn powiedział wściekłym głosem:

- Zgadzam się.

Taką samą odpowiedź wyegzekwowano od jego brata i kuzynów - bliźniaków. Potem książę skinął na pana Falkirka.

- Niech pan poprosi tu pastora. Znajdzie go pan w gabinecie.

Pan Falkirk skłonił się, ponieważ obawiał się, że zawiedzie go głos. Odwrócił się i wyszedł z komnaty pozostawiając nieszczęsną Tarę samą.

Była zbyt wystraszona, zbyt oszołomiona, by się poruszyć. Wiedziała tylko, że dzieje się coś niewiarygodnego, coś niezwykłego. Miała uczucie, że jej mózg przestał funkcjonować, książę zaś przemawiał w obcym języku, którego nie mogła zrozumieć.

Podczas gdy Kildonnonowie szeptali między sobą, książę podszedł do niej. Z ogromnym wysiłkiem, bowiem miała wrażenie, że to okropny sen, z którego się nie może obudzić, złożyła przed nim głęboki ukłon.

- Jak masz na imię? - Jego głos był bardzo niski i głęboki.

- T... Tara... W...wasza... W...wysokość. - Zająknęła się mówiąc te proste słowa.

- Słyszałaś, co powiedziałem, Taro, masz mnie poślubić. Ile masz lat?

- Prawie osiemnaście, Wasza Wysokość. Książę uniósł brwi.

- Starsza, niż się spodziewałem. Mieszkałaś w sierocińcu całe życie?

- T... tak, Wasza Wysokość.

- Miałaś jakieś miłostki?

- Nie... oczywiście, że nie... Wasza Wysokość.

- Na pewno?

- Na pewno... Wasza Wysokość.

Otworzyły się drzwi i do Komnaty Wodza wszedł pastor. Za nim wkroczył pan Falkirk. Pastor był ubrany w czarną sutannę z białym muślinowym kołnierzem, a w rękę trzymał modlitewnik. Skłonił się przed księciem i przed Kildonnonami.

- Wezwałem cię tutaj, pastorze - oznajmił księżę - abyś połączył węzłem małżeńskim mnie i Tarę, która innego nazwiska nie ma. Ci panowie, których znasz, jak sądzę, będą świadkami tej ceremonii.

- Oczywiście, Wasza Księżęca Wysokość - powiedział pastor z silnym szkockim akcentem. Przeszedł w drugi koniec komnaty i stanął przed kominkiem, nad którym widniało wielkie godło McCraigów wyrzeźbione w kamieniu. Czekał z niezwykłym dostojeństwem przerzucając karty modlitewnika.

Księżę podał ramię Tarze. Przez chwilę nie mogła zrozumieć, o co mu chodzi. Wreszcie nieśmiało, jakby jakaś nieznana siła paraliżowała jej wolę i myśli, położyła palce na jego ramieniu, a on poprowadził ją naprzód, aż stanęli przed kapłanem. Pan Falkirk pozostał z tyłu przy drzwiach. Pastor rozpoczął ceremonię.

Obrzęd trwał bardzo krótko, a chociaż Tara nigdy nie była na ślubie, czytała słowa sakramentu małżeństwa w swoim modlitewniku i zauważyła, że wersja angielska bardzo się od tej różniła. Lecz nie mogło być wątpliwości, co to za ceremonia, gdy kapłan powiedział:

- Heronie Torquil, piąty księżę Arkcraig, Wodzu klanu McCraig, czy chcesz połączyć się świętym węzłem małżeńskim, zgodnie z wolą Boga, z tą oto kobietą, Tara? - Tak!

Odpowiedź wypowiedziana została z naciskiem, jak wyzwanie.

- Taro, czy bierzesz tego oto mężczyznę za męża i przyrzekasz być mu posłuszną, uległą i służyć mu przez całe swoje życie, póki śmierć was nie rozłączy? - Tak.

Głos Tary był cichszy niż szept. Pastor połączył ich dłonie, a księżę włożył na jej palec pierścień, o wiele na nią za duży. Odmówiono modlitwę, której słów Tara nie była w stanie ani usłyszeć, ani zrozumieć.

Była zameżna! Poślubiła mężczyznę, którego ujrzała po raz pierwszy w życiu dwie minuty temu! Mężczyznę, o którym myśl napawała ją lękiem przez całą drogę do Szkocji! Mężczyznę, który w rzeczywistości przerażał ją jeszcze bardziej, niż się spodziewała.

Była zameżna!

ROZDZIAŁ 4

- Czy mam pomóc rozebrać się... Waszej Wysokości?

Przed ostatnimi dwoma słowami dała się słyszeć wyraźna pauza.

- N...Nie... nie, dziękuję - odparła drżącym głosem Tara,

- Ta komnata nie była dłuższy czas używana, więc kazałam rozpalić ogień. Wieczorami bywa tu chłodno, mimo iż jest lato.

- Dziękuję, pani McCraig. To... bardzo... miło z... pani strony.

Ochmistrzyni rozejrzała się po komnacie.

- Czy jeszcze coś mogę zrobić... Wasza Wysokość? To samo wahanie przed ostatnimi słowami.

- Nie, dziękuję.

Ochmistrzyni wyszła z komnaty i Tara została sama. Znajdowała się w ogromnej sypialni o wysokim sklepieniu, gdzie, jak ją poinformowano, sypiała żona Wodza, od czasów gdy zbudowano zamek. Pomyślała, że zapewne pomieszczenie to pierwotnie umeblowano prosto i surowo, lecz teraz pełne było luksusowych i eleganckich sprzętów, które ją przerażały. Nigdy nie wyobrażała sobie, nawet w snach, że sypiać będzie w wielkim łożu z baldachimem i haftowanymi kotarami! Eleganckie intarsjowane meble, lustro w złożonych ramach, obrazy na ścianach - cały ten przepych wydawał się przytłaczający osobie tak niepozornej jak Tara.

A teraz była księżną Arkcraig! Tara doskonale rozumiała, czemu ochmistrzyni z trudem przychodziło tak ją tytułować. Pomyślała, że prawdopodobnie cała reszta zamkowej służby będzie miała takie same trudności.

Powoli zaczęła się rozbierać. Gdy zsunęła z siebie szarą kretonową suknię, zadrżała. Wstydziła się swego wyglądu, gdy po ceremonii ślubnej pani McCraig, ochmistrzyni na zamku, poprowadziła ją do jej komnaty. Szły korytarzami

zawieszonymi wizerunkami Arkcraigów i Tarze wydawało się, że przodkowie księcia spoglądają na nią ze wzgardą.

Z ogromnym zażenowaniem zobaczyła, że dwie panny służące wyjmują jej skromną i nieliczną garderobę z wiklinowego koszyka, w którym była zapakowana na podróż do Szkocji. Wiedziała, że służba była zdumiona jej nędzną wyprawą, podobnie jak jej nową pozycją. Sama nie mogła sobie tego uświadomić. Wciąż czuła się otepiała, nie umiała pojąć tego, co zaszło, ani spojrzeć w przyszłość.

Zatęskniła do pana Falkirka. U niego mogłaby szukać pocieszenia i pomocy. Lecz nie było go w komnacie, gdy Kildonnonowie w posepnym i zaciętym milczeniu składali jej hołd, by zaraz potem opuścić zamek. Pojawił się, kiedy ostatni Kildonnon zniknął u stóp szerokich schodów, pozostawiając po sobie atmosferę przesyconą nienawiścią. Zwróciła się ku niemu z wyrazem ulgi w oczach, ale zanim zdążyła się odezwać, książę powiedział:

- Chcę z tobą porozmawiać, Falkirk, chodźmy może do mojego gabinetu.

- Oczywiście, Wasza Wysokość.

Wtedy pojawiła się pani McCraig i Tara pomyślała, że polecił jej to pan Falkirk.

- Pani McCraig, oto nowa księżna Arkcraig - powiedział zimno książę. - Zechce pani zaprowadzić Jej Wysokość do jej apartamentów i zadbać, żeby niczego mojej żonie nie brakowało.

Pani McCraig dygnęła. Tara idąc za swoją przewodniczką myślała z rozpaczą, że wchodzi w nowe życie nie mając zupełnie pojęcia, jak sobie z nim poradzić. Wiedziała tylko, że książę wieczerzał wcześniej, że miała wykąpać się przed posiłkiem i zmienić ubranie. Miała już tylko jedną czystą suknię, jeszcze bardziej znoszoną niż dwie pozostałe.

W sierocińcu ubrania przechodziły z sieroty na sierotę, aż pozostawały z nich same strzępy, które nadawały się tylko na szmaty do mycia podłóg. Dzieci opuszczające sierociniec nie zabierały używanych przez siebie ubrań. Zostawiano je dla innego dziecka, noszącego ten sam rozmiar. Ponieważ Tara była tak długo w sierocińcu, miała nowe suknie, które sama sobie szyła. Oczywiście pani Barrowfield nie dałaby jej pieniędzy na kupno materiału, ale poprzednia księżna Arkcraig nabyła kilkanaście bel szarego kretonu po obniżonej cenie. Pozostawało tylko znaleźć trochę czasu, aby uszyć sobie nową suknię. I to właśnie było najtrudniejsze, gdyż Tara miała dla siebie bardzo mało czasu, stale była zajęta opieką nad dziećmi. Przypomniła sobie, że od ponad dwóch lat nie miała nowej sukni i żałowała, że nie udało jej się czegoś uszyć przed wyjazdem na północ. Polem pomyślała, że jako żona księcia, będzie mogła nosić inne ubiory.

- Żona księcia!

Powtarzała te słowa, myjąc się w wannie przyniesionej do komnaty i ustawionej na dużym dywanie tureckim, na którym mogła osuszyć stopy. Rzadko kiedy zażywała takiego luksusu, jakim była gorąca kąpiel, przy której nie musiała się spieszyć.

Woda była bardzo miękka i brązowa. Tara patrzyła na nią ze zdziwieniem, póki nie przypomniała sobie, że pan Falkirk opowiadał jej, iż w Szkocji woda jest torfowa. Wannę wniosły do sypialni dwie służące. Chociaż uprzejmie przywitały Tarę, zauważyła, że są onieśmielone, a ponieważ nie wiedziała o czym z nimi rozmawiać, obsługiwały ją w milczeniu.

Kiedy się ubrała i zaczęła się zastanawiać, co dalej powinna robić, wróciła pani McCraig. Tara zauważyła, że starsza kobieta patrzy na nią chłodno i traktuje ją bardzo ozięble. Rozumiała ją. Ochmistrzyni była wyraźnie urażona, że wychowanka sierocińca została jej panią i trudno było mieć

jej to za złe. Lecz ponieważ Tara nie miała się do kogo zwrócić, zapytała z lękiem:

- Czy... powie mi pani... co... teraz mam... robić? W jej głosie zabrzmiała wręcz dziecinna obawa i kamienna twarz pani McCraig złagodniała.

- Wasza Wysokość jest zdenerwowana i nic dziwnego - odparła. - Zamek wydaje się taki duży, gdy się go widzi po raz pierwszy.

- O tak! - zgodziła się Tara.

- Z tego, co mówił pan Falkirk, zrozumiałam, że nie spodziewała się pani zostać żoną Jego Wysokości.

- Wcale nie! - odparła Tara. - Dlatego proszę, niech mi pani powie, co powinnam robić.

- Za parę minut podadzą wieszczę - powiedziała pani McCraig - i będzie pani jadła z Jego Wysokością. Spotkacie się w Komnacie Wodza, tam gdzie odbył się wasz ślub.

- Chyba wiem, gdzie jest - wyszeptała Tara.

- To proszę tam iść. Jego Wysokość będzie już czekał.

Tara zdusiła w sobie chęć poproszenia pani McCraig, aby z nią poszła. Podobna szarej i samotnej zjawie, przeszła szerokim korytarzem prowadzącym do Komnaty Wodza. Dopiero gdy była już prawie u celu, usłyszała głosy i rozpoznała pana Falkirka. Dopóki on tam jest, nie będzie tak źle, pomyślała. Gdy podeszła bliżej, usłyszała jak mówi:

- Wasza Książęca Wysokość zapewne zechce jutro, jak tylko się rozjaśni, posłać powóz do Edynburga.

- Do Edynburga? - zapytał książę. - A czemu miałbym to zrobić.

- Zapewne zechce książę zakupić szaty dla nowej księżnej. Bliżej, co Wasza Książęca Wysokość wie doskonale, nie ma żadnego miasta, gdzie można by znaleźć suknie odpowiedniego kroju i gatunku.

Zaległa krótka cisza i Tara usłyszała, jak książę mówi:

- Księżna jest odpowiednio odziana i nie widzę powodów, aby zmienić jej ubiór.

- Wasza Wysokość... - oburzył się pan Falkirk.

- Chcę - przerwał mu książę - aby była dla Kildonnonów symbolem wszystkiego, czym nie była poprzednia księżna. - Zamilkł na chwilę, potem dodał: - Gdy znajdzie się między kobietami, zobaczy ją The Kildonnon i nie będzie mógł zapomnieć, jak zachowała się jego córka i jaką mi hańbę przyniosła.

Tara, przysłuchując się rozmowie, cały czas, niemal automatycznie posuwała się do przodu, nie myśląc o tym, co robi. Pan Falkirk, który już miał rozpocząć spór ze swoim chlebodawcą, zobaczył ją stojącą w drzwiach Komnaty Wodza. Była bardzo blada, w jej ogromnych, prawie nie mieszczących się w jej drobnej twarzy, oczach malowała się udręka. Pan Falkirk powstrzymał słowa cisnące mu się na usta. Skłonił się tylko przed księciem i wyszedł z komnaty. Gdy mijał Tarę, spojrzał na nią i zrozumiała, że decyzja księcia rozgniewała go, lecz nie mógł tu nic poradzić.

- Mam nadzieję, że zaopiekowano się tobą. Głos księcia zabrzmiał ostro. Roztrzęsiona Tara dopiero po paru sekundach zdołała wydobyć z siebie głos.

- T...tak... dziękuję... Wasza Wysokość.

- Zapewne jesteś zmęczona po tak długiej podróży, ale jutro będziesz mogła zwiedzić zamek i całą posiadłość. Jestem pewny, że wydadzą ci się interesujące.

- Tak... Wasza Wysokość.

Odniosła wrażenie, że mówi do niej jak do przygodnej znajomej, która jest mu zupełnie obojętna, a jego myśli błądzą gdzieś daleko. Gdy lokaj ogłosił, że podano do stołu, wydawało jej się, że książę odwrócił się z ulgą na twarzy.

Zauważyła, że nie miał już na sobie stroju, w którym po raz pierwszy go ujrzała przemawiającego do Kildonnonów.

Teraz odziany był w żakiet z czarnego aksamitu, ozdobiony srebrnymi guzikami, z żabotem z bezcennych koronek przy szyi. Tarze wydawało się, choć wcale nie była tego pewna, że przywdział sporran jeszcze wymyślniejszy niż wcześniej. Nigdy nie wyobrażała sobie, że ktoś może wyglądać tak wspaniale, że taki ubiór może do kogoś pasować i nie być ani trochę teatralny.

Ponieważ zaanonsowano obiad, podał jej ramię, jak poprzednio. Tym razem wiedziała, jak się ma zachować. Przeprowadził ją szeroką galeryjką z kamienną balustradą do komnaty położonej naprzeciwko. Tara domyśliła się, że jest to jadalnia. Również i ta komnata była ogromna, wysoko sklepiona, a jej strzeliste, wąskie okna, wychodziły - jak się miała przekonać później - na stronę frontową zamku.

Na chwilę oślepiły ją wypolerowane czary i kielichy ze złota i srebra, zdobiące długi stół obok ogromnych sześcioramiennej kandelabrow, w których płonęły świece. U szczytu stołu stało krzesło z wysokim oparciem dla księcia. Tara zasiadła z jego prawej strony i spojrzała oszołomiona na długie rzędy noży, widelców i łyżek - nawet nauki pana Falkirka nie przygotowały jej do radzenia sobie z taką mnogością sztućców.

Ponieważ księżę nie miał jej nic do powiedzenia, rozmawiał tylko z lokajem, który serwował potrawy.

- Czy to dzisiaj złowiony łosoś?
- Tak, Wasza Księżęca Wysokość,
- Kto go przyniósł?
- Ross, Wasza Księżęca Wysokość.
- Jak go złapał? Na oścień czy w siatkę?
- Z tego co wiem, na oścień, Wasza Księżęca Wysokość.
- Mówiłem mu już, żeby nie używał ościenia do małych ryb!
- Przypomnę mu, Wasza Księżęca Wysokość.

- Rozmówię się z nim jutro. Powiedz panu Falkirkowi, że chcę go rano zobaczyć!

- Tak jest, Wasza Książęca Wysokość.

Obiad zdawał się nie mieć końca. Serwowano potrawę za potrawą. Tara spostrzegła, że oczy księcia były ciemne od gniewu. Jadł niewiele, a wystraszona Tara prawie nic nie mogła przełknąć. W podróży wydawało się jej, że je nadmierne ilości, łagodnie przymuszana do tego przez pana Falkirka. Teraz, chociaż czuła wstyd na myśl o tym, jak cenne było to pożywienie, nie mogła zjeść nawet tej odrobiny, nałożonej na jej talerz.

Podano jej wino, lecz odmówiła. Gdy wniesiono na stół desery: ogromne brzoskwinie, jakich nigdy w życiu nie widziała, i czarne winogrona pokryte aksamitnym puszkim, z ulgą pomyślała, że posiłek się kończy.

Nagle, gdzieś z oddali dobiegły ją przenikliwe tony muzyki. Zrozumiała, że po raz pierwszy słyszy głos szkockiej kobzy. Wstrzymała oddech, patrząc na wchodzącego zamaszystym krokiem mężczyznę, ubranego w tartan McCraigów i czapkę nałożoną na bakier. Pled miał przewieszony przez ramię, a kilt kołysał się, gdy maszerował wkoło stołu. Tarze wydawało się, że słyszała już kiedyś tę muzykę, może we śnie.

Zagrał dwie melodie, potem stanął na baczność przy krześle księcia i zapytał:

- Czy Wasza Wysokość ma dziś jakieś specjalne życzenia?

Mówił z silnym szkockim akcentem i trudno było go zrozumieć. Książę wydał mu polecenie w języku, w którym Tara rozpoznała gaelicki. Kobziarz ponownie okrążył stół, i popłynęła muzyka, która wypełniła całą salę, muzyka będąca częścią tych wrzosowisk i tego pięknego, dzikiego krajobrazu.

Wreszcie skończył i znów stanął, czekając. Lokaj postawił przed księciem niewielki srebrny kielich, a książę podał go kobziarzowi. Ten uniósł go i w toaście powiedział: - Shlainte - opróżniając naczynie jednym haustem.

Zasalutował i wyszedł z komnaty. Wtedy po raz pierwszy, odkąd zasiedli do stołu, książę spojrzął na Tarę.

- Mam nadzieję, że spodobało ci się granie kobzy?

- Było wspaniałe - odparła. - Jakoś zawsze wyobrażałam sobie, że to tak właśnie brzmi.

- Jak?

- Że chce ci się jednocześnie śmiać i płakać i słyszysz jakby szkockie głosy płynące prosto z serc.

Książę spojrzął na nią zaskoczony.

- Naprawdę tak czujesz?

- Żałuję, że nie umiem tego lepiej wyrazić - odparła Tara.

- Pan Falkirk mówił mi, jak ważny jest dla klanu kobziarz. Teraz rozumiem, jak można porwać ludzi do walki o to, w co wierzą, i spowodować, aby nie lękali się umierać.

Mówiła cichym głosem. Myślała o bitwie pod Culloden, o tym, jak głęboko historia klęski Szkotów, pokonanych przez wojska angielskie, zapadła jej w serce.

- Jak to jest możliwe, abyś tak mówiła... tak myślała?

Pytanie księcia onieśmieliło ją i zamilkła. Może uznał, że zareagowała zbyt emocjonalnie albo, co gorsza, zarozumiale.

Teraz gdy rozbierała się w wielkiej sypialni, przypomniawszy sobie, że muzyka poruszyła ją do głębi duszy. Poczułam, że jestem Szkotką - pomyślała niespodziewanie.

Zapragnęła zamieszkać w maleńkiej osadzie, gdzie mogłaby zaprzyjaźnić się z sąsiadami i poznać trapiące ich kłopoty, zmartwienia, a może nawet smutki.

Zawsze pragnęłam służyć ludziom pomocą - pomyślała. - Może jako księżna Arkcraig będę mogła zrealizować moje marzenie.

Nadal nie mogła uzmysłowić sobie, iż jest nie tylko księżną, ale również kobietą zamężną. Spojrzała na obrączkę błyszczącą na jej palcu. Była za duża i Tara ciągle bała się, że ją zgubi.

Niespodziewanie poraziła ją pewna myśl. Była żoną księcia, a żona jest częścią swego męża. Jednoczy ich sakrament małżeństwa. Od momentu przybycia na zamek Tara czuła się tak oszołomiona, tak odurzona, iż dopiero teraz dotarło do niej, czym właściwie jest małżeństwo. Zaszokowana wyszeptała:

- Książę jest moim mężem!

Powtórzyła te słowa szeptem i nagle poczęła cała drzeć, a choć instynktownie podeszła do ognia, wcale nie czuła bijącego od niego ciepła.

Boję się - pomyślała i zapragnęła uciec albo przynajmniej odnaleźć pana Falkirka i jego zapytać, co powinna uczynić.

Chociaż w sierocińcu wiele mówiło się o osieroconych dzieciach z nieprawego łoża i o tym, że ich matki zgrzeszyły przeciwko Bogu i Kościołowi, Tara nigdy nie zastanawiała się, na czym polegał ów grzech. Dziecko urodzone przez niezamężną kobietę, nie zawiniwszy niczym, było napiętnowane na całe swe życie. Traktowano je w sposób poniżający, jakby żądając zadośćuczynienia za to, że nie nosi nazwiska swego ojca. Lecz Tara nie miała pojęcia, jak to się działo, że w ogóle pojawiał się dziecko. A teraz mogło to spotkać właśnie ją. A ponieważ koło całej tej sprawy było zawsze wiele wrzawy i zamieszania, wydało się jej to groźne i przerażające.

- Co mam począć? Co począć mogę? - zapytała w głos.

Poczuła, jakby ta wielka komnata, z całym jej przepychem, była pułapką, w którą nieświadomie weszła i z której nie było ucieczki. Spojrzała na łoże z baldachimem i przykryte aksamitną kapą z wyhaftowanym książęcym

monogramem zwieńczonym mitrą, na ozdobione falbanami poduszki. Zadrżała. Było coś przerażającego w rozchylonej zachęcająco lnianej pościeli, jakby zapraszała ją do wzięcia udziału w czymś, o czym nawet pomyśleć straszno.

Przed kominkiem leżał puszysty biały dywan z jagnięcych skór. Tara usiadła na nim, ponieważ było jej zimno i czuła się słabo. Wyciągnęła ręce w stronę płomieni, lecz wciąż nie czuła ich ciepła. Nie odrywała oczu od drzwi - nie tych na korytarz - lecz innych, które najprawdopodobniej prowadziły do komnat księcia.

On jest Wodzem McCraigów i on przyjdzie do niej, ponieważ jest jej mężem!

Po skończonej wieczerzy, gdy już odprawił Tarę, książę przeszedł do Komnaty Wodza. Tu odsłonił zasłony, otworzył jedno z okien i stanął w nim, patrząc na ogród w dole. Za ogrodem rozciągało się wielkie jezioro.

Zachodzące słońce kładło czerwonozłoty blask na wrzosowiskach, a na niebie pokazywały się pierwsze gwiazdy. Spokój panujący w koło i piękno krajobrazu nie były w stanie ukoić gniewu, który owładnął księciem. Od czasu pamiętnej podróży, kiedy to w pogoni za swą małżonką i Neilem Kildonnonem popłynął do Francji, straszliwy gniew płonął w jego sercu. Gdy brał ją za żonę, nie był w niej zakochany, lecz ciemnooka, czarnowłosa Margaret była ogromnie pociągająca. Myślał, że skoro pobrali się z rozsądku, a małżeństwo to miało wyjść na dobre ich klanom, będą żyli w przyjaźni, ona zaś wypełniać będzie obowiązki księżnej, jak to czyniła jego matka.

Gdy The Kildonnon podsunął myśl, że ich małżeństwo będzie najlepszym sposobem, aby przekonać klany, iż dni nienawiści i walk się skończyły, książę instynktownie chciał się sprzeciwić. Potem uznał, że to zwykłe uprzedzenie, odwieczne przekonanie, że każdy członek rodu Kildonnonów

jest ich naturalnym wrogiem, jest tak niedorzeczne i tak przebrzmiałe, że właśnie on powinien dać wszystkim dobry przykład.

Ślub odbył się bardzo szybko, ponieważ nie było innego sposobu, aby zakończyć nieustanne walki między klanami. McCraigów było znacznie więcej niż Kildonnonów i, z każdym miesiącem, słabszy klan cierpiał coraz większą biedę.

Książę był świadom, że wyrażając zgodę na małżeństwo z Margaret i jednocześnie decydując się na udzielenie pomocy finansowej jej krewnym, okazał niezwykłą wspaniałomyślność. Mocno ucierpiało jego poczucie godności i jego duma, gdy w noc poślubną Margaret gorzkimi słowami wypędziła go ze swej sypialni. Powiedziała mu, że raczej umrze, niż poniży się do tego stopnia, aby pozwolić mu się wziąć w ramiona. Może pełnić obowiązki księżnej publicznie, ale ich zawsze będzie dzieliła odwieczna nienawiść przodków.

- Nienawidzę cię - powiedziała Margaret, a jej czarne oczy płonęły. - Nienawidzę cię i każdego McCraiga! Gdybyście wszyscy legli martwi u moich stóp, radowałabym się, że świat pozbył się jednej plagi!

W jej głosie brzmiała nuta szaleństwa. Książę czuł, że nie może żyć przytłoczony takim bezmiarem goryczy, ale miał nadzieję, iż Margaret zmieni się z upływem czasu. Ze współczuciem myślał o tym, że musiała spędzić dwadzieścia trzy lata swego życia w podupadłym, pozbawionym wygod i na wpół zrujnowanym zamku. Sytuacja finansowa The Kildonnona nie pozwalała mu na restaurację siedziby. Margaret ominęły również rozrywki, w których uczestniczyły inne dziewczęta w jej wieku. Nie jeździła do Edynburga na bale, zgromadzenia czy przedstawienia teatralne. Kildonnonów nie było stać nawet na podróż z jednego końca Szkocji w drugi; nie mieli pieniędzy na eleganckie suknie czy dobre konie.

- To wszystko ja mogę jej dać - powtarzał sobie książę i myślał, że kiedyś ona to doceni.

Mylił się jednak. Jeszcze czuł ten cios, bolesny jak pchnięcie sztyletem, gdy dowiedział się z listu żony, że jest zmuszona opuścić Szkocję, ponieważ nosi dziecko innego mężczyzny.

„Nigdy więcej mnie nie zobaczysz” - napisała. - „Nie proszę cię o wybaczenie, gdyż nie chcę od ciebie niczego, prócz tego, byś zostawił nas w spokoju”

Na to książę nie zamierzał się zgodzić. Mimo wszystkich jej przewinień, mimo całej nienawiści, jaką do niego żywiła, Margaret była jego małżonką, a mężczyzna, który ją uwiódł i wywiózł za morze, powinien za to zapłacić.

Pomimo że płonął żądzą zemsty, podsycaną przez nienawiść do rodu Kildonnonów, nie zamierzał zabić Neila. Pragnął go jedynie okaleczyć, a najlepiej tak, by tamten nigdy już nie mógł być zadowolającym kochankiem. Lecz Neil zmarł wskutek odniesionych ran, a Margaret, zawzięta do końca, targnęła się na swe życie.

Umierając, kochankowie odebrali zemście cały smak i tym samym jeszcze raz okpili księcia. Wzywając Kildonnonów na zamek, pragnął wziąć na nich odwet, chciał, aby cierpieli tak, jak on cierpiał. I jak Margaret zadała cios jego dumie, tak on chciał zadać cios dumie Kildonnonów. Czerpał satysfakcję ze świadomości, jak bardzo go nienawidzą, gdy zmusił ich do obecności na jego ślubie i do złożenia hołdu nowej księżnej - bękartowi z sierocińca, dziewczęciu nie tylko poczętemu w grzechu, ale które zajęło miejsce córki The Kildonnona.

Myśli jego skierowały się ku Tarze. Książę przypomniał sobie, że czeka na niego na górze. W tę noc poślubną nie zniesie żadnej odmowy! Zapewni spadkobiercę księstwu, a co ważniejsze - Wodza klanowi. Zdecydowanym ruchem odwrócił się od okna i poszedł do swojej sypialni.

Czekał na niego służący i bez słowa pomógł księciu zdjąć wspaniałe odzienie. Dopiero gdy służący wyciągnął skean - dhu zza skarpety na jego lewej nodze, książę pomyślał o Margaret. Czy zabiłaby się, a może rzuciłaby się z tą bronią na niego, gdyby próbował dochodzić swych praw małżeńskich w noc poślubną?

Szkoci zaczęli nosić skean - dhu po tym, jak Anglicy wprowadzili zakaz noszenia sztyletów. Przez trzydzieści pięć lat ustawa o ubiorze zabraniała zarówno mężczyznom, jak i chłopcom noszenia pledu, kiltu, pasa naramiennego i innych części stroju szkockich górali. Nawet kobzę wyjęto spod prawa, ponieważ książę Cumberland stwierdził, że potrafi dowieść, iż jest to również „narzędzie wojny”. Natomiast krótki nóż, nazywany skean - dhu, był na tyle mały, że mieścił się w kieszeni lub za skarpetą, a gdy Szkoci ponownie włożyli swe tartany, stał się częścią ich ubioru.

Książę pomyślał, że prócz pana Falkirka, jego samego i Kildonnonów, nikt nigdy się nie dowie, iż Margaret ugodziła się takim właśnie małym, ostrym nożem. Lecz ponieważ kobieta nosiła jego nazwisko, trudno mu będzie nie pomyśleć o niej za każdym razem, gdy weźmie do ręki swój skean - dhu. Myśl o niej rozżłościła go. Twarz jego przybrała tak posepny wyraz, że służący, mówiąc: - Dobrej nocy, Wasza Książęca Wysokość - spojrzał na niego lękliwie.

- Dobranoc!

W ustach księcia te proste słowa, będące zwykle wyrazem życzliwości, zabrzmiały jak przekleństwo. Służący pospiesznie zamknął za sobą drzwi i otarł czoło, zanim odszedł korytarzem.

Książę stał chwilę zamyślony pośrodku komnaty, tej komnaty, w której sypiali i umierali jego pradziadowie, w której układali plany bitew przeciwko Anglikom i najazdów na Kildonnonów, komnaty, która znała nie tylko nienawiść,

lecz także miłość i szczęście. Zupełnie - pomyślał książę - jakby ci, którzy odeszli z tego świata przed nim, chcieli mu przekazać, że mimo wszystko ród musi trwać. Klan musi istnieć i mieć swojego Wodza. Wciąż patrząc chmurnie i zaciskając mocno wargi, uniósł dumnie głowę i otworzył drzwi prowadzące do komnaty, którą zgodnie z tradycją zajmowała małżonka Wodza.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy, był panujący w komnacie półmrok - świece nie były zapalone. Uświadomił sobie, że na rozmyślaniach o przeszłości spędził więcej czasu, niż mu się wydawało, Tara zaś, zmęczona kilkudniową podróżą, zasnęła czekając na niego. Podeszedł do łoża, ale ze zdumieniem zobaczył, że nikt w nim nie spał tej nocy. Stało puste w mglistym świetle padającym z kominka. Odwrócił się i ujrzał Tarę śpiącą na dywanie przed ogniem.

Przeszedł przez komnatę, stanął i spojrzał na nią. Zobaczył, że chociaż miała długie, ciemne rzęsy, mocno odcinające się od jasnej skóry policzków, jej uwolnione spod czepka włosy były barwy ciemnorudej, płomiennej. Krótkie, nie dłuższe niż na dwa cale, niesforne loki lśniły w świetle płomieni otaczając jej głowę aureolą złocistej poświaty.

Leżała na boku, z twarzą skierowaną ku ogniewi, jakby szukając jego ciepła. Jej ręka spoczywała bezwładnie dłonią zwróconą ku górze. Miała na sobie koszulę z szorstkiego perkalu, która musiała stanowić część sierocińcowej garderoby, zapiętą wysoko pod szyją i ciasno przylegającą do przegubów dłoni, z pewnością niemiłą dla delikatnej skóry. Zobaczył jej drobną stopę wyglądającą spod koszuli. Było coś ogromnie bezbronnego w ułożeniu ciała dziewczyny, a także w jej twarzy. Przyszło mu na myśl, że musiała się bać, zanim zasnęła; wskazywały na to żałośnie opuszczone kąciki jej warg.

Książę stał spoglądając na nią. Była tak młoda i tak bezbronna, że gniew i stanowczość znikły z jego oczu. Podeszedł do łoża i ściągnął aksamitną kapę. Złożył ją i delikatnie przykrył Tarę.

Nie poruszyła się.

Światło płomieni zatańczyło w jej lokach, stwarzając wrażenie, jakby nagle ożyły. Krzywiąc cynicznie wargi, książę wyszedł z komnaty, zamykając za sobą drzwi.

Tara weszła do Komnaty Wodza. Zastała tam księcia stojącego przy oknie z listem w dłoni. Stała przyglądając mu się w napięciu, nie mając odwagi przerywać jego skupienia, jednocześnie chcąc prosić o jego pozwolenie na to, co miała zamiar zrobić. Razem zjedli w południe obiad. Ku jej wielkiej uldze do stołu, oprócz pana Falkirka, zasiadł również człowiek zatrudniony przez księcia przy przebudowie zamku. Mężczyźni, rozmawiając o przeróbkach konstrukcyjnych, renowacji, pokryciu dachu i uszkodzeniach, nie zwracali uwagi na Tarę.

Przed obiadem książę zjawił się w Komnacie Wodza i powitał ją chłodno. Pomyślała, że jej obecność drażni go, lecz nie wiedziała, gdzie właściwie powinna się udać. Nie miała nic do roboty i czuła się dziwnie zagubiona. W sierocińcu lgnęłyby do niej dzieci, a pani Barrowfield wydawałaby rozkazy. Zamek zdawał się jej cichy, pusty i o wiele za duży. Przytłoczona jego ogromem Tara miała uczucie, że z każdą chwilą maleje coraz bardziej i bardziej, aż w końcu zniknie nie pozostawiając po sobie nawet śladu.

Podczas śniadania wydarzyło się coś przerażającego, Tara udała się do jadalni o ósmej i zastała tam tylko pana Falkirka.

- Książę jest na konnej przejażdżce - wyjaśnił. - Zwykle opuszcza zamek tuż po siódmej.

Tara była zadowolona, że towarzyszy jej jedynie pan Falkirk, mimo że ze względu na usługujących im służących

nie mogli rozmawiać w zwykły serdeczny sposób. Jednak sam jego głos dodawał jej otuchy i cieszyła ją świadomość, że ma jednego przyjaciela na zamku.

Gdy oboje skończyli posiłek i pan Falkirk spojrzął na zegarek, jakby był z kimś umówiony, za oknami dał się słyszeć hałas i zamęt. Pan Falkirk podszedł do okna, a Tara podążyła za nim. Na dole zobaczyli księcia, który właśnie powrócił z przejażdżki, a obok niego starą kobietę odzianą w łachmany. Wrzeszczała coś przenikliwym głosem, wymachując kościstymi rękami, a jej białe włosy rozsypały się na wietrze wokół pomarszczonej twarzy.

- Kto to jest? - zapytała Tara.

- To Babcia Beathag - odparł pan Falkirk. - Pięćdziesiąt lat temu spalono by ją na stosie za czary!

- Czarownica! - krzyknęła Tara.

Starucha mówiła szkockim dialektem przeplatany gaelickimi słowami. Tara usłyszała, że kilkakrotnie wykrzyknęła słowo mallachd.

- Przecież mallachd oznacza klątwę! Wyczytałam to w jednej z pana książek.

Pan Falkirk uśmiechnął się.

- Wydaje mi się, że Babcia Beathag właśnie usłyszała: o śmierci księżnej Margaret. Przypomina księciu, że rok temu ostrzegła go, iż jeśli ożeni się z kobietą, która nie będzie pochodziła z rodu McCraigów, klątwa klanu spadnie na niego i jego małżonkę.

- Klątwa - szepnęła Tara.

- Nie martw się tym - zaśmiał się pan Falkirk. - Każdy przyzwoity szkocki ród ma swoją klątwę i swego ducha! Dam ci i o tym książkę.

- Ale księżna... umarła, a klan zapewne ją przeklął.

- To nonsens - rzucił ostro pan Falkirk. - Klątwy są jedynie złymi życzeniami wypowiedzianymi z nadzieją, że się

spełnią, Babcia Beathag zaś próbuje tylko rozbudzić zadawnioną nienawiść do Kildonnonów. A to wcale nietrudne!

- Ja... nie jestem z McCraigów!

- Ależ Taro! - powiedział uspokajająco pan Falkirk. - Jesteś zbyt inteligentna, aby mogła cię zatrwożyć gadanina tej staruchy, która musi mieć coś nie w porządku z głową!

Spojrzał na nią błyszczącymi oczami i dodał:

- Przeciw klątwie rzuconej przez Babcię Beathag dam ci specjalne błogosławieństwa Falkirków. Zapewniam cię, że są o wiele bardziej skuteczne!

Tara usiłowała się uśmiechnąć.

- Zresztą księżę nie przejmuje się takimi przekleństwami - powiedział pan Falkirk.

Mówiąc to spoglądał przez okno i podążając za jego spojrzeniem Tara zobaczyła, że księżę śmieje się, rzucając starej kobiecie srebrną monetę. Złapała ją zręcznie i odwróciła się, by odejść, lecz Tara zauważyła, że wciąż potrząsa głową i mruczy coś do siebie.

Gdy krótki posiłek dobiegł końca, gość wyraził życzenie, by zaprowadzono go na dach. Księżę polecił panu Falkirkowi, aby mu towarzyszył.

Tara wróciła do swojej komnaty po pelerynę, a teraz czekała na dogodną chwilę, by zwrócić na siebie uwagę księcia. Podniósł oczy znad listu, który trzymał w dłoniach i spytał ostro: - Czego chcesz?

- Zastanawiałam się, Wasza Wysokość... czy mogłabym... iść... na spacer?

- Na spacer? Czemu nie?

- Chciałabym pójść... jeżeli... księżę... nie ma dla mnie... innych... poleceń.

- Poleceń? A cóż za polecenia mógłbym mieć dla ciebie?
- zapytał.

Znowu rzucił okiem na trzymany list, a ponieważ wciąż jeszcze czekała, zmieszana i niepewna, powiedział ze złością:

- Na litość boską, wynoś się i nie wracaj! Chyba jest oczywiste, że nie jesteś mi potrzebna!

W jego głosie zabrzmiał gniew i irytacja, a wypowiedane z pasją słowa brzmiały w komnacie jak łoskot gromu. Odwróciła się i zbiegła po schodach do holu. Lokaj otworzył przed nią drzwi i wybiegła na podjazd, jakby ścigał ją głos księcia.

- Herbata gotowa, Wasza Wysokość - oznajmił lokaj. Księżę podniósł głowę znad biurka, przy którym siedział pisząc.

- Powiedz panu Falkirkowi, że jest mi potrzebny.

- Tak jest, Wasza Księżęca Wysokość, lecz o ile wiem, wciąż towarzyszy temu panu, który był na obiedzie.

- No to powiedz mu, aby do mnie przyszedł, jak tylko będzie mógł.

- Tak jest, Wasza Księżęca Wysokość.

Pan Falkirk stawił się w gabinecie dopiero pół godziny później.

- Dużo czasu wam to zajęło - zauważył księżę,

- Obawiam się, że jest znacznie więcej do zrobienia, niż się spodziewaliśmy, księżę.

- Tak też myślałem! - odrzekł Arkcraig. Podniósł list, który właśnie pisał i podsunął zarządcy.

- Skończyłem pismo do markiza Stafford dotyczące dokonanej przez niego eksmisji górali z Sutherland - powiedział. - Wydaje mi się, że zaaprobujesz to, co napisałem, ale jeżeli mógłbyś to wyrazić jeszcze dobitniej, tym lepiej.

- Przestudiuję je z uwagą.

- Najpierw herbata - zaproponował księżę. Wstał zza biurka, przeszedł przez galeryjkę do Komnaty Wodza.

Na stoliku przy kominku przygotowano podwieczorek. Stała tam srebrna taca, a na niej dzbanek, puszka z herbatą, czajnik, mleko, śmietanka i siteczko do postawienia na filiżankach z cienkiej porcelany, przywiezionych z Francji przez któregoś z książęcych przodków. Na talerzach leżały wszelkie możliwe szkockie smakołyki, w tym chleb pieczony z rodzynkami i gorące bułeczki na srebrnym półmisku z przykrywką. Pan Falkirk pomyślał, że Tara z pewnością będzie zachwycona,

Książę, jakby nagle przypomniał sobie o niej, powiedział ostro:

- Gdzie jest księżna? Powinna wiedzieć, że do jej obowiązków należy nalewanie mi herbaty.

- Wydaje mi się, że nikt jej o tym nie powiedział. Chyba że książę to uczynił? Książę spiorunował pana Falkirka wzrokiem, jakby te słowa odebrał jako impertynencję, po czym rzekł: - Zdaje mi się, że do pańskich zadań należy informowanie mojej żony, o godzinach posiłków?

- Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość. W przyszłości będę pilnował tych spraw. Niespodziewanie książę się roześmiał.

- W porządku, Falkirk, wygrałeś tę potyczkę.

Zadzwoił tym samym srebrnym dzwonkiem, którym posłużył się poprzedniego dnia, aby wezwać pana Falkirka i Tarę do Komnaty Wodza. Pojawił się służący.

- Powiedz Jej Wysokości księżnej, że podano herbatę.

- Jej Wysokość księżna nie wróciła.

- Nie wróciła! - wykrzyknął książę i dodał: - Ależ oczywiście, poszła na spacer! Rzucił spojrzenie na zegar nad kominkiem.

- Nie ma jej od ponad trzech godzin. Widocznie jest silniejsza, Falkirk, niż można by sądzić po tym, co mi opowiadałeś o sierotach i o warunkach w sierocińcu.

- Postaram się dowiedzieć, dokąd udała się księżna - powiedział pan Falkirk.

Wyszedł z Komnaty Wodza. Księżę wziął bułeczkę ze stołu i, pogryzając ją, podszedł do okna. W holu pan Falkirk wypytywał służących. - Dokąd udała się Jej Wysokość? - Szła prosto podjazdem, panie. - Nie wróciła?

- Od tego czasu nikt jej nie widział.

Pan Falkirk wyjrzał przez otwarte drzwi. Dzień był słoneczny, ale teraz zachmurzyło się. Miał wrażenie, że zbiera się na deszcz.

- Przysłać mi konia ze stajni! - rozkazał.

Po kilku minutach przyprowadzono mu konia. Służący podał mu czapkę. Pan Falkirk wspiął się na siodło i ruszył podjazdem w dół. W stróżówce przy bramie wjazdowej zapytał odźwiernego, czy widział Tarę. Dowiedział się, iż skrzyła w lewo drogą wiodącą przez dolinę, którą jechali poprzedniego dnia. Pan Falkirk ruszył wolno we wskazanym kierunku, rozglądając się na boki, na wypadek gdyby Tara obrała drogę przez wrzosowiska lub błąkała się wśród sosen rosnących nad potokiem.

Upłynęło wiele czasu, zanim wreszcie ją znalazł. Prawie trzy mile od zamku. Nie było tu już drzew, a wrzosowiska swoim bezmiarem zdawały się sięgać horyzontu. Właśnie miał zamiar zawracać, gdy spostrzegł ciemną postać na połaci wrzosu, wysoko nad drogą. Odniósł wrażenie, że wspięła się tam nie po to, aby podziwiać widoki, lecz wypatrując jakiegoś domu czy siedliska.

Zawrócił konia i cicho podjechał do niej. Leżała skulona we wrzosach, płacząc bezradnie z twarzą ukrytą w dłoniach. Pan Falkirk zsiadł z konia i puścił go wolno, by poszukał sobie trawy. Stał spoglądając na Tarę, a ponieważ nie przestawała płakać, usiadł koło niej.

- Co się stało? Czy spotkała cię jakaś przykrość?

Na dźwięk jego głosu uniosła twarz, a potem, jakby nie mogąc się opanować, przywarła do niego i dalej płakała na jego ramieniu. Otoczył ją opiekuńczo ramionami i przytulił.

- Nic się nie stało - pocieszał ją cicho. - Powiedz mi o wszystkim, przecież nie może być aż tak źle.

- Jest... gorzej! - załkała Tara. - Powiedział mi... żebym się... wyniosła i... nie... wracała... a ja... nie... mam... gdzie... iść... i nie mam... pieniędzy.

Ostatnie słowa zdławiło łkanie i znów rozplakała się rozpaczliwie jak dziecko.

Pan Falkirk wciągnął głęboko powietrze.

- Nic się nie stało, Taro - powiedział. - Jego Wysokość nie miał tego na myśli. Był zagniewany, ale nie na ciebie.

- Poślubił mnie z... zemsty! Nie chce... mnie... bo już się... zemścił, a ja... muszę... odejść.

Pan Falkirk powiódł wzrokiem po wrzosowiskach, jakby ich piękno mogło mu pomóc znaleźć właściwe słowa.

- Obawiam się. Taro, że to nie takie proste.

- Proste? - zapytała.

- Widzisz, droga moja - mówił Falkirk powoli - Każdy nasz czyn pociąga za sobą wiele konsekwencji, Które niestety dotyczą nie tylko nas samych, ale także innych ludzi.

Słuchała go, nie rozumiejąc, co próbuje jej powiedzieć.

- Zdradzę teraz pewną tajemnicę - powiedział pan Falkirk.

- Powiem ci, dlaczego książę jest zagniewany i dlaczego sprowadził cię na zamek, abyś została jego żoną.

- Żeby zranić... Kildonnonów... to wiem...

- Ale nie wiesz - ciągnął pan Falkirk - dlaczego chciał sprawić im ból.

- Zastanawiałam się... nad tym.

- Nie wiem, czy mam prawo opowiedzieć tę historię, ale ponieważ jesteś teraz księżną Arkcraig, uważam, iż powinnaś ją znać.

Tara oparła głowę na jego ramieniu, a on nadal ją obejmował. Pomyślał, że tak właśnie pragnąłby siedzieć ze swoją córką, gdyby ją miał. W rzeczywistości Tara była mu tak bliska, jak bliskie mogłoby mu być tylko własne dziecko i tak samo droga.

Dobierał prostych słów. Opowiedział o tym, że małżonka księcia nienawidziła go, ponieważ był McCrainem, że kochała swego kuzyna, Neila Kildonnona, i że w końcu zbiegli razem do Francji. Opowiedział jej o pojedynku, przy którym był obecny, podkreślając, że księżę zadbał o to, aby odbył się on honorowo, zgodnie z regułami obowiązującymi wśród dżentelmenów od stuleci.

- Ale... zabił... go! - wyszeptała Tara.

- Neil Kildonnon umarł wskutek odniesionych ran. A to coś zupełnie innego.

- A ona... księżna?

I znów celowo pomniejszając dramatyczność wydarzeń, pan Falkirk opowiedział jej, jak księżna ugodziła się sztyletem, jak czyniono wszystko, aby odratować ją po zażyciu laudanum, lecz niestety umarła.

Gdy skończył mówić, zaległa cisza. Po długim milczeniu zapytała:

- Czy była... bardzo... piękna?

- Większość ludzi uważała, że jest bardzo urodziwa - bonny - jak zwykliśmy mówić w tej części świata.

- Księżę... kochał ją?

- Mówiąc szczerze - odrzekł uśmiechając się z lekka - nie wydaje mi się, aby Jego Wysokość był kiedykolwiek zakochany. W jego życiu było wiele kobiet, lecz jeżeli żywił jakąkolwiek miłość, była to miłość do klanu.

- A teraz jest... zraniony... nieszczęśliwy...

- Jego duma została zraniona, a duma McCraiga to uczucie silne i nad wyraz gwałtowne. Minie dużo czasu,

zanim przewycięży dręczące go cierpienie i ty, Taro, możesz mu w tym pomóc.

- Jak?

- Jesteś jego żoną.

- Nigdy nie wyobrażałam sobie... nigdy nie śniłam, że... to czeka na mnie... w... Szkocji.

- Ani ja, Taro. Lecz tak się stało i nie możesz od tego uciec. To twój obowiązek, sprawa, w którą musisz wierzyć i o którą musisz walczyć.

Tara wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Tak jak Szkoci walczyli za to, w co... wierzyli. - Właśnie! Tara otarła policzki z łez.

- Nie chcę, aby... pan uważał mnie... za tchórza. Ja... wrócę.

- Tak myślałem - odparł pan Falkirk.

Książę siedział w swoim gabinecie, zajęty przeglądaniem stosu korespondencji, która czekała na niego po powrocie z Francji. Do komnaty wszedł pan Falkirk, zamknął za sobą drzwi i stanął naprzeciwko biurka. Po chwili książę podniósł głowę i popatrzył na niego.

- Gdzie byłeś? - zapytał. - Zastanawiałem się, co się z tobą dzieje.

- Czy pamiętasz, książę - zapytał pan Falkirk - gdy miałeś szesnaście lat, zabiłeś straszliwie mężczyznę, który był o wiele od ciebie większy i silniejszy, ponieważ dowiedziałeś się, iż z okrucieństwem traktował swego psa?

- Tak, oczywiście, że pamiętam! - wykrzyknął książę. - Był pasterzem i pił za dużo. Pies był tak skatowany, że trzeba go było dobić. Ale po tym, jak mu dałem nauczkę, wątpię, aby ten człowiek jeszcze kiedyś uderzył psa!

- Gdy potem wróciłeś na zamek - ciągnął pan Falkirk - powiedziałeś mi, że nienawidzisz wszelkiego okrucieństwa i

będziesz walczył z każdym, ktokolwiek by to był, jeżeli przekonasz się, że traktuje w ten sposób zwierzęta.

- Przypominam sobie swój gniew i oburzenie - potwierdził ksiązę. - Ale co chcesz powiedzieć, Falkirk? Czyżby był ktoś w moich włościach, kto tak sobie poczyną? Bo nie zniosę tego!

- We włościach? Nie, ksiązę, na zamku!

Książę chciał coś powiedzieć, lecz pan Falkirk ciągnął dalej:

- Znalazłem księżną prawie trzy mile stąd, bezradnie płaczącą na wrzosowisku, z rozpaczy, że nie ma gdzie iść i nie ma pieniędzy.

- Dobry Boże!

- Kazałeś jej odejść, a przynajmniej ona tak to zrozumiała. Jest przyzwyczajona do rozkazów i posłuszeństwa.

Książę wstał zza biurka.

- Nie miałem pojęcia! Nie chciałem sprawić jej przykrości. Przeszkodziła mi w czytaniu wyjątkowo denerwującego listu od mojej ciotki Harriet, do której dotarły jakieś pogłoski o wyjeździe Margaret do Francji, wobec czego odsądziła mnie od czci i wiary za to, że nie dałem mej żonie dziecka. - Przerwał na chwilę. - Nie cierpię, jak się ktoś wtrąca w moje sprawy!

- Ani ja - powiedział pan Falkirk - lecz księżna jest całkiem inna od kobiet, które ksiązę dotychczas znał.

Arkraig przeszedł przez komnatę i stanął przy oknie. Panu Falkirkowi zdało się, że zagłąda w głąb siebie. Upłynęło kilka minut, zanim powiedział:

- Wściekłość tak mnie zaślepiła, że poślubiając ją, działałem pod wpływem impulsu i nie przewidziałem konsekwencji. Sądzę, że jest za późno, aby ją odesłać?

- O wiele za późno, Wasza Księżęca Wysokość. Jest twoją żoną!

Księżę westchnął jakby z samej głębi duszy.

- Sam się w to wpakowałem, Falkirk. Nie sądzę, abyś mógł mnie z tego wyciągnąć, jak to robiłeś wiele razy w przeszłości?

- Obawiam się, księżę, że tym razem musisz poradzić sobie sam.

Po tych słowach księżę milczał długą chwilę, zanim rzekł:

- Gdzie teraz jest księżna?

- Powiedziałem jej, by się położyła - powiedział pan Falkirk - i poleciłem pani McCraig, żeby zaniosiła jej herbatę.

- Czy zje ze mną wieczerzę?

- Na pewno.

- Wobec tego, Falkirk, postaram się zachowywać w bardziej cywilizowany sposób.

- Z pewnością nie będzie to dla księcia trudne.

Pan Falkirk ruszył w kierunku drzwi. Gdy już do nich dotarł, księżę, nie odwracając się, powiedział cicho:

- Dziękuję ci, Falkirk.

ROZDZIAŁ 5

Wspinając się po pokrytym wrzosem stoku, czując wiatr na twarzy, patrząc na uciekające przed nimi kuropatwy Tara myślała, że wycieczka jest najbardziej podniecającym wydarzeniem w całym jej życiu. Nie wierzyła własnym uszom, gdy przy obiedzie książe zapytał:

- Czy chciałabyś pójść ze mną po południu na kopiec na szczycie Ben Ark? Stamtąd roztacza się najwspanialszy widok w całej Szkocji.

Przez chwilę patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, nie mogąc uwierzyć, że jej to proponuje. Potem odparła:

- Czy... naprawdę mogłabym?

- Wezmę cię z sobą, jeżeli zechcesz.

- To będzie cudowne! - wykrzyknęła Tara.

Od chwili gdy poprzedniego wieczoru opuściła swoją sypialnię, by towarzyszyć księciu przy kolacji w Komnacie Wodza, zachowywał się zupełnie inaczej niż przedtem.

Gdy rozstała się z panem Falkirkiem, poczuła wstyd, że zachowała się tak niemądrze uciekając z zamku tylko dlatego, że książe się rozzłościł. Lecz reakcja ta była częścią lęku, który opanował ją poprzedniego wieczoru, gdy czekała na swego małżonka w ogromnej sypialni. a on dla jakiejś przyczyny nie przyszedł. Sama nie zauważyła, kiedy zasnęła. Obudziła się rankiem bardzo wcześnie, tak przynajmniej jej się wydawało. Ogień przygasi, tylko słaby blask migotał wśród popiołu. Prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. wspięła się na łożo i zasnęła, a gdy otworzyła oczy story były rozsunięte, a służące nosiły konwie z gorącą wodą. Nie zwróciła uwagi na to, że spała, gdy ktoś nakrył ją aksamitną kapą z łoża. Nie wiedziała, że był w komnacie książe.

Gdy siedzieli razem przy obiedzie. Tara pomyślała, że to było niemądre z jej strony tak się go bać. Spostrzegła, że jest o wiele młodszy i wcale nie tak straszny, jak jej się na początku

wydawało. Rozmawiał z nią zupełnie normalnie i pytał o różne rzeczy. Opowiedziała mu o książkach, pożyczonych od pana Falkirka, które czytała.

- W bibliotece znajdziesz mnóstwo książek - powiedział. - Ale wiele z nich zakupił mój dziad i, jak sędzę, wydać ci się mogą zbyt ciężkie i nadzwyczaj nudne.

- To takie podniecające mieć książki do czytania. Nie wyobrażam sobie, żebym kiedykolwiek uznała, że książka jest nudna i nie chciała jej skończyć.

Książę uśmiechnął się, a Tara dodała:

- Czy naprawdę będę mogła pożyczać książki z waszej biblioteki?

- Będzie to dla mnie największą przyjemnością - odrzekł.

Westchnęła cichutko.

- Tu wszystko jest takie podniecające. Dzisiaj dostałam prezent ślubny!

- Prezent ślubny? - zapytał Arkcraig.

- Dostałam go od Janet, jednej ze służących, które mi usługują. Jej babcia wyrabia perfumy z wrzосу. Przyniosła buteleczkę dla mnie.

Wydawało się jej, że zaskoczyło to księcia, więc powiedziała niepewnie:

- Może nie powinnam była jej przyjąć? Czy mam to zwrócić?

- Nie, oczywiście, że nie - odparł szybko. - Po prostu zaskoczyło mnie, że Janet o tym pomyślała, a ja nie. Zapewne posądziłaś mnie o niedbałość, ponieważ nie dałem ci żadnego prezentu z okazji ślubu.

- Dlaczego miałabym tak myśleć?! - wykrzyknęła Tara. - Nie ma żadnego powodu, dla którego ktoś miałby mi dawać prezenty. Zresztą nigdy przedtem nie dostałam prezentu, a buteleczka perfum była czymś zachwycającym.

- Nigdy nie dostałaś żadnego prezentu? - powiedział powoli książę. W jego głosie zabrzmiało takie zdziwienie, że Tara aż się roześmiała.

- Oczywiście, że nie! W sierocińcu?

Zobaczyła niedowierzanie w jego oczach i ciągnęła dalej:

- Gdy miałam czas, szłam z niepotrzebnych gałganków malutkie laleczki dla najmłodszych, ale chłopcy nie mieli żadnych zabawek. Wydaje mi się, że między innymi właśnie dlatego ciągle się ze sobą bili.

- Kiedy pojedziemy do Londynu - odezwał się książę - sama będziesz mogła zawieźć prezenty do sierocińca.

Tara popatrzyła na niego.

- Naprawdę?

- Oczywiście, że tak.

Przez chwilę nad czymś się zastanawiała, aż wreszcie powiedziała:

- To... kosztowałyby... dużo pieniędzy... jeżeli każde z dzieci... miałyby dostać zabawkę.

- Może najlepiej byłoby wydać te pieniądze na ciebie. Wtedy wystarczyłby jeden prezent.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie. Miała uczucie, że patrzy na nią dziwnie, jakby ją sprawdzał.

- Niczego nie chcę - zastrzegła się. - Ale gdyby dzieci w sierocińcu dostały zabawki, byłoby to niezwykle emocjonujące przeżycie, zarówno dla nich. jak i dla mnie.

- Naprawdę niczego nie potrzebujesz dla siebie?

- Tylko książek odrzekła Tara. - Ale już powiedziałeś mi panie, że będę je mogła pożyczać.

Pomyślała, że książę ma bardzo dziwny wyraz twarzy, gdy zmieniał temat rozmowy.

W interesujący sposób tłumaczył jej różne rzeczy, tak jak pan Falkirk, ale mówił szybciej i z większą werwą. Tarze wydawało się, że chwyta wszystko w lot, co czyniło rozmowę

bardziej błyskotliwą. A potem pod koniec posiłku ksiązę zaproponował wycieczkę na szczyt.

Prawie nie wierzyła, że mówił poważnie, póki nie wyruszyli nie podjazdem, ale przez ogrody i zarośla. Szli ścieżką wijącą się wśród chaszczy, niewiele szerszą niż owczy szlak, która wiodła prosto do podnóża Ben Ark, górującego nad doliną. Nie zaszli daleko, kiedy Tara uświadomiła sobie, że jest straszliwie gorąco. Był lipiec, więc mogła się tego spodziewać. Jednakże jedną z surowych i nienaruszalnych reguł sierocińca, wprowadzonych przez księżną Harriet, było, iż żadne dziewczę nie może wyjść poza teren przytułku, jeżeli nie nałoży ciężkiej, czarnej peleryny, która by zakrywała szarą kretonową suknię. Dlatego bez zastanowienia, nawet nie myśląc o tym, że w lipcowym słońcu będzie jej za gorąco, Tara narzuciła pelerynę.

Kiedy weszli już tak wysoko, że zamek został daleko w dole, ksiązę zwrócił się do niej:

- Teraz jest bardzo ciepło, ale gdy wejdziemy na szczyt, przekonasz się, że tam jest znacznie chłodniej.

- Rzeczywiście jest mi gorąco - przyznała Tara. - Lecz nie dlatego pozostaję z tyłu, Wasza Wysokość. Wciąż zatrzymuję się, aby podziwiać piękno wrzosowisk. I właśnie znalazłam biały wrzos na szczęście.

- Znajdziesz go tu znacznie więcej - powiedział ksiązę. - Ale dlaczego nie zdejmiesz peleryny?

- A mogę?

- Dlaczegoż by nie? - zdziwił się. - Oprócz kuropatw nie ma tu nikogo, kto mógłby mieć coś przeciwko temu.

Zaśmiała się nieśmiało i odpięła zapięcie przy szyi.

- Zresztą i ja zdejmę kurtkę oznajmił. - Na szczęście nie wziąłem pledu.

Mówiąc to zdjął okrycie i Tara zobaczyła, że pod spodem miał cienką, batystową koszulę, która ostro kontrastowała z plisowanym kiltem opasującym jego talię.

- Tak lepiej - powiedział z ulgą w głosie. - A teraz ruszajmy w górę. Jeszcze mamy spory kawał drogi, ale będzie nam łatwiej schodzić w dół.

Tara była o tym przekonana, lecz wcale nie czuła się zmęczona. Miała wrażenie, iż wszystkie te nowe i ekscytujące przeżycia dawały jej nadzwyczajną siłę. Wspinali się coraz wyżej i wyżej, aż nagle Tara dostrzegła kamienny kopiec wznoszący się przed nimi. Książę opowiedział jej na początku ich wędrówki, że usypali go na szczycie z wniesionych tam w pocie czoła kamieni członkowie klanu, aby uczcić pamięć jego prapradziadka.

- Potem stał się wieżą wartowniczą i w dawnych czasach zawsze jakiś człowiek pełnił tu straż, by ostrzegać nas przed nadejściem nieprzyjaciół wyjaśnił.

- W jaki sposób dawał klanom znak, gdy zbliżał się wróg?
- zapytała Tara.

- Rozniecał ognisko - odparł książę. - W dzień znakiem ostrzegawczym był wznoszący się dym, a nocą jaśniejące w ciemnościach płomienie.

- Zimno musiało być temu wartownikowi w zimie, gdy góry pokrywał śnieg.

W tamtych czasach McCraigowie byli rodem ludzi twardej - uśmiechnął się książę. - Dopiero ostatnio przyzwyczajiliśmy się do komfortu i wygodnego życia. przez co ucierpiała nasza siła.

Tara mimo woli pomyślała, że życie wielu Szkotów nadal było twarde i pozbawione wygod, ale nie chciała spierać się z księciem, lecz uczyć się od niego. Idąc za nim po krętej ścieżce myślała, że mógłby jej opowiedzieć o tylu rzeczach, ona zaś chciałaby mu zadać tak wiele pytań.

Muszę uważać, aby go nie znudzić - pomyślała / pokorą. Jednocześnie, niemal instynktownie przybliżyła się do niego.

- Jesteśmy prawie na miejscu - rzucił przez ramię jej towarzysz. - Mam ze sobą moją lunetę i będziesz mogła spojrzeć dalej niż kiedykolwiek w swoim życiu.

Znaleźli się zaledwie o kilka kroków od kopca, rysującego się na tle nieba. W rzeczywistości był o wiele większy, niż się wydawało z doliny.

Mówiąc do Tary, książę spojrzął na lunetę umocowaną rzemieniem u jego boku. Ponieważ nie patrzył przed siebie, to Tara pierwsza spostrzegła, że za kopcem pojawił się mężczyzna. Wstrząśnięta ujrzała, że w dłoniach trzymał broń. Wycelował ją prosto w księcia. Widząc to, Tara krzyknęła. To jej krzyk uratował mu życie. Odwrócił się i kula, która miała trafić prosto w serce, ugodziła go w ramię. Ale siła uderzenia spowodowała, że stracił równowagę i runął, uderzając głową o głaz.

Tara zamarła w bezruchu. Książę leżał na ziemi, a ona patrzyła właśnie na mężczyznę, który go postrzelił. Natychmiast poznała, że jest to jeden z Kildonnonów, którzy byli obecni w Komnacie Wodza podczas jej zaślubin. I on na nią patrzył. Nagle odwrócił się i zaczął zbiegać po przeciwległym zboczu góry. Jego kilt kołysał się przy każdym ruchu i wyraźnie można było rozpoznać zieloną i żółtą kratę tartanu.

Tara podbiegła do księcia i uklękła przy nim. Krew z jego ramienia spłynęła karmazynową falą po białej koszuli. Spostrzegła, że krwawi też głęboka rana na jego skroni, powstała wskutek uderzenia o ostrą krawędź głazu. Inna kobieta straciłaby głowę, lecz Tara była przyzwyczajona do takich wypadków.

Obok na ziemi leżała jego kurtka. Z jej kieszeni Tara wyciągnęła chusteczkę, którą zawiązała mocno na ramieniu

księcia, by zatamować krwawienie. Potem wysunęła zza skarpety jego skean - dhu i rozcięła płócienną koszulę od mankietu po ramię, aby odsłonić ranę. Przez chwilę patrzyła na nią skonsternowana. Wiedziała, że tam gdzieś, w rozoranym ciele, tkwi kula, lecz trudno jej było cokolwiek dostrzec przez wciąż płynącą krew. Zacisnęła jeszcze mocniej zawiązaną chusteczkę, ponieważ miała świadomość, że tak należy w takich przypadkach postępować, i zaczęła się zastanawiać, czego by użyć zamiast bandaża. Książę nie miał przy sobie niczego odpowiedniego, prócz chustki, którą już wykorzystała.

Odwróciła się do niego tyłem, uniosła spódnicę i za pomocą skean - dhu spróbowała odciąć kawał swej białej perkalikowej halki. Wcale nie było to łatwe. Mocując się z halką nagle przypomniała sobie, iż pan Falkirk wie, gdzie poszli, ponieważ rozmawiali z nim, zanim wyruszyli z zamku.

- Zabieram księżną do kopca na szczycie Ben Ark - powiedział był książę.

Pan Falkirk uśmiechnął się.

- To długi spacer i dobrze zrobi księżnej po tylu dniach spędzonych w powozie. Pod koniec podróży zaczęliśmy się już obawiać, że utracimy władzę w nogach.

- Jeżeli będą bolały dzisiejszej nocy, nie mam zamiaru poczuwać się do winy! - odparł lekkim tonem Arkcraig.

Pan Falkirk obserwował ich, gdy szli przez ogród. Tara wiedziała, że jeśli nie wrócą, na pewno wyśle kogoś na poszukiwanie, ale znaczyło to, że przez dłuższy czas książę będzie pozbawiony odpowiedniej opieki. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że należy jak najszybciej wyjąć kulę.

Tak skromnie, jak tylko umiała rozwiązała halkę, która spadła na ziemię. Tara wyplątała się z niej, następnie odcięła szeroki pas perkalu na bandaż, a resztę przywiązała do długiego kostura, który niósł w ręce książę podczas

wspinaczki. Pan Falkirk powiedział jej, że każdy Wódz nosił kij z drewna orzechowego, który symbolizował kij pasterski.

- Wódz prowadzi i ochrania swój klan w podobny sposób jak pasterz - wyjaśnił.

Tara wcisnęła kostur w miękką ziemię koło kopca. Jak przepowiedział książe, wiał wiatr, który uniósł halkę, tak że powiewała niby sztandar. Miała nadzieję, że zobaczy ją ktoś na zamku albo może jeden z gajowych, którzy przemierzali wrzosowiska.

Potem uklękła koło księcia, żeby zabandażować mu ramię, ale uświadomiła sobie, że najpierw musi założyć na ranę jakiś opatrunek. W sierocińcu, gdzie często zdarzało się, że chłopcy w ferworze walki kaleczyli się nożami, przekonała się, iż samo bandażowanie nic nie pomaga, najpierw trzeba przycisnąć ranę grubym opatrunkiem. Po chwili namysłu ściągnęła z głowy swój brzydki szary czepek. Zwinęła go i owinęła chusteczką, potem przyłożyła do rany księcia i zabandażowała ramię długim pasem perkalu wyciętym z halki.

Wiedziała, że nie wolno zbyt długo zostawić na ramieniu zaciśniętej chustki, która tamowała przepływ krwi. Podczas gdy usiłowała ocenić, jak długo chustka już tam była, przyjrzała się jego skroni. Zrozumiała, iż to upadek pozbawił go przytomności.

Uderzył się o ostry kamień i Tara była przekonana, że musiało to spowodować wstrząśnienie mózgu.

Książę leżał w niewygodnej pozycji, wpółwsparty na kopcu, z podkurczonymi nogami, jednakże był za ciężki, by mogła go ruszyć. Spojrzała za siebie, w dolinę, w nadziei, że zobaczy nadchodzącą pomoc, i w tejże chwili z nieba, które nagle pociemniało, lunął deszcz. Pośpiesznie przykryła księcia jego kurtką i zarzuciła sobie pelerynę na ramiona. Ciepło towarzyszące im przy wspinaczce zastąpił nagły chłód, a deszcz siekający jej twarz był lodowaty. Zaczęła się obawiać o

księcia. Utracił dużo krwi i z doświadczenia wiedziała, że wkrótce chwyci go zimno, a może nawet dreszcze.

Muszę zapewnić mu ciepło - pomyślała.

Żałowała, że znaleźli się na samym szczycie góry, a nie trochę niżej, ale nie mogła na to nic poradzić. Pomyślała, że powinna zdjąć pelerynę i przykryć nią księcia. Potem wpadła na lepszy pomysł. Usiadła plecami do kopca i z ogromnym wysiłkiem przyciągnęła księcia do siebie tak, aby spoczął w jej ramionach. Trzymała go, tak, jak w sierocińcu często trzymała dzieci, które się skaleczyły. Otuliła go peleryną, troszcząc się, aby nie zmókł, choć ją samą deszcz siekł po głowie. Nie wiedziała, co począć z jego nogami. Były całkowicie odsłonięte od końca skarpet aż po uda. Ale uznała, że z pewnością są mniej wrażliwe niż górna część jego ciała.

Nie miała nic, czym mogłaby opatrzyć jego skroń, gdyż zużyła już i chusteczkę, i halkę. Skaleczenie krwawiło, znacząc stanik jej sukni, lecz nie była to krew płynąca karmazynową strugą, jak z rany na jego ramieniu.

- Ciekawam, jak długo przyjdzie nam czekać - szepnęła Tara.

Przyszło jej na myśl, że niezwykłym zrządzeniem losu ona, sierota, osoba zupełnie bez znaczenia, siedzi na szczycie góry trzymając w ramionach jednego z najważniejszych ludzi w całej Szkocji.

- Jest nieprzytomny i nigdy się nie dowie, że tak go trzymałam - mówiła sobie. - Tylko tak mogę go ogrzać.

Deszcz zdawał się nasilać, aż nagle ustał tak samo niespodziewanie, jak przedtem lunął z nieba. Wyjrzało wyblakłe słońce, a wraz z nim nad doliną pokazała się tęcza. Tara nigdy nie wyobrażała sobie czegoś równie pięknego, eterycznego i mistycznego. Wydawało jej się, że to znak niebios, który niesie z sobą jakąś wieść, chociaż nie umiała zgadnąć jaką. Wiedziała tylko, że to niezwykle piękno

podnosi ją na duchu i rozwiewa lęk, z którym żyła w sercu, który jej nie opuszczał od chwili przybycia na zamek.

Na pewno oznacza, że wszystko będzie w porządku, nie tylko dla mnie, ale też dla księcia - pomyślała i przypomniała sobie o klątwie. Pan Falkirk wyśmiał staruchę, lecz Tara nie mogła wyzwolić się od myśli, że jak dotąd księcia prześladował i ścigał wyjątkowy pech. Najpierw ożenił się tak nieszczęśliwie, a teraz mało brakowało, by stracił życie. Co by zrobiła, gdyby kula trafiła go w serce, jak chciał napastnik, i znalazłaby się tu sama z zastrzelonym... małżonkiem?

Poprzedniej nocy, gdy kładła się spać, nie lękała się już tak strasznie jak wcześniej, ponieważ coś jej mówiło, że księżę nie przyjdzie do jej komnaty. Nie wiedziała, czemu jest tego tak pewna. Może wyczytała to ze sposobu, w jaki powiedział dobranoc życząc jej, aby spała dobrze, a może wielka sypialnia nie była jej już tak straszna i nie obawiała się położyć do łóżka.

- Tak wiele wycierpiał - mówiła sobie. - I chyba uważa wszystkich za swych wrogów.

I pomyślała, że to samo musi odczuwać w stosunku do niej, mimo że sprowadzono ją do zamku na jego własne polecenie.

Wydaje mi się, że zemsta nie uszczęśliwia ludzi - zdecydowała.

Zaraz po tym uświadomiła sobie, że gdyby księcia zastrzelono, wojna, która wybuchłaby w wyniku tego między McCraigami a Kildonnonami, byłaby zaciekle i okrutna i niewątpliwie pochłonięłaby setki istnień ludzkich.

Znów pomyślała o mężczyźnie, który strzelał do jej męża. Była pewna, iż jest to ten z Kildonnonów, do którego zwracano się Rory. Wydawało się jej, że jest najstarszy z młodych ludzi. Nienawiść, która emanowała z niego i niby płomień sięgała księcia, była Tak intensywna, że powietrze

zdawało się drzeć z napięcia. Gdy ujął dłoń Tary, aby złożyć jej hołd. zrozumiała, że jej również nienawidzi, a niepohamowana wściekłość, która gorzała w jego oczach, przejęła ją dreszczem grozy.

I oto się zemścił! Może obserwował ich, gdy wchodzili po zboczu, i czekał na odpowiednią chwilę, aby strzelić księciu prosto w pierś. Stałby się mordercą, a ona jedynym świadkiem mogącym go rozpoznać.

Jeżeli teraz powiem im prawdę - pomyślała - to rozwścieczeni McCraigowie chwycą za broń przeciwko Kildonnonom.

Już niemal słyszała dźwięk kobzy wzywający do broni, tupot ich kroków, gdy uzbrojeni spieszą przez granicę, aby mścić się na Kildonnonach.

- Muszę jakoś temu zapobiec - powiedziała sobie. - Księżę żyje i to jest najważniejsze.

Przytuliła go jeszcze bardziej, a potem dłonią odsunęła sobie mokre włosy z czoła.

- Wątpię, aby księżę odzyskał przytomność wcześniej niż jutro - oznajmił doktor.

Ten wesoły człowiek o czerwonej twarzy wydobył kulę z ramienia księcia umiejętnie, lecz jednocześnie tak brutalnie, że Tara poczuła ulgę, iż pacjent nie był niczego świadomy.

- Czyżby Jego Wysokość upadł na kopiec? - zapytał doktor oglądając ranę na skroni Arkcraiga.

- Tak, runął nań całym ciałem - odrzekła Tara.

- Rana w tym miejscu może być niebezpieczna powiedział doktor - ale jeśli ją oczyścimy, z pewnością okaże się, że skaleczenie jest niewielkie, choć bez wątpienia zostanie szrama.

- Nie wydaje mi się, aby Jego Wysokość bardzo się tym zmartwił - powiedział pan Falkirk - choć gdy się obudzi, zapewne będzie odczuwał ból.

- O, na pewno zgodził się doktor. Obudzi się paskudnym bólem głowy i bez wątpienia będzie go bolało przez pewien czas, ale cóż to znaczy dla McCraiga.

- A ramie Jego Wysokości? - indagował pan Falkirk.

- Zaleczy się, ale to potrwa. Na razie nie wolno mu będzie zbyt często używać ręki. Najlepiej byłoby potrzymać go w łóżku. Doktor zaśmiał się i dodał: - Znam księcia od dawna i wiem, że nie należy do łatwych pacjentów! Nigdy nie słucha nikogo, a już lekarza najmniej!

Położył dłoń na czole chorego, nie dotykając rany.

- Może wywiązać się gorączka - ciągnął ale ma silny organizm, zawsze miał. Nie powinna długo się trzymać.

- A jak go pielęgnować? - zapytał pan Falkirk. Doktor potarł dłonią podbródek.

- Ot i kłopot, panie Falkirk. Uważam, że powinien pan znaleźć kogoś na zamku, aby pielęgnował Jego Wysokość. Z wioski nie polecałbym nikogo.

- Ja będę go pielęgnować - powiedziała cicho Tara.

Doktor i pan Falkirk spojrzeli na nią zaskoczeni.

Wydała się im bardzo młoda z tą czupryną ognistych loków okalających twarz. Zupełnie nie przypominała z wyglądu doświadczonej pielęgniarki, której opiece chcieliby powierzyć księcia.

Obawy obu mężczyzn doktor wyraził w słowach.

- Czy choć trochę znasz się na tym, panienko, chciałem powiedzieć, Wasza Wysokość?

Od chwili gdy poznał Tarę, z trudnością uświadamiał sobie, że była nową księżną. Tara uśmiechnęła się.

- Pielęgnowałam chłopców ze złamanymi nogami, rękami i gorszymi guzami na czole niż ten, który właśnie nabił sobie książę.

Zobaczyła zdziwienie w oczach doktora.

- Miałam też dwadzieścioro dwoje dzieci chorych na odrę, niektóre z bardzo wysoką gorączką, a ja musiałam sobie radzić bez żadnej pomocy.

- Gdzie Wasza Wysokość zdobyła tak rozległe doświadczenie? - zapytał doktor.

- Księżna pracowała wśród biedoty londyńskiej - wtrącił pospiesznie pan Falkirk, zanim Tara zdążyła odpowiedzieć.

- Wobec tego Jego Wysokość znajdzie się w dobrych rękach - oznajmił doktor.

Wszystko zorganizował pan Falkirk. Zdecydował, że Tara będzie czuwać nad księciem nocami, zaś Hektor, kamerdyner ksiązęcy, zajmie się nim w ciągu dnia, tak by przynajmniej mogła się trochę przespać i pospacerować po świeżym powietrzu. Pan Falkirk kazał wnieść kanapę do sypialni księcia, żeby Tara miała się gdzie położyć w nocy. O szóstej rano Hektor rozpoczynał służbę i zmieniał ją przy chorym, a ona przechodziła do swojej komnaty i kładła się do łóżka, natychmiast zapadając w głęboki sen.

Z początku była przerażona, ponieważ ksiązę nie odzyskiwał przytomności, ale jednocześnie uważała to za błogosławieństwo, bo nie wiedział nic o swym obrzmiałym i zaognionym ramieniu. W nocy musiały dwa lub trzy razy zmieniać bandażę, a w dzień przychodził doktor i robił to jeszcze dwukrotnie.

- Chyba powinien już odzyskać przytomność? - zapytała drugiego dnia pana Falkirka, gdy spotkała go w Komnacie Wodza.

Nie ma żadnej poprawy - odparł. - Hektor mówi, że jest bardzo niespokojny i rzuca się z boku na bok.

- To samo było zeszłej nocy - powiedziała Tara. - Jestem przekonana, że ma wysoką gorączkę.

Sądzę, że boli go głowa, może nawet bardziej niż ramię - orzekł pan Falkirk. - Pamiętam, gdy sam miałem

wstrząśnienie mózgu, byłem świadom bólu, choć nie miałem pojęcia ani gdzie się znajduję, ani co się ze mną dzieje.

Tej nocy, gdy Tara została sama z księciem, usiadła koło łoża i zaczęła łagodnie masować jego czoło. Początkowo rzucał się niespokojnie z boku na bok, lecz po chwili uspokoił się pod dotykiem jej palców.

Może odczaruję ból - pomyślała, przypominając sobie, że tak właśnie nazywały to dzieci.

Ponieważ siedziała w niewygodnej pozycji, zaczęło ją boleć ramię, więc przeniosła się na łóżko i usiadła, trzymając księcia tak samo, jak wtedy na górskim stoku.

Od chwili gdy zaczęła go pielęgnować, a właściwie od chwili gdy go postrzelono, przestała w nim widzieć owego budzącego przerażenie męża, który poślubił ją, aby zemścić się na Kildonnonach. Był teraz podobny do chłopców z sierocińca, bo jeżeli któryś z nich się zranił, to znikala gdzieś jego buta i wojowniczość i stawał się z powrotem małym dzieckiem, szukającym pocieszenia u matki. Ponieważ to właśnie Tara zastępowała im matkę, starała się, jak mogła, złagodzić ból i zaszcześcić w ich sercach trochę odwagi, ponieważ wiedziała, że ta odwaga przyda się im w przyszłości. W sierocińcu często szeptano po kątach o tym, jak pozbawieni skrupułów pracodawcy maltretowali swych podwładnych. Tara nieraz błagała panią Barrowfield, aby nie ufała ludziom, którzy przychodzili po sieroty jak po pozbawiony uczuć i osobowości towar. Czasami płakała, gdy odchodzili chłopcy bliscy jej sercu, bladzi i wystraszeni niewiadomym losem, który ich czekał, pragnęła móc ich ochronić przed światem, który zdawał się jej groźny i bezlitosny. Czuła, że tak samo powinna chronić księcia, nie tylko przed bólem fizycznym, lecz także przed cierpieniami psychicznymi, przez które musiał przejść. Wydawało się jej,

że niczym trucizna zatrąły krew w jego żyłach, odmieniając go, wpływając na jego charakter.

Trzeciej nocy księżę odzyskał przytomność. Tara leżała koło niego i masowała jego czoło palcami, gdy nagle otworzył oczy i powiedział:

- Jestem... spragniony.

Przez chwilę wydawało się jej, że się przesłyszała. Potem łagodnie wysunęła spod niego swe ramię i położyła jego głowę na poduszce.

- Zaraz ci przyniosę coś do picia - powiedziała.

Zeszła z wysokiego łoża i sięgnęła po szklankę z naparem jęczmiennym. Delikatnie uniosła jego głowę i przytknęła szklankę do ust.

- Czy jesteś głodny? - zapytała. - Mam ciepłą zupę. Uważam, że jeżeli udałoby ci się trochę przełknąć, wzmocniłaby cię.

Popatrzył na nią, jakby nie rozumiał jej słów. Potem zapytał:

- Co... się... stało?

- Miałeś wypadek.

- Gdzie?

- Przy kopcu. Upadłeś na ostry kamień i zraniłeś się w głowę.

- ...Pamiętam... to.

Księżę przymknął oczy i wydawało się jej, że zasnął. Stała patrząc na niego, nie mając odwagi się położyć, gdyż mógł jej znowu potrzebować.

Dwie godziny później zapytał:

- Dlaczego... tu jesteś?

- Staram się pomóc ci ozdrowieć - odparła Tara. - Doktor jest z ciebie bardzo zadowolony.

- Ktoś... mnie postrzelił?

- Tak, wiem, ale to był wypadek.

- Kto to był?

- Nie widziałam - powiedziała Tara. - Zajął się tobą.

Tym razem wmusiła w niego kilka łyżek pożywnego rosółu z wołowiny i sarniny, który stał przy kominku, aby nie wystygł.

- Już... nie - zaprotestował.

- Jeszcze jedną łyżkę, proszę - błagała. - Doda ci sił. Tak się martwiłam, że leżysz tutaj i nic nie jesz.

Przytknęła łyżkę do jego warg i przełknął rosół, potem zamknął oczy, jakby w ten sposób chciał dać do zrozumienia, że nie zamierza więcej jeść.

Tara wyszła, gdy zjawił się Hektor, ale nie mogła zasnąć. W południe wróciła do komnaty księcia.

- Umyłem Jego Wysokość i ogoliłem - powiedział Hektor. - Zjadł co nieco, a potem zasnął.

- Wyjdę na kilka minut - oznajmiła Tara - i wrócę niedługo.

Poszła w kierunku Komnaty Wodza, a gdy już do niej dochodziła, spostrzegła kilka osób wchodzących po schodach. Ze zdumieniem rozpoznała The Kildonnona i jego dwóch starszych synów. Prowadził ich pan Falkirk i Tara zauważyła, że rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

- The Kildonnon chciał się z księżną widzieć - powiedział.

- Ze mną?! - wykrzyknęła zdziwiona.

- Tak, księżno - potwierdził The Kildonnon. Przeszli do Komnaty Wodza. Pan Falkirk zamknął drzwi.

- Dowiedziałem się - zaczął The Kildonnon - że chociaż mówi się, iż był to wypadek, to naprawdę księcia postrzelił ktoś w Ben Ark, gdy on i ty, księżno, weszliście na szczyt.

Tara spoglądała na The Kildonnona i zauważyła, że pan Falkirk również na niego patrzy.

- Chcę znać prawdę, księżno! - oświadczył The Kildonnon. - Byłaś tam i na pewno widziałaś sprawcę. Jeżeli był to jeden z moich synów, co podejrzewam, wolałbym dowiedzieć się prawdy teraz, zanim McCraigowie zaczną mścić się na nas.

Mówił ostro. Tara szybko wciągnęła powietrze. Przewidywała, że właśnie tak się stanie.

- Obawiam się, panie, że źle cię poinformowano - odpowiedziała po chwili. - Książę został ranny w wyniku wypadku z jego własną bronią, którą niósł. Potknął się, upadł na ostrą skałę, broń wystrzeliła i zraniła go w ramię.

- Czy jesteś pewna, że tak właśnie było? - zapytał The Kildonnon.

- Byłam przy tym - odparła Tara. - Sądzę, że słyszałeś, iż książę stracił przytomność nie od rany postrzałowej, ale w wyniku upadku. - Splotła palce i ciągnęła dalej: - Mieliśmy okropne trudności, aby Jego Książęcą Wysokość znieść z góry. Na szczęście jeden z gajowych zauważył postawiony przeze mnie znak, a gdy dowiedział się, że książę jest nieprzytomny, sprowadził innych mężczyzn, by znieśli go na naprędce skleconych noszach.

Uśmiechnęła się blado i dodała:

- Cały czas strasznie się bałam, że upuszczą Jego Książęcą Wysokość, lecz na szczęście byli to silni mężczyźni.

- Dokładnie tak było - potwierdził pan Falkirk. - Jednak doceniamy to, że przybyłeś tutaj, The Kildonnon, aby dowiedzieć się prawdy.

Gdy Wódz obrócił się, by mu odpowiedzieć, oczy Tary napotkały wzrok Rory'ego Kildonnona. Zauważyła, że patrzył na nią zdziwiony, jakby oczekiwał, że powie coś zupełnie innego. Tara odwzajemniła jego spojrzenie i wydało się jej, że zrozumiał, dlaczego skłamała.

Potem The Kildonnon powiedział:

- Czy przekażesz, księżno, Jego Wysokości moje szczerze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia?

- Jestem przekonana, że będzie wdzięczny za troskę - odparła Tara.

- A czy możemy mieć nadzieję, że gdy poczuje się lepiej, oboje złożycie nam wizytę?

Poznała po sposobie, w jaki mówił, i po wyrazie jego oczu, iż jej opowieść nie zwiodła go. A jednak był wdzięczny i była przekonana, że Rory Kildonnon też.

Gdy Kildonnonowie, odmówiwszy poczęstunku, opuścili zamek, pan Falkirk powiedział z uśmiechem:

Gajowi będą wszędzie szukać tej broni, którą księciu udało się zranić samego siebie.

- Wobec tego niech się pan zatroszczy o to, by ją znaleźli!
- zasugerowała Tara.

Pan Falkirk zaśmiał się i dodał, poważniejąc:

- Trudno mi uwierzyć, że ktokolwiek mógł tak szybko pojąć, jak wybuchowa mogła się stać ta sytuacja, a ty tak przekonująco opisałaś wyjaśniający wszystko wypadek.

- Widziałam, że pan by tego chciał - wyjaśniała Tara - i wydaje mi się, że księżę chciałby tego samego.

- Mam nadzieję - powiedział cicho pan Falkirk.

Późnym wieczorem, gdy Tarze wydawało się, że księżę zasnął, podeszła na palcach do kominka, by dołożyć do ognia. Gdy się odwróciła, zobaczyła jego oczy błyszczące w świetle płomieni.

- Hektor mówił mi, że złożył nam dziś wizytę The Kildonnon - odezwał się.

- Hektor nie powinien zawracać ci głowy plotkami - oparła Tara. - Dla ciebie najważniejsze jest teraz, abyś wyzdrowiał, nie powinieneś martwić się takimi drobiazgami.

- Dlaczego przyjechał?

Teraz znieruchomiła na chwilę. Potem powiedziała: -
Chciał zapytać o twoje zdrowie.

- Co jeszcze?

- Przyszło mu do głowy, że ktoś postrzelił cię przy kopcu i chyba wydawało mu się, że tym kimś był jego syn.

- A był?

- Ja... patrzyłam... w inną stronę.

- Ale musiałaś widzieć, kto pociągnął za spust? Tara chwilę milczała, zanim odparła:

- Powiedziałam The Kildonnonowi, że to był wypadek, że potknąłeś się i uderzyłeś głową o głązy kopca. a broń, którą niosłeś, przypadkowo wypaliła.

- I uwierzył?

- Chciał uwierzyć, jak i my... chcemy.

- I uważasz, iż zamierzam przejść do porządku dziennego nad zamachem na moje życie, że wyrzeknę się zemsty?

- Bardzo łatwo by było podburzyć McCraigów do wzięcia odwetu na Kildonnonach - stwierdziła Tara. - Ale czy naprawdę właśnie tego pragniesz?

- Dlaczego miałbym pragnąć czegokolwiek innego?

- Ponieważ jesteś zbyt ważny, zbyt wielki, by zniżyć się do głupiej kłótni, i nie będziesz się mścił na chłopcu, który sam szukał zemsty. - Teraz wykonała rękami nieznaczny gest.

- Spór ciągnąłby się w nieskończoność. jak w przeszłości. Prosiłam pana Falkirka, aby opowiedział mi dzieje McCraigów i wydaje mi się, że zbyt wiele tam walk, a zbyt mało zdrowego rozsądku!

Tara powiedziała dokładnie to, co myślała, lecz dopiero gdy wyrzekła te słowa, uświadomiła sobie, jak niegrzecznie i impertynencko zabrzmiały. Spojrzała niepewnie na księcia.

- Przepraszam, Wasza Wysokość, jeżeli byłam nieuprzejma powiedziała z pokorą. Po prostu lękam się rozlewu krwi, lękam się, że inni Kildonnonowie będą

usiłowali cię zabić. A ponieważ nie możesz ciągle chodzić w zbroi, wreszcie im się to udało!

Zaczerpnęła oddechu i dodała:

- Spór będzie się ciągnął w nieskończoność, aż zginą wszyscy, i może jeszcze ich dzieci i twoje dzieci. Cała rzecz jest tragicznie niepotrzebna!

Książę nie odezwał się, więc po chwili Tara dodała:

- Nie mogłam zapytać cię, książę, co... chciałbyś, abym powiedziała, ale wydawało mi się, że... wolałbyś, by Kildonnonowie i twoi ludzie nie poznali prawdy.

- Więc według ciebie Rory'emu Kildonnonowi ma ujść na sucho jego postępek!

- Wiedziałaś, że to był on!

- To jedyny, który ma na tyle odwagi, by próbować targnąć się na moje życie.

- On się bał przychodząc tu dzisiaj - powiedziała Tara. - Bał się, że zdradzę go i bał się konsekwencji. i The Kildonnon też się bał.

- I dlatego posłałaś ich do domu z radosną myślą, że ze mnie taki głupiec, który nie umie sobie poradzić z bronią! - rzucił cierpko książę.

- Świetnie zdawali sobie sprawę, jak było naprawdę - odparła Tara. - Poprosili mnie, abyśmy oboje złożyli im wizytę, gdy będziesz czuł się na siłach. Zaległa cisza, a potem książę zapytał:

- Czy na pewno o to prosił?

- Tak... i prosił szczerze.

- Mam uczucie - powiedział z wolna książę - iż rozpoczęłaś Tara nowy rozdział w historii McCraigów.

Książę szedł powoli, lecz dostojnie - korytarzem prowadzącym do Komnaty Wodza. Pan Falkirk kroczył przed nim, a gdy już dotarli na miejsce, podsunął mu wygodne krzesło, w którym książę mógł zasiąść. Lokaj pospieszył ze

srebrną tacką, na której stał kielich wina. Arkcraig uniósł kielich do warg i upił kilka łyków, zanim powiedział:

- Czuję się silniejszy, niż przewidywałem.
- Człowiek zawsze się słabo czuje, gdy wstanie po dłuższej chorobie - powiedział pan Falkirk. - Samo ubieranie wydaje się wtedy ogromnym wysiłkiem.

Książę uśmiechnął się.

- Jesteś pełen współczucia, Falkirk. A we mnie wzbiera gniew, że czuję się tak słaby jak niemowlę.

- Wkrótce nabierzesz sił. Musisz podziękować swej żonie, że się tobą tak opiekowała.

- Doskonale wiem, komu jeszcze powinienem być wdzięczny - odrzekł. - Tobie, między innymi.

Pan Falkirk spojrzał na niego zdziwiony.

- Musi być z tobą gorzej, niż mi się wydawało, bo mi dziękujesz, książę. Zwykle besztasz mnie za to, gdy nie zrobię czegoś, czym ty nie mogłeś się zająć osobiście.

- To ze mnie taki potwór? - zapytał książę.

- Nawet w połowie nie tak straszny jak twój ojciec - odrzekł pan Falkirk. Książę zaśmiał się.

- Twoje komplementy oszołomiły mnie. Często powtarzam, Falkirk, że przy tobie nigdy nie stanę się zarozumiały. Zbyt wyraźnie dostrzegasz wszystkie moje wady.

- I bardzo jestem dumny z twoich zalet powiedział cicho pan Falkirk.

Uśmiechnęli się do siebie. Od czasów dzieciństwa książę zawsze miał przy sobie pana Falkirka, w każdej chwili gotowego pomóc, poprowadzić, a czasem nawet chronić. Czuł, że zarządca jest mu bliższy niż ktokolwiek z jego krewnych i w rzeczywistości wołał go od nich.

W tejże chwili spoza Komnaty Wodza dobiegi ich gwar.

- Goście! - powiedział ostro księżę. - Na litość boską, Falkirk, ja nie chcę nikogo widzieć!

Pan Falkirk ruszył w stronę drzwi, lecz za późno. Rozwarły się i do komnaty wkroczył okazały mężczyzna. Był to człowiek lat około czterdziestu, odziany w kilt, który na nim wyglądał wyszukanie elegancko i podkreślał jego indywidualność.

- Charles! - okrzyk księcia był radosnym powitaniem.

- Witaj, Heronie - odparł przybysz. - Spodziewałem się zastać cię na łożu śmierci, po tym wszystkim, co ludzie opowiadają.

- Naopowiadano ci kłamstw.

- Cieszę się, że nie uwierzyłem w nie, a jednak widzę, że masz rękę na temblaku.

- Opowiem ci o tym, lecz może najpierw się napijesz? - powiedział księżę. - Falkirk, przypominasz sobie mojego kuzyna, Charlesa?

- Oczywiście - odrzekł pan Falkirk. - Z radością pana witam, panie hrabio.

- Wyglądasz ciągle tak samo, stary draniu! Nadal harujesz w pocie czoła u tych prowincjuszy McCraigów? Mówiłem ci, że jak tylko zechcesz od nich uciec, znajdziesz u mnie pracę.

Pan Falkirk uśmiechnął się słysząc ten stary dowcip.

- Mam dziwnie nieprzyjemne uczucie, panie hrabio, że pomiędzy nimi spoczną moje kości.

- Wiele lat jeszcze upłynie! - odparł przybysz. Usiadł obok księcia.

- A teraz, Heronie, co takiego się wydarzyło? - zapytał. - Nieprawdopodobne plotki krążą po świecie.

- Jakie plotki? - zapytał księżę.

- Na przykład, że Margaret nie żyje!

- To prawda.

- Dobry Boże! Natomiast wczoraj, jadąc tutaj, dowiedziałem się, że ożeniłeś się znowu.

- To również prawda.

- A więc najwyższy czas, abym ci złożył wizytę. Zupełnie się już pogubiłem w twoich skomplikowanych sprawach. I nalegam, abys przedstawił mi pełny obraz sytuacji.

Urwał, ponieważ lokaj podał mu kielich szampana.

- Wolałbym, żeby to była whisky! - powiedział. - Lecz zapewne mam wypić twoje zdrowie, Heronie. Musisz szybko zdrowieć, jeżeli chcesz przyjechać do Edynburga.

- A po co miałbym tam jechać?

- Boże litościwy? Czy wy na tym odludziu o niczym nie wiecie? Król zamierza u nas gościć!

- Jaki król?

- Król Anglii, Szkocji, Irlandii i Walii. Masz jakichś innych królów? A tak, na marginesie, Heronie, porządny z niego gość i wydaje mi się, że ci się spodoba.

- Charles, mój drogi, skoro ty lubisz kręcić się przy dworze, wcale nie mam zamiaru ci w tym przeszkadzać, ale cały ten ceremoniał i pompa śmiertelnie mnie nudzą. Poza tym, mam tu wiele zajęć.

- Nie wolno ci tak mówić! Przecież to jedno z najważniejszych wydarzeń w historii: oficjalna wizyta Jerzego IV w Edynburgu!

- Domniemywam, że to z tego powodu raczyłeś nas odwiedzić.

- Jego Królewska Wysokość wysłał mnie, nie na przespiegi, ale żebym przypilnował, by położyli czerwony dywan tam gdzie trzeba. Uwielbia owacje i domaga się hucznych i szczerych powitań.

- Kiedy przyjedzie? - Piętnastego sierpnia.

- Masz więc piętnaście dni - powiedział książę. - Czy zostaniesz ze mną na sobotę?

- Nie. Muszę wracać do Edynburga, ale zostanę na noc.
- Świetnie! Pan Falkirk właśnie wychodził z komnaty, gdy ksiązę krzyknął:

- Hrabia Strathairdrie zostaje na noc! Zajmij się jego świtą. Zapewne pod zamkiem stoi cały orszak.

Pan Falkirk uśmiechnął się.

- Proszę wszystko zostawić mnie, ksiązę.

Hrabia Strathairdrie rozparł się wygodnie w krześle i pociągnął szampana, zanim powiedział:

- Poważnie się o ciebie martwiłem, Heronie.

- Dlaczego? - zapytał ksiązę.

- Ponieważ od samego początku uważałem, że twoje małżeństwo jest pomyłką.

- Przypominam sobie jak mnie ostrzegales!

- Takie idealistyczne projekty są dobre tylko w teorii, natomiast nie zdają egzaminu w praktyce. Margaret nigdy cię nie obchodziła, a jej uczucia wobec ciebie były całkiem oczywiste.

- Chyba byłem na tyle zarozumiały, że myślałem, iż będę dla niej znośnym mężem.

- W przeszłości było wiele kobiet, które nie tylko uznałyby cię za znośnego męża, lecz to one same ciebie wybierały lub ty je wybierałeś spośród innych. Nie przymusiłby ich ojciec, który nie widział innej możliwości, aby spłacić dług swój i swojego zubożalego klanu.

- Wszystko to już minęło - skwitował ksiązę. - Margaret leży w mogile.

Powiedział to stanowczym tonem, aż hrabia przyjrzał mu się bacznie.

- Dobrze - powiedział. - Nie będę cię pytał o szczegóły ani nie zamierzam dociekać spraw, które wolisz zatrzymać dla siebie. Zdaje mi się, że mówiłeś, iż ożeniłeś się powtórnie?

Zanim ksiązę zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi do Komnaty Wodza i weszła Tara, Zrywała w ogrodzie kwiaty do sypialni księżęcej i niosła kosz pełen róż. Jej włosy, które podrosły w przeciągu ostatnich trzech tygodni, lśniły czerwienią na tle ciemnych dębowych drzwi. Przez moment stała w bezruchu, patrząc na księcia siedzącego w fotelu pod oknem. Potem wydała okrzyk radości, który echem zabrzmiał po komnacie.

- Wstałeś! - wykrzyknęła. - Wstałeś i odziałeś się!

- Och! Jakże się czujesz? Mam nadzieję, że to cię nie przemęczyło!

Mówiąc to biegła do niego nie spuszczając oczu z jego twarzy, więc dopiero gdy się zbliżyła, spostrzegła, że obok księcia siedzi nieznajomy.

- Czuję się bardzo dobrze - odparł ksiązę. - A teraz, Taro, chciałbym przedstawić ci mojego kuzyna, hrabiego Strathairdrie. Charles, to moja małżonka, Tara.

Hrabia dotąd siedział rozparty na krześle, lecz widząc Tarę wyprostował się gwałtownie i wpił się w nią wzrokiem, a jego twarz przybrała przedziwny wyraz. Nie odezwał się, ale siedział tak patrząc na nią, jakby nagle zamienił się w kamień.

- Witam, panie hrabio. - Tara dygnęła. Nie odpowiedział, tylko patrzył na nią jak urzeczony. Tara rzuciła księciu niepewne spojrzenie, a on powtórzył: - Charles, to moja małżonka.

- Kim ty jesteś? - hrabia wydobył z siebie schrypnięty głos. - Jak masz na imię?

Mówił tak dziwnie, że Tara otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, zanim się odezwała:

- Nazywam się Tara... nazwiska... nie mam. - Moja małżonka jest sierotą - powiedział ksiązę agresywnym tonem. - Przybyła do mnie z Sierocińca Bezimiennych, założonego przez moją babkę, a twoją ciotkę, księżną Harriet.

Hrabia nie zwrócił na niego żadnej uwagi i odezwał się do Tary:

- Nie masz nazwiska?

Pomyślała, że ten gość jest niezbyt mądry. Wydaje się nie rozumieć, co się do niego mówi. Ponieważ patrzył na nią tak, że poczuła się zażenowana, zwróciła się do księcia:

- Nie wiedziałam, Wasza Wysokość, że ktoś jest u ciebie. Pójdę i zaniosę te kwiaty do twojej sypialni.

- Najlepiej będzie, jeśli tak zrobisz - odrzekł książę. Tara zamierzała odejść, lecz hrabia Strathairdrie przytrzymał ją.

- Nie! Poczekaj chwilę - powiedział. - Coś ci pokażę. Musisz to zobaczyć.

Uniósł dłoń, rozpiął kamizelkę, a potem guziki koszuli. Na nagiej skórze jego torsu połyskiwał cienki łańcuszek. Pociągnął zań i Tara zobaczyła, że na jego końcu znajdował się medalion z miniaturą.

- Widzisz? - zapytał hrabia. - Przyjrzyj się temu i powiedz, kogo ci przypomina.

Ponieważ jej nakazał, Tara przyjrzała się miniaturze. Malunek już nieco wyblakł, lecz bez trudu można było zobaczyć bardzo ładną twarzyczkę o niebieskich oczach, okolonych frędzlami ciemnych rzęs, i otoczoną rudymi włosami.

- Jak myślisz, kto to jest? - zapytał hrabia natarczywie.

- Nie wiem - powiedziała Tara ze zdumieniem. Nagle uświadomiła sobie, że ta twarz przypomina jej własną. Patrzyła na miniaturę i bała się wyrazić swoje myśli słowami.

- Ile masz lat?

- W tym... miesiącu... skończę... osiemnaście. - W którym roku się urodziłaś?

- W tysiąc osiemset czwartym.

- Wiedziałem! - wykrzyknął hrabia.

- O co, do licha, tu chodzi? - dopytywał poirytowany książę. - I dlaczego data urodzin mojej żony miałyby cię interesować, Charles?

Hrabia westchnął głęboko, przesunął łańcuszek szukając zapięcia, odpiął go, wysunął spod koszuli i podał księciu.

- Spójrz na to.

Książę wziął od niego miniaturę.

- No i?

- Nie widzisz podobieństwa? - zapytał hrabia.

- Podobieństwa do Tary? - upewniał się książę. - Co ty próbujesz powiedzieć?

- Odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta - rzekł hrabia. - To portret mojej żony...

- Twojej żony!

Nie mogło być żadnej wątpliwości, że księcia ogarnęło zdumienie.

- Ależ, Charles, ty nigdy nie miałeś żony! Nigdy nie byłeś żonaty!

- Tak uważałeś ty i cała reszta rodziny - odparł hrabia - lecz ja nie tylko miałem żonę, ale jak myślę, odnalazłem moją dawno utraconą córkę!

ROZDZIAŁ 6

Tara i księżę patrzyli na hrabiego, jakby postradał zmysły. Wreszcie księżę zapytał:

- O czym ty mówisz, Charles? Nie rozumiem.

Hrabia nie zwrócił na niego uwagi. Wpił się wzrokiem w twarz Tary, mówiąc:

- Dlaczego dano ci imię Tara?

- Moja matka miała na szyi medalion i na nim wyryte było to imię.

Tara chwyciła się dłonią za szyję, hrabia zaś rzekł niecierpliwie:

- Pokaż mi go.

Wyjęła łańcuszek zza swego białego kołnierzyka i zsunęła przez głowę, po czym położyła go na wyciągniętej dłoni hrabiego. Patrzył na niego z uwagą i Tarze wydało się, iż na jego twarzy odmalowało się głębokie wzruszenie.

- Jeśli go otworzysz powiedział - znajdziesz wewnątrz pasmo moich włosów.

- Zastanawiałam się... czyje one mogą... być - szepnęła Tara ledwo słyszalnym głosem.

Hrabia podniósł oczy.

- Dałem go twojej matce - rzekł - ponieważ nie ośmieliłem się dać jej obrączki.

- Ona... była ci... zaślubiona?

Tara z ledwością wymówiła te słowa. Prawie nie rozumiała, o czym mówi hrabia, lecz pojęła, iż dzieje się coś wspaniałego, coś, co wywołało w niej uczucie jakby nagle wzniosła się ponad ziemię i szybowała po rozświetlonym niebie. Było to tak niewiarygodne, iż mogła tylko patrzeć na mężczyznę siedzącego przed nią, trzymającego medalion w dłoni i wydawało się jej, że chyba śni.

- Mam nadzieję, Charles, że powiesz nam, o co tu właściwie chodzi - odezwał się książę. - Być może jestem głupi, ale czuję się zupełnie oszołomiony.

- Wcale mnie to nie dziwi! - odrzekł hrabia. - Trudno mi uwierzyć, że to możliwe, abym od lat szukając mojej córki, znalazł ją tutaj, w twojej żonie.

- Czyżbym... naprawdę była... twą... córką? - zapytała Tara.

Wyciągnął rękę.

- Chodź, usiądź - powiedział głosem, nad którym prawie nie panował. - Opowiem ci całą tę historię.

Obok niego stało drugie krzesło. Tara usiadła, a hrabia ujął ją mocno za dłoń, jakby chciał się upewnić, że istnieje naprawdę i że faktycznie znalazł ją po tak wielu latach poszukiwań.

- Było to w tysiąc osiemset trzecim roku. Za dwa miesiące miałem skończyć dwadzieścia jeden lat - zaczął wreszcie - gdy zakochałem się.

W jego głosie zabrzmiała jakaś rzewna nuta, która poruszyła Tarę do głębi.

- Zdarzyło się to - ciągnął hrabia - na balu w Carlton House, gdzie książę Walii przedstawił mnie jedynej kobiecie, którą w życiu kochałem. - Miała na imię... Tara? Tara nie umiała powstrzymać słów, które cisnęły się jej na usta. Nie mogła znieść oczekiwania na dalszy ciąg historii.

- Nazywała się Tara Kildonnon - powiedział hrabia. Książę wydał okrzyk zdziwienia.

- Teraz wiem, o kim mówisz - przypomniał sobie. - Widziałem ją raz, gdy byłem młodym chłopcem. Bardzo była piękna.

Palce hrabiego jeszcze mocniej ścisnęły dłoń Tary.

- Wyglądała zupełnie tak samo jak ty dziś - zwrócił się do niej. - Gdy weszłaś do komnaty, poczułem się tak, jakby czas się cofnął.

- Lecz pochodziła z Kildonnonów - powiedział książę.

- Wiem - odrzekł hrabia. - Więc teraz rozumiesz, jak cierpieliśmy. Nasza miłość była czymś nadzwyczajnym, wielkim i nikt ani nic nie mogło przeszkodzić naszemu połączeniu. Lecz nie mogliśmy zdobyć się na wyznanie prawdy jej ojcu czy mojemu.

- W owych czasach klany były zaciekłymi wrogami - rzekł książę.

- I ten stan rzeczy długo się utrzymywał - odparł hrabia. - To dopiero ty, Heronie, byłeś na tyle odważny, by otwarcie zadeklarować swój zamiar poślubienia córki Kildonnona. Sądzę, że mój ojciec zabiłby mnie, gdybym choć napomknął mu o tym.

- Co zrobiliście? - zapytał zaciekawiony książę.

- Tara i ja spotykaliśmy się potajemnie i prawdopodobnie trwałoby to długo, gdyby nie wojna z Napoleonem.

- Oczywiście, skończyło się zawieszenie broni - mruknął książę.

- Natychmiast po wznowieniu działań wojennych mój regiment wypłynął do Indii. Mieliśmy dołączyć do wojsk gubernatora, generała lorda Wellesleya, który prowadził walkę ze szkolonymi przez Francuzów armiami niespokojnych władców Mahraty.

- Pojechałeś do Indii! - wykrzyknęła Tara.

- Zajechaliśmy akurat przed bitwą pod Laswari, jedną z najzacieklejszych i najkrwawszych w historii indyjskiej. - Hrabia urwał na chwilę, po czym dorzucił: - Nie muszę dodawać, że myślam całym czasem przy tej, która czekała na mnie w Anglii.

Powiedział to głosem, który uświadomił Tarze, jak bardzo musiał cierpieć, opuszczając ukochaną kobietę.

- Obawiałem się, że utracę Tarę podczas mojej nieobecności - ciągnął - i dlatego ubłagałem ją, abyśmy wzięli ślub przed moim wyjazdem. Zdecydowaliśmy, że gdy wrócę, bez względu na konsekwencje, powiemy naszym rodzinom, iż jesteśmy mężem i żoną. Wtedy już nic nie mogliby zrobić!

- Więc ożeniłeś się z nią potajemnie.

- Nasz ślub odbył się bardzo wczesnym ranka i zabrałem moją żonę do hotelu, gdzie spędziliśmy razem cały dzień.

Hrabia zamilkł na chwilę, jakby spoglądał w przeszłość.

- Myślę, że wtedy poznałem, co znaczy prawdziwe szczęście, i wiem, że Tara czuła to samo.

Znowu zamilkł, więc księżę niecierpliwie podpowiedział:

- Lecz wysłano ciebie za granicę.

- Mój regiment odpłynął dwa dni później. Zaznałem kilku godzin absolutnego szczęścia u boku Tary, a potem przysięgając jej dozgonną wierność, musiałem ją opuścić. - Westchnął głęboko i mówił dalej: - Pamiętam, to uczucie wściekłej zazdrości, gdy patrząc po raz ostatni na Anglię, modliłem się, by ona mnie nie zapomniała i byśmy wkrótce znowu byli razem.

- Co było dalej? - zapytał księżę.

- Trzy lata nie mogłem wrócić do Anglii - odrzekł hrabia - a udało mi się to tylko dlatego, że zostałem ranny w bitwie i musiałem w ogóle zrezygnować ze służby w wojsku. Gdy powróciłem do domu, dowiedziałem się, że Tara zniknęła.

- Zniknęła! - krzyknął księżę.

- Długi czas nie wiedziałem, co zaszło, gdyż z oczywistych powodów nie mogłem zapytać jej rodziców. - Zacisnął palce na dłoni Tary mówiąc: - Wreszcie odnalazłem starą służącą, która kochała ją i opiekowała się nią od dziecka.

Powiedziała mi, że trzy miesiące po moim wyjeździe Tara zrozumiała, że będzie miała dziecko.

- Ale nie powiedziała rodzicom? - zapytał książe.

- Jakże mogła? - niemal gniewnie rzucił hrabia. - Byłem McCraigieim a Tara tak samo bała się swojego ojca, jak ja mojego. I naprawdę był on zawziętym, nieustępliwym autokratą! Podobnie jak wielu innych Kildonnonów! - Jego głos zabrzmiał ostro, lecz nagle uśmiechnął się do Tary. - Niestety, nie wszyscy przypominali twoją matkę, śliczną, dobrą i łagodną.

- Jaka szkoda, że jej nie znałam - wyszeptała Tara.

- Kochałaby cię ogromnie - odparł hrabia.

- I co zrobiła, skoro nie mogła powiedzieć nic rodzicom?

- zapytał książe, jakby chciał, aby hrabia nie odchodził od tematu.

- Tara uciekła z domu ze swoją starą służącą, Mairi. Znalazły sobie bezpieczne miejsce, gdzie mogły żyć w ukryciu. Podobno Tara napisała do mnie wiele listów, których nigdy nie otrzymałem. - W jego głosie zabrzmiał prawdziwy ból i ciągnął dalej z wyraźnym wysiłkiem: - Jak mi opowiedziała Mairi, pewnego dnia Tara wyszła po zakupy. Do rozwiązania brakowało miesiąca i Mairi błagała ją, by uważała na siebie. Ale nigdy więcej już jej nie ujrzała.

- Miała wypadek - wtrąciła Tara. - Pani Barrowfield powiedziała mi, że wpadła pod powóz, który nie zatrzymał się i przejechał po niej. Wniesiono ją do sierocińca i tam ja się urodziłam.

- A więc tak było! - wykrzyknął hrabia. - Odwiedziłem wszystkie szpitale w Londynie, by sprawdzić, czy gdzieś nie zarejestrowano twoich narodzin.

- Moja matka nigdy nie odzyskała przytomności - powiedziała Tara. - W sierocińcu zaś ani lekarz, ani nikt inny nie wiedzieli, kim jest.

- Czy miała ten medalion na szyi? - zapytał hrabia. Nadal trzymał go w ręce.

- Lecz... nie miała... obrączki.

- Dlatego dałem jej medalion, ponieważ nie miałem odwagi dać jej obrączki - wyjaśnił hrabia. - Tak bardzo bała się, że jej ojciec lub matka znajdą ją, nawet dobrze schowaną.

- A więc... nie jestem... bękartem? Tara wypowiedziała to słowo prawie bezgłośnie, lecz hrabia je usłyszał i powiedział niemal z gniewem:

- Jesteś moją córką, zrodzoną w małżeństwie z żony, którą Bóg jeden tylko wie, jak bardzo kochałem!

- Och! Jak się cieszę! Jak bardzo, bardzo się cieszę! - krzyknęła Tara.

- Musisz mi opowiedzieć o sobie - poprosił hrabia. - Zmarnowałem osiemnaście lat i teraz o tylu rzeczach chciałbym od ciebie usłyszeć.

- Po prostu chowałam się w sierocińcu - odparła Tara. - Gdyby nie to, że umiałam zająć się dziećmi, oddano by mnie do terminu w wieku dwunastu lat. A tak, zostałam tam.

- Nigdzie indziej nie byłaś?

- Po raz pierwszy opuściłam sierociniec wtedy, gdy pan Falkirk zabrał mnie tutaj na polecenie Jego Wysokości.

- Tego właśnie nie rozumiem - rzekł hrabia. Książę milczał. Wreszcie, ponieważ hrabia czekał na odpowiedź, odezwał się z wolna.

- The Kildonnon wybrał mi Margaret na żonę, więc po jej śmierci, następną żonę postanowiłem wybrać sobie sam!

- Zatem te opowieści, które do mnie dotarły, są prawdą! - oburzył się hrabia. - Zrobiłeś to z zemsty! Dlatego sprowadziłeś tu Tarę i dlatego ma na sobie to ohydne odzienie, które otrzymała z łaski w sierocińcu!

W jego głosie zabrzmiało wyraźne oskarżenie, a także gniew, który spowodował, że Tara wtrąciła szybko:

- Proszę, nie wolno ci się gniewać! Dobrze się stało, że tutaj przyjechałam, ponieważ mogłam opiekować się Jego Wysokością, gdy był ranny!

- Jak rozumiem, przytrafił ci się wypadek z bronią - stwierdził z lekką pogardą hrabia.

Książę zacisnął wargi, a Tara powiedziała:

- To... historia, którą... ja opowiedziałam... ponieważ nie chciałam... aby McCraigowie szukali zemsty na Kildonnonach, a to z pewnością by się stało, gdyby dowiedzieli się, kto zranił ich wodza.

Hrabia spojrział na nią i uśmiechnął się.

- To rozumiem - złagodniał. - Tak właśnie zachowałaby się twoja matka. Nienawidziła myśli o wiecznej wojnie naszych klanów. Uważała, że ludzie nie powinni walczyć ze sobą, bo to okrutne i złe! A po tym, jak pokochała mnie, przekonała się, że McCraig wcale nie musi być tak zły, jak jej zawsze mówiono.

- Jeżeli jestem... twoją córką - powiedziała cicho Tara - to mam teraz... nazwisko.

- Owszem! - odparł hrabia. - Jesteś lady Tara McCraig!

Tara spojrziała na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Czy... to... rzeczywiście... prawda?

- Pochodzisz tak samo z McCraigów, jak ja lub twój mąż.

- Lecz moja... matka była z Kildonnonów.

- Dziedzicysz pozycję swego ojca, lecz jednocześnie może ci być trudno nienawidzić tych, których krew płynie w twoich żyłach wraz z moją.

- Trudno mi w to uwierzyć! - powiedziała Tara, a jej oczy błyszczały. - Ja... ja mam... rodzinę.

- Owszem, masz! - odrzekł hrabia. - A teraz, skoro jestem twoim ojcem, chciałbym ucałować córkę. Muszę ci wyznać, że często o tym śniłem.

Mówiąc to objął ją ramionami, przyciągnął do siebie i ucałował w oba policzki.

- Jesteś bardzo chuda - stwierdził - czyżby źle cię żywiono w tym sierocińcu?

- Nie karmiono nas za dobrze - przyznała. Hrabia z furją spojrział nad jej głową na księcia.

- Wydawało mi się, Heronie, że ta instytucja należała do rodziny?

- Z tego, co mówili Falkirk i Tara, wynika, że od śmierci mojej matki bardzo zaniedbano sierociniec - odrzekł książę. - Zdażyłem już wydać polecenia dotyczące rozlicznych zmian.

- No, mam nadzieję! - powiedział hrabia. Przede wszystkim, Heronie, skandalicznie zaniedbano wygląd mojej córki.

Urwał i po oliwili dodał:

- Wydaje mi się, że w tej sytuacji powinienem zabrać ją jutro ze sobą do Edynburga. Wyposażę ją w odpowiednie szaty, godne twojej żony, a także przedstawię ją królowi.

Tara szeroko otworzyła oczy.

- Przed...stawić mnie... kró...lowi? Z trudnością wymówiła te słowa.

Jako księżna powinnaś być przedstawiona królowi! - odrzekł hrabia. - A ponieważ król jest moim przyjacielem, wiem, że będzie takim spotkaniem ogromnie zainteresowany.

To będzie podniecające - rzekła Tara - lecz mam nadzieję, że... nie zrobię niczego takiego, przez co... musiałbyś się za mnie wstydzić... albo nie popełnię jakichś... kompromitujących błędów.

- Będę się tobą opiekował - powiedział hrabia - tak jak i moja matka, która mieszka w Edynburgu.

Twarz Tary jaśniała z podniecenia. Zwróciła się niepewnie do księcia.

- Czy... mogę... jechać? - zapytała. - Proszę, Wasza Wysokość, czy... mogę... jechać?

Spojrzał na nią i ujrzała, że jego oczy były tak samo ciemne i chmurne jak wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy.

- A czemużby nie? - zapytał zimno. - Nic cię tu nie trzyma.

Tara stała i patrzyła na swoje odbicie w lustrze myśląc, że to niemożliwe, iż spogląda na nią ta sama, niedożywiona sierotka, która usilnie starała się utrzymać porządek w sierocińcu i nieraz mdlała z głodu. Miała na sobie piękną suknię, z białego tiulu na wspaniałej białej satynie, którą kupiła jej babka. Prawie zapomniała o wytartej, szarej kretonowej sukience, którą wyrzucono, jak tylko przyjechała do Edynburga. Włosy ułożył jej zręczny fryzjer, a służące czekały, aby upiąć w nich diamentową przepaskę. Do niej przytwierdzono trzy białe pióra, będące znakiem księcia Walii. Tak ubrana miała zjawić się na uroczystej audiencji w pałacu Holyrood, gdzie zostanie przedstawiona królowi.

Król przybył 15 sierpnia do Leith na statku „Royal George” i Tara czuła, że podniecenie, które zalało Edynburg niby fala i jej się udziela. W zapomnienie na tę chwilę poszła szkocka nieufność i niechęć do Anglików. Zapomniano o okrutnych karach nałożonych przez zniechęconego księcia Cumberland po bitwie pod Culloden. Teraz wszyscy - i ci najważniejsi, i ci nic nie znaczący obywatele, szykowali się do powitania pierwszego angielskiego króla, który od czasów Karola II, składał wizytę w Szkocji.

Tara prawie nie widziała miasta od swego przyjazdu, ponieważ tak wiele czasu zajęły jej krawcowe. Napływały do domu jej babki nieprzerwanym strumieniem, aż doszła do wniosku, że najbardziej męczącym zajęciem z wszystkich jej znanych jest wielogodzinne stanie bez ruchu, podczas gdy

dopasowywano jeden strój po drugim. Rezultaty niewątpliwie wynagrodziły wszystkie jej cierpienia. Z każdym dniem przybywało jej odwagi i wiary w siebie, ponieważ tak bardzo zmienił się jej wygląd zewnętrzny. Poznała też nowego rodzaju szczęście: wszyscy byli dla niej ogromnie mili.

Wydawało się jej, że ojca pokochała od razu, jak tylko go zobaczyła. Całą drogę do Edynburga trzymali się za rękę. Opowiadał jej o swym dzieciństwie, cały czas wspominał jej matkę, a Tara w głębi duszy raz po raz dziękowała Bogu za odnalezienie swego miejsca w życiu. Wspaniale było dowiedzieć się, że ma babkę i wielu krewnych, którzy powitali ją z taką sympatią, że znikła gdzieś cała jej nieśmiałość.

Tylko nocami martwiła się o księcia. Zastanawiała się, czy jego rany się zabiły, a głowa przestała boleć. Wspomnienie o nim wciąż bolało. Nie mogła zapomnieć, że odesłał ją bez słowa żalu i nawet nie podziękował za pielęgnowanie go w chorobie. Nie spodziewała się jego wdzięczności, lecz ostatniego wieczoru na zamku znów zachowywał się tak, jakby jej nienawidził, podobnie jak w dniu jej przyjazdu.

Czasem budziła się nocą i marzyła, że znowu leży koło niego, obejmując go ramionami i odczarowuje ból głowy jak wtedy, gdy był ranny. Wtedy nie był straszny ani wyniosły, był jak mały cierpiący chłopiec, któremu chciała pomóc. Patrząc na siebie w lustrze zastanawiała się, czy gdyby teraz był przy niej, uznałby, że jest piękna! Potem pomyślała, iż pewnie zawsze będzie w niej widział tylko dziecko wychowane z łaski ludzkiej, którym posłużył się jako narzędziem zemsty.

- Przecież księżę przyjedzie do Edynburga na uroczystości? - pytano Tarę nie raz, lecz kilkanaście razy dziennie.

- Nie wiem, czy będzie się czuł na siłach - odpowiadała.

- Czyżby był chory?

- Miał wypadek, lecz mam nadzieję, że wyzdrowieje na tyle, aby dołączyć do mnie.

Uświadomiła sobie, że coraz łatwiej przychodzi jej unikanie trudnych pytań i prowadzenie rozmowy w sposób, który z pewnością zyskałby aprobatę jej ojca.

- Twoja matka musiała być bardzo śliczna - mówili jej krewni. - Zawsze zastanawialiśmy się, czemu Charles nigdy się nie ożenił, bo wiele było pięknych kobiet, które powitałyby go z otwartymi ramionami. A jednak jego serce przez tyle lat pozostało wierne pierwszej miłości.

To musi być wspaniałe uczucie, być tak kochaną - myślała Tara. I podczas gdy cieszyła się z zainteresowania swych nowych krewnych, gdy sama odczuła do nich sympatię w sercu, nie mogła uciec od myśli, iż chciałaby czegoś więcej w życiu - takiej miłości, jaką darzyli się jej matka i ojciec.

- Była taka odważna - powtarzała sobie - przeciwstawiła się nienawiści panującej między klanami, a w owych czasach nienawiść była znacznie bardziej zajadła niż dzisiaj. Gdyby żyła, może udałoby się jej doprowadzić do zawarcia pokoju.

Tak wzniosłe jej się to wydało, że aż krzyknęła.

Przypadek sprawił, iż powóz potracił jej matkę, a wypadek ten zapoczątkował łańcuch zdarzeń zakończony wprost niewiarygodnie - ślubem Tary i księcia.

Mam ogromne szczęście - pomyślała. - Mogłam iść na służbę do kogoś, kto by mnie źle traktował, albo mogłam zostać do końca życia w sierocińcu, gdzie umarłabym z przepracowania albo z głodu.

Zamiast tego znalazła się w Edynburgu, ubrana jak księżniczka z bajki, i za godzinę babka miała ją przedstawić Jego Wysokości, królowi Jerzemu IV.

Hrabina - wdowa wyglądała imponująco w sukni ze złotej lamy z trenem ozdobionym złotymi frędzlami. Na głowie

miała wspaniały diadem z pereł i brylantów. Lecz Tarze wydawało się, że ani ona, ani jej babka nie prezentują się tak wspaniale jak hrabia w galowym stroju McCraigów. Znała tylko jednego mężczyznę, który wyglądałby jeszcze wspanialej - był to książę.

Jadąc do pałacu Holyrood, nie mogła pozbyć się myśli, że chciałyby widzieć koło siebie księcia. Prezentacje miały rozpocząć się o drugiej w sali audiencyjnej i trwać do wpół do czwartej. Hrabia zdążył jej powiedzieć, że aż trzysta dam miało dostąpić zaszczytu przedstawienia Jego Królewskiej Mości i wszystkie musiały znaleźć się na swych miejscach przed jego przybyciem.

Król zatrzymał się w pałacu Dalkeith u młodego, bo zaledwie szesnastoletniego księcia. Do Edynburga eskortowała go, odzianego w mundur marszałka polnego Szara Gwardia Szkocka. Na pałacowym dziedzińcu stali na warcie Królewscy Łucznicy.

Sala, w której odbywały się prezentacje wywierała imponujące wrażenie, a damy przystrojone w pióra i brylanty przedstawiały wspaniały widok, tak samo jak gwardziści rozstawieni na galerii.

Gdy nadeszła chwila prezentacji, Tara poczuła się bardzo stremowana, lecz hrabina uśmiechnęła się do niej uspokajająco i powiedziała:

- Żadna z kobiet na tej sali nie wygląda piękniej niż ty, a byłabym dumna, gdybym mogła przedstawić twą matkę, tak jak mam przedstawić ciebie.

Tara długo ćwiczyła głęboki ukłon, który miała złożyć przed królem, ale nie była świadoma tego, jak wiele osób zauważyło swobodny wdzięk jej ruchów i piękno jej rudych włosów podtrzymywanych brylantową przepaską. Lecz musiałyby być bardzo niespostrzegawcza, by nie zauważyć, iż pojawienie się nowej księżnej Arkcraig spowodowało sensację

wśród całego zgromadzenia. Później ojciec powiedział jej, że zasypano go komplementami pod jej adresem.

Dopiero gdy prezentacje się skończyły i Tara wracała do domu, odczuła znowu żal, że nie było z nią księcia.

Zanim służące pomogły jej zdjąć szykowną suknię, spojrzała na swoje odbicie w lustrze, na tren z białej satyny przybrany tiulem, na elegancko upięte na głowie pióra. Przez miesiąc jej włosy bardzo urosły i ułożono je lak zmyślnie, że nikt nie domyślał się, jak krótkie były naprawdę. Zamiast swojego odbicia Tara zobaczyła przez chwilę własną twarz okoloną brzydkim szarym czepkiem i swe ciało odziane w niezgrabną suknię z szarego kretonu, z białym kołnierzykiem i ciężką czarną peleryną - strój, który obwieszczał całemu światu, że jego właścicielka żyła z łaski ludzkiej.

- Muszę o tym zapomnieć, to wszystko się skończyło! - powiedziała sobie. Po cóż wracać myślami do przeszłości?

A mimo to nie mogła uwolnić się od pytania: czy książę kiedykolwiek zapomni? Czy kiedykolwiek zobaczy w niej kogoś innego, niż to dziewczę, które sprowadził do Szkocji?

Następne dni po audiencji wypełniły uroczystości zorganizowane z okazji wizyty Jego Królewskiej Mości. Nieprzebrane tłumy ciągnęły na zamek z okolic, aby obejrzyć królewski korowód i wysłuchać wojskowej muzyki. Codziennie, od świtu do nocy, dobiegały uszu Tary dźwięki kobzy i wciąż drżała słysząc tę muzykę, jak wtedy gdy usłyszała ją po raz pierwszy. Teraz wiedziała, że nie zwiodły jej przecucia, że była Szkotką, a muzyka tego kraju była częścią jej samej.

Hrabia zabrał ją na Wielki Przegląd Konnicy, który odbył się 23 sierpnia na piaskach Portobello. Tam, obok Konnicy Szkockiej, w sile prawie trzech tysięcy ludzi, Tara zobaczyła Królewskich Łuczników, członków Stowarzyszenia Celtyckiego oraz przedstawicieli klanów. Gdy patrzyła jak

maszerują przed królem, pragnęła, aby to książę szedł na czele McCraigów, podobnie jak książę Argyll prowadził klan Campbellów. Jakby czytając w jej myślach, hrabia powiedział:

- Heron powinien tu być. Powinienem był nalegać na jego przyjazd.

- Zapewne jeszcze nie wyzdrowiał - odparła Tara.

- Przed tym przeklętym małżeństwem zjawiłby się tu bez względu na to, jak bardzo byłby chory! - rzekł popędliwie hrabia.

Potem, jakby uświadomił sobie, że zachował się nietaktownie, zapytał:

- Czy sprawiłem ci przykrość, mówiąc o tym?

- Nie, oczywiście, że nie - odrzekła Tara - lecz wydaje mi się, że jego nienawiść do Kildonnonów, która zapewne nasiliła się po tych zdarzeniach, źle wpływa na jego samopoczucie.

- Masz całkowitą rację - rzekł hrabia. - Nienawiść McCraigów do Kildonnonów zaciążyła nad całym moim życiem. Nie zniosę, abyś ty musiała cierpieć, jak ja, przez uprzedzenia i głupotę zrodzone z tej nienawiści!

Tara westchnęła krótko.

- I ja myślę tak samo, papo! Czy pomówisz z księciem i spróbujesz wytłumaczyć mu, że trzeba zapomnieć o przeszłości, a należy pomyśleć o przyszłości.

- Zrobię to - przyrzekł hrabia.

- Gdy przyjechałam do Szkocji, wiedziałam, że chcę pomagać ludziom biednym i żyjącym w ciemnocie powiedziała Tara. - Może teraz, skoro jestem twoją córką, przyjdzie mi to łatwiej. Ponieważ mama pochodziła z Kildonnonów, może oni będą bardziej skłonni mi zaufać.

- Wydaje mi się, że Kildonnonowie będą zdumieni i uradowani - stwierdził hrabia z uśmiechem - gdy dowiedzą się, że nowa księżna Arkcraig jest z nimi blisko spokrewniona.

A jednocześnie, wydaje mi się, że to dobrze, iż twój dziadek McCraig nie żyje!

- Cieszę się, że nie muszę się przed nim stawić.

- I ja również - przyznał się hrabia.

Oboje roześmiali się, lecz Tara zapamiętała sobie tę rozmowę i rozważała ją leżąc w łóżku.

Główną atrakcją uroczystości ku czci króla był bal, który zaplanowano na koniec wizyty. Parowie Szkocji koniecznie chcieli zapewnić władcy rozrywkę na najwyższym poziomie, a ponieważ żaden nie miał odpowiednio dużej sali balowej, przejęli na ten cel Salę Zgromadzeń w gmachu przy George Street. Ten wspaniały budynek mieścił dwie sale balowe oraz inne pomieszczenia wykorzystywane do gry w karty lub na niewielkie przyjęcia, a także tańce.

Od swego przyjazdu do Edynburga Tara nie słyszała, aby małżonki parów rozmawiały na jakikolwiek inny temat niż ów bal.

- Będzie to najwspanialsze widowisko w historii Szkocji - mówiła entuzjastycznie hrabina Elgin,

- Jeżeli nie zrobi wrażenia na Jego Królewskiej Mości - odrzekła markiza Queensbury - to znaczy, że już nic go nie wzruszy.

- Mogę was zapewnić - powiedział hrabia - że Jego Królewska Mość z niecierpliwością czeka na ten bal.

Gdy znalazł się sam na sam z Tarą, powiedział:

- I ja też czekam na to niecierpliwie, najdroższa moja, ponieważ tego wieczoru będziesz mogła pomówić z królem, a ja przedstawię cię wszystkim moim przyjaciółom. Jestem bardzo dumny z mojej córki.

- Byłeś dla mnie taki dobry, papo. Otoczył ją ramionami i ucałował.

- Jestem nieprawdopodobnie szczęśliwy, że cię odnalazłem i że ty cieszysz się z odnalezienia mnie.

- Nawet nie umiem ci powiedzieć, co to dla mnie znaczy - rzekła Tara łamiącym się głosem. - Wymyślałam sobie historyjki o moim ojcu, lecz teraz, gdy wiem, że istnieje naprawdę i jest osobą tak dystyngowaną i ważną - to jeszcze wspanialsze.

Hrabia zaśmiał się i ucałował ją jeszcze raz.

- Zapominasz, że ty sama jesteś teraz ważną osobistością, księżno Arkcraig.

Spostrzegł, że przez oblicze Tary przemknął cień i dodał niegłęboko:

- Modłę się, by twoje sprawy dobrze się ułożyły, moja najdroższa. Heron jest mi bliski od czasu, gdy był małym chłopcem. Ma w sobie wielkie zalety. Jest przywódcą i Wodzem, z którego McCraigowie mogą być naprawdę dumni.

Zamilkł na chwilę.

- Lecz chyba nie rozminę się z prawdą, jeśli powiem, że dotąd nie poznał swego serca.

- Pan Falkirk sądzi, że księżę nigdy nie kochał - powiedziała Tara.

- Jestem pewny, że to prawda - odrzekł hrabia lecz nie potrafię uwierzyć, aby ktoś przebywał dłużej w twoim towarzystwie, droga córko, i nie pokochał ciebie.

Tara nie uwierzyłaby w takie zapewnienie, gdyby nie tłumy młodych ludzi, którzy zbierali się wkoło niej, gorliwie prawiąc jej komplementy. Zaczynała rozpoznawać ten błysk podziwu w ich oczach i wiedziała, że dzięki temu zyskała pewność siebie, której brakowało jej kiedyś. Lecz gdy wracała do domu z płonącymi policzkami, roziskrzonymi oczyma i spoglądała w lustro, przypominała sobie mroczne spojrzenie księcia. Wówczas lękała się przyszłości!

Wieczorem, przed balem. Tara wcześniej udała się na górę, żeby się ubrać. Po kąpieli w miękkiej torfowej wodzie, pachnącej kwiatami, służące ubrały ją we wspaniałą suknię,

specjalnie wybraną przez hrabiego na tę okazję. Była biała, ponieważ hrabia stwierdził, iż na tle bieli jej włosy są najpiękniejsze, lecz biel ta połyskiwała srebrem. Gdy Tara poruszała się, miała wrażenie, że ubrano ją w księżycową poświatę i znowu zapragnęła, by ujrzał ją książę.

Fryzjer ułożył jej włosy według nowej i bardzo twarzowej mody.

- Wasza Księżęca Wysokość musi pozwolić im rosnąć - powiedział. - Nie wyobrażam sobie, jak można było zgodzić się, by je tak krótko przycięto. - Po czym dodał tonem graniczącym z naganą: - Mimo wszystko są bardzo ładne i gotów jestem założyć się, że na całej sali balowej nikt nie będzie mógł się równać z Waszą Wysokością.

- Dziękuję - uśmiechnęła się Tara.

Fryzjer odszedł i Tara spojrzała na klejnoty leżące na toalecie. Pożyczyła je Tarze babka, lecz ponieważ hrabina zakładała swój diadem, we włosach mogła upiąć tylko tę samą opaskę z brylantów, którą miała na sobie w wieczór prezentacji. Wzięła ją w dłoń i właśnie zamierzała zawołać służącą do pomocy, gdy ktoś zastukał do drzwi. Zanim Tara zdążyła wymówić słowo, drzwi otworzyły się i usłyszała, jak ktoś wchodzi do pokoju. Poznała, że to mężczyzna i myśląc, że to jej ojciec, powiedziała:

- Jestem prawie gotowa, papo.

Przybysz poruszył się. Zobaczyła jego odbicie w lustrze i zamarła. Przez chwilę myślała, że wyobraźnia spletała jej figla ukazując tę wspaniałą postać, żywcem wyjętą z jej snów. Potem odwróciła głowę i przekonała się, że to naprawdę książę. Zerwała się na nogi.

- Wasza... Księżęca... Wysokość! - Nie odpowiadał, gdy szła w jego stronę, bezładnie wyrzucając z siebie słowa: - Ja nie... spodziewałam się... ale to... cudownie, że... jesteś... Czy

dobrze się czujesz? Nie dokucza ci... rana? Mam nadzieję, że... podróż nie okazała się... zbyt męcząca!

- Czuję się dobrze, Taro - odrzekł książę. - Przywiozłem ci klejnoty, które musisz nałożyć dzisiejszego wieczoru.

Spostrzegła wówczas, że niesie w ręku jakieś skórzane pudełka i mechanicznie, prawie nieświadoma swoich czynów, wzięła je od niego.

- Klejnoty? - spytała nieprzytomnie.

- Szmaragdy Arkcraigów - odparł książę. - Są w rodzinie od stuleci. Sądzę, że uznasz je za odpowiedni dodatek do twojej toalety.

- Na... pewno - powiedziała Tara. - A ty... przyjdiesz na... bal?

- Zamierzam ci tam towarzyszyć.

Książę mówił zimnym tonem i zrozumiała, że coś wytrąciło go z równowagi.

Służąca taktownie wysunęła się z pokoju i gdy zostali sami, Tara odezwała się:

- Tak się cieszę... że zmieniłeś zamiary i... przyjechałeś do... Edynburga... Tak często... żałowałam... że ciebie tu nie ma.

Z jego twarzy wyczytała niedowierzenie.

- Uważałem za swój obowiązek spotkać króla.

- Papa będzie bardzo zadowolony. Tak często powtarzał, iż przypadlibyście sobie do gustu.

Książę milczał i po chwili Tara dodała:

- Jesteś... pewien, że... nie nadwreży to... zanadto twoich... sił?

- W zupełności. Zresztą, obowiązek uważam za ważniejszy od samopoczucia - odrzekł książę. - Jeśli dobrze zrozumiałem, cała ta gala zakończy się wraz z dzisiejszą nocą i jutro będę mógł zabrać cię z sobą do domu.

Mówiąc to odwrócił się i wyszedł tak niespodziewanie, jak się zjawił; Tara stała i patrzyła za nim. Nie umiała nazwać tego, co czuła, gdy pojawił się tak nagle. Wiedziała tylko, że pragnęła go widzieć, a on przyszedł!

Ponieważ obawiała się spóźnić, zadzwoniła na służącą i czym prędzej zabrała się do otwierania pudełek. Rzeczywiście szmaragdy McCraigów były nadzwyczajne i Tara była przekonana, że gdy je nałoży, zaćmi wyglądem wszystkie kobiety na balu. Jednocześnie nie opuszczała jej myśl o ich bajecznej wartości. Jeden kamyk z naszyjnika mógłby zapewnić sierotom wyżywienie na kilka miesięcy albo nawet lat. Przypomniało się jej, iż księżę powiedział, że gdy pojedą do Londynu będzie mogła kupić dzieciom zabawki.

- Teraz dopiero zaczynam zdawać sobie sprawę, że naprawdę jestem księżną Arkcraig - odezwała się w głos. - Będę więc mogła poprosić o wiele innych rzeczy.

W myślach zaczęła już sporządzać listę łóżek, chodników, przyborów kuchennych i setki innych rzeczy, których brakowało w sierocińcu. Aż drgnęła, uświadamiając sobie, że połowa klejnotów przyniesionych przez księcia jeszcze leży w pudełkach, a jej mąż, babka i ojciec będą musieli czekać na nią, aby wyruszyć do Sali Zgromadzeń.

Tara niewiele pamiętała z balu, poza tym że sala udekorowana była w tonacji białego - żółtego i stał tam tron przykryty karmazynową draperią. Obok rozmieszczono liczne sofy, na których zasiadła arystokracja szkocka rywalizująca o względy monarchy.

Chociaż Tarę powtórnie przedstawiono Jego Królewskiej Mości, a on rozmawiał z nią bardzo serdecznie, prawiąc jej ojcu komplementy na temat urody córki, ona sama bezustannie myślała o księciu.

Hrabia nalegał, ażeby zatańczyła narodowy taniec szkocki, którego uczono ją w czasie poprzedzającym królewski

przyjazd. Wirując po sali, Tara zastanawiała się, czy książę patrzy na nią i czy zauważył, że niektórzy panowie konkurują o przywilej partnerowania jej.

Gdy wracali wszyscy razem powozem do domu hrabiny, hrabia powiedział ciepło:

- Bardzo cię podziwiano dziś wieczór, kochanie moje, a sam król wspomniał, że jesteś najpiękniejszą osobą na sali.

- Dzięk...kuję - skłoniła się Tara, wyciągając ku niemu dłoń.

- Musisz być bardzo dumny ze swej żony, Heronie - zauważyła hrabina. - Edynburg uznał ją za piękność.

- Nie uszło to mojej uwagi - powiedział zimno książę.

Wczesnym rankiem następnego dnia wyruszyli w drogę powrotną do zamku. Tara była zdziwiona, że hrabia nie starał się zatrzymać jej w Edynburgu, a tylko powiedział:

- Heron jest twoim małżonkiem, najdroższa, i jeśli chce, abyś do niego wróciła, to musisz być mu posłuszna.

- Kiedy cię znowu zobaczę? - zapytała z żalem Tara.

- Szybciej, niż się spodziewasz - odrzekł hrabia. - Muszę popłynąć z powrotem z królem, ale jak tylko będę mógł, przyjadę na północ i zamierzam zatrzymać się na zamku, bez względu na to, czy mnie twój mąż zaprosi, czy nie!

- Oczywiście, że cię zaprosi!

- Może będzie wolał mieć cię tylko dla siebie.

Tara nie odpowiedziała. Ogarnęło ją przykre uczucie, że książę wcale nie chce mieć jej dla siebie, co więcej, wolałby, żeby w ogóle jej przy nim nie było. Pomimo to uparł się, by wracała z nim. Tara zastanawiała się, czy uważał, że za dużo plotek pojawiło się na jej temat w Edynburgu, ponieważ była tam sama, bez niego. Pomyślała, że jakakolwiek była tego przyczyna, książę raczej nie zwierzy się jej, więc będzie musiała sama się domyślić.

Miała takie mnóstwo bagażu do zabrania ze sobą, że nie zdziwiły jej dwa powozy czekające przed domem hrabiny. Nie spodziewała się jednak ujrzeć konia wierzchowego, przygotowanego dla księcia. Tara spoglądała na to skonsternowana.

- Nie powinieneś jechać konno! - wykrzyknęła. - To zbyt duży wysiłek! Wiesz, co powiedział doktor; przez kilka miesięcy powinieneś się oszczędzać.

- Oczywiście, że pojedę konno! - odparł książę. - Jedną rzeczą, której nie cierpię, to wielogodzinna jazda w ciasnym powozie!

- Zmęczysz się bardzo - nie dawała za wygraną Tara.

Nic na to nie odpowiedział, tylko odwrócił się od niej, by pożegnać się z hrabiną i hrabią.

- Byłeś u nas tak krótko, Heronie - powiedział hrabia - że nie miałem okazji, by ci pogratulować małżeństwa ani zdecydować, co dam zięciowi w prezencie ślubnym.

- Byłeś naprawdę hojny dla mojej małżonki. - Książę rzucił spojrzenie na niezliczone kufry, które jeszcze ładowano na drugi powóz.

- To dary dla mojej córki - rzekł hrabia. - Muszę pomyśleć o czymś, co przyda się wam obojgu. Będę się nad tym zastanawiał, starając się nie poddać chorobie morskiej na statku „Royal George”!

Obaj się zaśmiali. Hrabia objął Tarę ramionami i przytulił.

- Gdybyś tylko wiedziała, moja najdroższa córeczko, co to dla mnie znaczy, że ciebie odnalazłem! - powiedział. - Jest tyle rzeczy, których pragnąłbym dla ciebie, ale najbardziej ze wszystkiego chciałbym, abyś była szczęśliwa.

- Będę się starała - odrzekła Tara.

Wiedziała, że jej ojciec rozumiał, jak trudna była sytuacja między nią a księciem, i czuła się strasznie opuszczona, siedząc samotnie w powozie i machając ojcu i babce, póki nie

zniknęli jej z oczu. Księżę jechał przodem i mogła obserwować go przez okno i podziwiać, jak wspaniale wyglądał na koniu.

Jest taki przystojny, pomyślała. Papa ma rację: właśnie taki powinien być Wódz. .

I wtedy wydało się jej, że usłyszała drwiący głos:

- Wódz bez serca.

- On obawia się miłości po tym, co przytrafiło się mu w pierwszym małżeństwie - powiedziała do siebie Tara.

A jednak był tak przystojny, tak wspaniały, że nietrudno było sobie wyobrazić, iż każdą damę może przyprawić o przyspieszone bicie serca.

- Gdybym wiedziała więcej o mężczyznach i o życiu - szepnęła Tara, świadoma swej ignorancji.

Komplementy, które prawili jej panowie w Edynburgu, onieśmiały i żenowały ją. Z radością zamieniłaby je wszystkie na jedno miłe słowo księcia.

- Jest moim małżonkiem i chcę, by mnie polubił, chcę, żeby mnie podziwiał! Chcę, żeby uważał, że jestem ładna!

Nadal patrzyła na niego przez otwarte okno i wiedziała, że w całej zatłoczonej sali balowej ani w całym Edynburgu nie było mężczyzny, którego podziwiałaby bardziej niż księcia. Któż inny mógłby wzbudzać w niej takie uczucie, jak on, gdy zeszłej nocy wszedł do jej pokoju, przynosząc klejnoty, które miała założyć? Zdawało się jej, że serce skoczyło jej w piersiach i coś bardzo podniecającego rozkwitło w jej duszy. Jakby cały pokój nagle się rozjaśnił, ponieważ on tam był. Jak tylko zobaczyła jego odbicie w lustrze, zaparło jej dech.

- Tak mnie to zaskoczyło! - mówiła sobie.

Cały wieczór wyraźnie odczuwała jego obecność. Był w sali balowej, a ona nie umiała się skupić na rozmowie ze swymi partnerami i myliła kroki w tańcu. Nawet gdy rozmawiała z królem, myślami cały czas była przy księciu,

który stał obok nich. Zastanawiała się, czy podobałoby mu się to, co mówi, czy też nie i czy podziwiał ją, tak jak król.

Wszystko, co zdarzyło się w Edynburgu, było podniecające, ale poprzednia noc była inna. Inna, ponieważ koło niej stał książę, a jego obecność potęgowała jej odczucia.

Spał w pokoju obok. Gdy udawali się na spoczynek, zapragnęła zapytać go, czy mogłaby obejrzeć ranę na jego ramieniu i, może, zmienić opatrunek. Lecz on sam nie zaproponował tego, gdy razem wchodzili po schodach, a później usłyszała zdecydowany trzask zamykanych drzwi, w chwilę potem, jak zamknęła swoje. I wówczas wydało się jej, że dzieli ich coś znacznie większego niż ceglany mur.

- Jestem jego żoną - powiedziała na głos.

I pojęła, że chciała pójść do jego sypialni jak wtedy, gdy był chory, nie tylko z troski o jego zranione ramię. Chciała być z nim sam na sam, porozmawiać z nim.

Oparła się o siedzenie powozu, a konie niosły ich szybko po dobrych, solidnych drogach rozchodzących się z Edynburga.

Na szlaku zatrzymywali się na jeden nocleg. Gdy wreszcie stanęli w gospodzie, Tara była ogromnie zmęczona po nocy spędzonej na balu. Gospoda była znacznie skromniejsza od tych, w których nocowali z panem Falkirkiem w Anglii, w czasie swojej podróży na północ. ale mimo to była całkiem wygodna. Zapewne książę zamówił pokoje po drodze do Edynburga, gdyż oberżysta czekał na nich i mieli na swój użytek osobny salonik.

Tara umyła się, przebrała i zeszła na dół do oczekującego na nią księcia.

- Musisz być bardzo zmęczony powiedziała z troską w głosie. - Jestem przekonana, że zbyt długi czas spędziłeś w siodle.

- Jestem zmęczony, ale nie zanadto przyznał. - Do domu zajedziemy jutro wieczorem.

- A może pojedziesz ze mną jutro powozem? - zapytała nieśmiało Tara.

Mówiąc to wiedziała, jak bardzo pragnie, by się zgodził, nie tylko ze względu na jego zdrowie, ale ponieważ chciała być z nim razem.

- Zobaczę, jak się będę czuł - odrzekł wymijająco.

Wszedł spiesznie gospodarz niosąc obfity i smaczny obiad. Ponieważ w saloniku zaroilo się od służby, mogli rozmawiać tylko na ogólne tematy. Gdy wreszcie skończyli posiłek i książę usiadł wygodnie ze szklaneczką brandy w dłoni, Tara powiedziała:

- Tak... się cieszę... że przyjechałeś do... Edynburga.

- Dlaczego? - zapytał książę.

Jego pytanie wprowadziło ją w zakłopotanie.

- Tak wiele osób... pytało o ciebie... wypadało abyś... reprezentował... McCraigów.

- Jestem przekonany, że twój ojciec zastępował mnie godnie podczas mojej nieobecności. - Ale to nie to samo - szepnęła Tara. Ich oczy spotkały się i wydawało się jej, że on pyta o coś wzrokiem, ale nie umiała odgadnąć o co. Sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nagle zmienił zdanie.

- To ty musisz być zmęczona, Taro, tańczyłaś przecież całą noc, i to nie tylko wczoraj. Nie jesteś przyzwyczajona do takiego trybu życia. Idź, połóż się. Kiedy przyjedziemy na zamek, porozmawiamy o sprawach, które nas obojga dotyczą.

Oczy Tary rozszerzyły się, a ponieważ książę podniósł się z krzesła i ona wstała. Chciała zapytać go, co miał na myśli, chciała zostać, lecz on jakby od niechcienia uniósł jej dłoń do ust i już nie pozostawało jej nic innego, jak tylko dygnąć i odejść.

Dopiero gdy weszła do swojej sypialni, pomyślała z przerażeniem, że zapewne nie potrzebuje takiej żony i chce uwolnić się od niej. Prawie mogła sobie wyobrazić, jak wynajduje powody, by przenieść się do swego ojca, by opuścić zamek i zamieszkała w Londynie albo w Edynburgu.

- Czyżby to chciał mi zaproponować?

Cisnęły się jej do głowy pytania, na które nie umiała odpowiedzieć. Wiedziała jednak, że najbardziej ze wszystkiego na świecie pragnie pozostać na zamku!

Pragnęła zostać przy księciu, ponieważ go kochała!

ROZDZIAŁ 7

Gdy Tara ujrzała sylwetkę zamku rysującego się na tle nieba, poczuła, że zalewa ją fala radości z powrotu do domu.

Ze skłębionych, ciemnych chmur, którymi zasnuwane było niebo przez większość dnia, nagle lunął deszcz i od dobrej godziny zaczął z ukosa, niesiony zimnym wiatrem. Tara martwiła się coraz bardziej o księcia. Mimo że nieodwołalnie zdecydował się jechać konno, gdy opuszczali rankiem gospodę ciągle żywiła nadzieję, iż zmieni zdanie, gdy zmoknie, i dosiądzie się do niej do powozu. A jednak jechał przed powozem i jedyne, co mogła zrobić, to patrzeć na niego z troską, przez zamknięte okno, i trwać w nadziei, że się nie przeziębii. Nie potrafiła uwolnić się od myśli, że prawdopodobnie wolał szarugę niż jej towarzystwo, ponieważ nie chciał wdawać się z nią w rozmowę na osobiste tematy.

- Ale... ja muszę z nim pomówić... muszę! - mówiła sobie.
- Tak wiele musimy... zaplanować na... przyszłość.

Nawet wypowiadając te słowa wątpiła, czy rzeczywiście istnieje dla niej jakaś przyszłość w zamku, przy boku księcia. W nocy, gdy wreszcie przyznała się samej sobie, iż go kocha, ogarnęła ją rozpacz na myśl, że nigdy nie uda się jej rozproszyć mroku w jego spojrzeniu ani sprawić, by zależało mu na niej choć trochę. Nie oczekiwała od niego miłości, nie spodziewała się aż tak wiele. Pragnęła jedynie być z nim i dla niego, chciała rozmawiać z nim swobodnie i wesoło, jak tamtego dnia przed ich wyprawą na Ben Ark, gdzie niema! stracił życie.

- Wtedy byłam szczęśliwa - mówiła do siebie Tara. -
Szczęśliwsza niż kiedykolwiek w całym moim życiu.

Chociaż wydawało się to niewdzięcznością, wiedziała już, że nawet podniecający i radosny pobyt w Edynburgu z ojcem nie uszczęśliwił jej prawdziwie. Jestem zachłanna, bo chcę czegoś więcej - pomyślała.

Jednakże jej tęsknoty za księciem nie mogły złagodzić żadne słowa. Na myśl o nim całe jej ciało ogarniał tępy ból i pragnęła być blisko niego tak rozpaczliwie, aż zaczęła obawiać się przyszłości. Zapatrzona w księcia zobaczyła z ulgą, że gdy skręcili ku dolinie, odjechał w siekący deszcz. Zrozumiała, iż zamierza znaleźć się na zamku szybciej niż powóz, skracając sobie drogę przez wrzosowiska. Nie wątpiła, że był przemoczony do suchej nitki, i troska o niego nie pozwoliła jej w pełni radować się widokiem wysokich kamiennych murów i wież, nad którymi powiewał sztandar z książęcym godłem.

- Jestem w domu! - zaśpiewało jej w sercu, a jednocześnie jakiś obcy głos, zadał pytanie: - ...lecz na jak długo?

Pan Falkirk czekał na nią na schodach. Powóz zatrzymał się na podjeździe. Lokaj otworzył drzwiczki i Tara wyskoczyła, wyciągając do niego ręce.

- Witaj w domu! - powiedział i spostrzegła radość w jego oczach.

- Jakże wspaniale znowu być tutaj! - odpowiedziała szczerze.

- Jak się cieszę, że znowu cię widzę - odparł. - Wyglądasz wspaniale!

Tara, martwiąc się o księcia, zapomniała, że jej wygląd zaskoczy pan Falkirka. Miała na sobie modny kapelusik ' ozdobiony piórami i ładnie skrojony płaszcz z zielonego jedwabiu, zarzucony na harmonizującą z nim kolorystycznie suknię. Zupełnie nie przypominała sierotki, która wyjeżdżała trzy tygodnie temu z zamku.

Lecz myśli Tary były nieustannie przy księciu.

- A Jego Wysokość? Czy bardzo zmókł? - zapytała zmartwiona.

- Kazałem mu zdjąć przemoczone ubranie i wziąć gorącą kąpiel - odparł pan Falkirk.

Westchnęła z ulgą.

- Uparł się jechać konno, a nie w powozie.
- Mam nadzieję, że Jego Wysokość będzie na tyle rozsądny, że odpocznie przed kolacją. Ty powinnaś zrobić to samo.

- Ale tyle mam do opowiedzenia - protestowała Tara.
- Później będzie czas na opowiadanie - zapewnił ją pan Falkirk. - Jego Wysokość był tak uprzejmy, że zaprosił mnie na kolację z wami.

- Wspaniale! - wykrzyknęła Tara.
Jednakże, choć w jej głosie zabrzmiał entuzjazm, w duszy zastanawiała się, czy księżę dlatego wystąpił z zaproszeniem, że nie chciał być z nią sam na sam.

Pan Falkirk prowadził ją schodami, słuchając jej szczebiotu. Opowiadała, jak uprzejmy był król i jak wesoło świętowano w Edynburgu jego wizytę.

- Klany wyglądały wspaniale podczas Wielkiego Przeglądu Wojsk - powiedziała - ale tak żałuję, że to nie księżę prowadził McCraigów.

- Sądzę, że chciał ich prowadzić - rzekł pan Falkirk - ale po twoim wyjeździe naprawdę nie czuł się na tyle dobrze, by podróżować.

- Czyżby miał nawrót? - zapytała natychmiast Tara.
- Niezupełnie - odparł pan Falkirk. - Lecz sprawiał wrażenie przygnębnionego i smutnego. Hektor powiedział mi, że nie sypia dobrze. Podejrzewam, że cierpiał ból.

- Nie powinnam była go zostawiać - powiedziała Tara półgłosem, a potem usłyszała raz jeszcze dziwnie

- brzmiący głos księcia, który mówił: „Nic cię tu nie trzyma”.

W sypialni czekały na nią służące. Rozbierając się, myślała tylko o księciu, który był w sąsiednim pokoju. Miała nadzieję, że śpi, i bardzo pragnęła upewnić się, że . naprawdę

odpoczywa. I oz drzwi łączące ich komnaty wydawały się tak dobrze zamknięte, jakby przekrecono w nich klucz. Po kąpeli, gdy służące wyszły, długo patrzyła na te drzwi, zanim zapadła w sen.

Dwie godziny później obudziła się wypoczęta i wybrała jedną ze swych najpiękniejszych nowych sukien, aby włożyć ją na kolację z księciem i panem Falkirkiem. Weszła do Komnaty Wodza i zastała tam obu mężczyzn czekających na nią. Patrzyła w twarz księcia pragnąc ujrzeć w jego oczach wyraz podziwu podobny do tego, który zauważyła u swych wielbicieli w Edynburgu. Ku jej rozczarowaniu książę nie patrzył na nią, ale pokazywał panu Falkirkowi drukowany program wizyty królewskiej, wskazując wszystkie wydarzenia, przy których obecni byli McCraigowie. Tara poczuła się urażona jego brakiem zainteresowania, więc stanęła przed nim i oznajmiła:

- Pan Falkirk podziwiał moje nowe stroje. Mam nadzieję, że moja nowa suknia podoba się Waszej Wysokości. Miałam ją na sobie tylko raz i wówczas bardzo się nią zachwycano.

- Nie wątpię - odparł książę.

Z tej odpowiedzi trudno było wywnioskować, czy suknia mu się podoba, czy nie, a z wyrazu jego twarzy nie wyczytała niczego. Rozczarowana, wdała się w rozmowę z panem Falkirkiem, świadoma, że jedyną osobą, z którą miała ochotę rozmawiać, był jej mąż.

Gdy zaanonsowano kolację, przeszli do jadalni. Tara zauważyła, że kucharze poczynili specjalne starania, aby nadzwyczajnymi potrawami uczcić jej przyjazd. Usiłowała skosztować wszystkiego, co podano, ale nie umiała skupić się na jedzeniu, gdy każdym nerwem swego ciała czuła bliskość siedzącego nie opodal księcia. Pomyślała, że nie wygląda na bardzo zmęczonego, chociaż była pewna, że po dwóch dniach jazdy konnej zmęczony być musi. Wydawało się jej też, choć

nie była tego zupełnie pewna, że cieszy się z powrotu do domu. Kochała go i uważała, iż powinna odczuwać nie tylko stany jego ducha, ale też znać jego myśli.

Podmuch wiatru załomotał oknami i Tara powiedziała do pana Falkirka:

- Cieszę się, że księżę i ja dziś wieczór nie jesteśmy na Ben Ark!

- Spodziewam się, że ogrzałaabyś Jego Wysokość tak samo jak wtedy i nie dałabyś mu zmoknąć - odrzekł.

Księżę spojrzał na Tarę.

- Czy po tym, jak mnie postrzelono, padał deszcz? - Tak... była prawdziwa ulewa.

- A jednak nie dałaś mi zmoknąć. Jak?

Policzki Tary zaczęły płonąć. Nie mogła spojrzeć na księcia. Czekał na jej odpowiedź, więc po chwili powiedziała cicho:

- Z...zakryłam cię... moją... peleryną.

- I trzymałaś mnie w ramionach?

- T...tak.

Przelekła się, że uzna to za impertynencję. Lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, rozległ się wysoki, słodki dźwięk kobzy!

Po skończonej kolacji i krótkiej rozmowie w Komnacie Wodza Tara zdecydowanie wstała.

- Sądzę, że oboje jesteśmy zmęczeni po dwóch dniach w drodze - powiedziała do księcia. - Jestem przekonana, że powinieneś odpocząć.

Czuła, że rozgniewała go jej troska o niego, więc szybko, zanim mógł rzec coś, co sprawiłoby jej przykrość, ukloniła się panu Falkirkowi, a gdy podnosił jej dłoń do warg, zapytała:

- Czy cieszy się pan, że wróciliśmy?

- Zamek wydawał się pusty, gdy was nie było - odparł.

W jego głosie brzmiała szczerłość. Tara uśmiechnęła się.

- Dziękuję - szepnęła, czując że słowa jego dodały jej otuchy przed nocą.

Pani McCraig roznieciła ogień na kominku w jej komnacie. Deszcz, gnany północnym wichrem, siekł w okna.

- Od dwóch dni jest zimno, Wasza Wysokość - powiedziała. - I jak słyszę, w Edynburgu pogoda też nie dopisała.

- Jego Królewska Mość zmókł kilka razy - odparła Tara. - Mam nadzieję, że księżę nie zaziębi się przez tę jazdę w deszczu.

- Jego Wysokość nigdy nie przejmował się zbyt pogoda - powiedziała uspokajająco pani McCraig.

Otworzyła drzwi, dygnęła i życzyła Tarze dobrej nocy. Gdy wyszła, pokój zdał się bardzo cichy. Tara zdmuchnęła świece i położyła się do łóżka. Nie miała ochoty na czytanie. Jej oczy zatrzymywały się na drzwiach do komnaty księcia. Czy choć pomyślał o niej, zanim udał się na spoczynek? Przypomniały się jej czasy, gdy pielęgnowała go, zmieniając opatrunek na jego ramieniu, . czuwała u jego boku uspokajając go, gdy się rzucał w gorączce. Zastanawiała się, czy on także to pamiętał?

Teraz już mnie nie potrzebuje, pomyślała z rozpaczą i nie wiedziała, co sobie powiedzą następnego dnia.

A jeżeli oznajmi jej, że może zamieszkać u ojca, jeżeli ma takie życzenie? Posmutniała, bowiem wiedziała, iż nie będzie mogła wyjawić mu prawdziwej przyczyny, dla której chce zostać na zamku. Jak może powiedzieć mu o swojej miłości? Czy on jest w stanie zrozumieć, iż choć sprowadził ją wbrew jej woli, teraz wypełniał całe jej życie, myśli, duszę, że nie było tam już miejsca dla nikogo innego.

- Kocham go! Kocham go! O Boże, kocham! Spraw, żeby on okazał mi choć trochę uczucia! - modliła się. - Niech

zapragnie, abym została choć po to, żebym przyczyniła się do zbliżenia klanów, by zaprzestały walki.

Modląc się zamknęła oczy i tak zatopiła się w modlitwie, że gdy je znów otworzyła, błyszczały w nich łzy.

I nagle znieruchomiała, bowiem niepostrzeżenie w komnacie pojawił się książę. Widziała go, jak stał w drzwiach łączących ich pokoje. W świetle padającym z kominka zobaczyła, że ma na sobie dobrze zapamiętany ciemny szlafrok. Przez chwilę nie mogła złapać oddechu, ani się odezwać. Wreszcie książę powiedział:

- Głowa mnie boli. Tara usiadła na łóżku.

- Wcale mnie to nie dziwi. Jak mogłeś być tak niemądry i jechać konno całe dwa dni, kiedy doktor powiedział, że masz na siebie uważać jeszcze przez kilka miesięcy?

Książę nie odpowiedział, tylko przycisnął dłoń do czoła.

- Odczaruję ból, tak jak to czyniłam poprzednio - powiedziała Tara. - Czy zechcesz usiąść w fotelu?

- Zimno mi, a w moim pokoju nie ma ognia - odrzekł książę.

- Na pewno się przeziębilesz! - wykrzyknęła Tara. - Połóż się do łóżka i nakryj pierzyną. Ja dorzucę do ognia.

Mówiąc to wyskoczyła z łóżka i podeszła do wielkiego kominka. Z kosza stojącego obok wzięła polano. Zapomniała, że nie ma już na sobie grubej perkalowej koszuli jak te, które nosiła całe swe życie, ale na marszczoną szatę z najcieńszej bawełny, rozszywaną koronką, jaką kupił jej ojciec w Edynburgu. W świetle padającym z kominka przez cienką materię widać było wszystkie krągłości jej ciała. Dołożyła kilka drew do ognia, potem zwróciła się ku łożu. Podeszła i przekonała się, że książę leży nie z brzegu, co chciała mu zasugerować, lecz na samym jego środku. Patrzyła na niego zakłopotana, bo łóżko było za szerokie, żeby mogła sięgnąć jego czoła, siedząc na krawędzi.

- Sądzę, że będziesz musiał przesunąć się bliżej brzegu - zauważyła.

- Byłoby mi wygodniej, gdybyś mnie wzięła w ramiona jak wtedy, gdy byłem ranny na szczycie Ben Ark, i wtedy, gdy wracałem do przytomności.

Policzki Tary zapłonęły.

- Ja... nie wiedziałam, że... ty... wiesz, co się... dzieje - wyjąkała nieskładnie.

- W ten sposób najłatwiej było ci masować mi czoło. Tak jak i teraz - powiedział. - Zresztą, mimo ognia, tu ciągle jest zimno.

- No dobrze - zgodziła się Tara, czując, że musi go posłuchać.

Zamierzała położyć się na wierzchu, ponieważ on leżał pod pierzyną, ale w jakiś sposób, nie wiedziała jak, znalazła się w pościeli i książkę naciągnął na nich nakrycie. Wspierała się o poduszki, a on ułożył głowę na jej piersi. Trzymała go tak samo jak wówczas, gdy był nieprzytomny. Tylko że teraz jedno z jego ramion opasywało jej kibić. Wówczas troszczyła się o niego, ponieważ był chory. Teraz, mówiąc sobie, że chce jedynie uśmierzyć jego ból, mimo wszystko poczuła dreszcz podniecenia, który wstrząsnął nią do głębi. Właśnie dlatego że leżała blisko niego, a głowa jego opierała się o nią, jak wtedy.

Muszę być ostrożna i nie dać mu poznać, że czuję się inaczej niż wówczas - ostrzegła siebie.

Położyła palce na jego czole i łagodnie przesuwała nimi od brwi po włosy, jednostajnym rytmem. W przeszłości przekonała się, że w ten sposób udaje się złagodzić jego ból.

- Tak lepiej - powiedział zadowolonym głosem - o wiele lepiej!

- Musisz bardziej uważać na siebie. Pan Falkirk mówił mi, że wcale nic czułeś się na tyle dobrze, aby pojechać do Edynburga.

- Nie było ciebie tutaj i nie mogłaś powiedzieć mi, co mam robić - odrzekł książę.

- Może... źle postąpiłam... zostawiając ciebie... samego - powiedziała Tara. - Ale wydawało mi się, że masz się o wiele lepiej i nie... chciałeś mnie.

Nie udało się jej ukryć bólu w głosie, gdy wymawiała ostatnie słowa. Nie potrafiła wymazać z pamięci rozgoryczenia, które niby głęboka rana nie dawało o sobie zapomnieć.

Nie odpowiedział, więc po chwili zapytała:

- Czy boli cię jeszcze ramię?

- Ramię nie - odparł. - Czuję ból w sercu. Tara drgnęła.

- W sercu? To może być poważne. Czy powiedziałeś doktorowi?

- Nie.

- Od jak dawna cię boli?

- Od dawna. Od kiedy wyjechałaś.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, gdy byliśmy w Edynburgu? Tam są specjaliści w każdej dziedzinie medycyny i mógłbyś udać się do nich po poradę.

- Żaden by mi nie pomógł.

- Skąd możesz wiedzieć? Czyżby było aż tak źle?

- O tak. To prawdziwa męczarnia!

Ramiona Tary zacisnęły się wokół niego; jej palce zsunęły się z jego czoła.

- Słuchaj - nalegała - tak dalej nie może być. Proszę, pozwól mi zadzwonić na służbę, żeby stajenny pojechał po doktora.

- Już ci powiedziałem: on mi nie pomoże.

- Wobec tego, cóż możemy zrobić? - zapytała bezradnie Tara.

- Myślałem, że może tobie się uda mnie uleczyć.

- Ja... zrobię wszystko... wszystko, aby uśmierzyć ból.

- Na pewno?

Nagle księżę podniósł się i wsparł na łokciu, tak że Tara nie trzymała go już w ramionach, tylko opadła na poduszki, on zaś spoglądał na nią z góry. Trudno było rozeznaczyć wyraz jego oczu, ponieważ zasłonił sobą kominek. Tara, wciąż myśląc o jego chorobie, powiedziała:

- Nie wolno ci dłużej cierpieć. To może być... niebezpieczne. Ja muszę... coś zrobić!

- Myślałem, że tak właśnie powiesz - odrzekł księżę.

- Więc... co mogę zrobić?

Zadając to pytanie uświadomiła sobie, że jego twarz znalazła się tuż nad nią i poczuła się - jakby przesłonił jej cały świat - dziwnie słaba i bezbronna. Już nie ona panowała nad sytuacją, lecz on. Spojrzała w górę na niego, chcąc zobaczyć jego oczy. Pojęła, że to jego bliskość sprawia, iż serce rozpaczliwie trzepoce się w jej piersiach.

- Czy muszę wyrazić to słowami? - zapytał księżę.

Pochylił głowę i przyłgnał ustami do jej warg. Przez chwilę zbyt była zdumiona, aby poruszyć się, czy oddychać. Potem, gdy ją całował, poczuła, że świat się zatrzymał i nie istnieje nic, prócz cudownego objawienia jego ust. Jej myśli rozpięzchły się i wiedziała tylko, że jej ciało ogarnęło uczucie tak wspaniałe, tak ekstatyczne, że żaden opis mu nie sprosta. Przeniknęło ją niczym złote promienie słoneczne, niczym tęcza widziana nad doliną. Blask ten oślepił, drżała przejęta jego pięknem. Już nie była sobą, lecz częścią migocących barw, które w niepojęty sposób były od księcia, promiennego i wspaniałego. Nigdy w swym szarym, samotnym życiu nie zaznała czegoś podobnego. Nie zdawała sobie sprawy, że człowiek może czuć się niby rozkwitający kwiat, który otwiera się na nieopisane ciepło i czar. Wiedziała, że to miłość; ta miłość, którą ukochała księcia, tak potężna, jakby

była częścią słońca, niebios i dumy z tego, że jest Szkotką. Książę uniósł głowę.

- Czy teraz rozumiesz? - zapytał niskim, głębokim głosem.

- Ja... ja bałam się, że chciałeś mnie... odesłać.

- Odesłać ciebie? - powtórzył. - Zabrałem cię do domu, ponieważ nie mogłem bez ciebie wytrzymać chwili dłużej.

- Czy to... prawda?

- Jak mogłaś kiedykolwiek pomyśleć o odejściu ode mnie, wiedząc, jak bardzo cię pragnę?

- Skąd miałam... o tym wiedzieć? - zapytała Tara. - Nigdy mi nie... powiedziałaś. Powiedziałaś, że... nic mnie tu nie trzyma.

- Byłem wściekły, że chciałaś wyjechać, chociażby z twym własnym ojcem. Jesteś moja, Taro. Ja sprowadziłem cię do Szkocji, ja cię poślubiłem.

- Ale nie... chciałeś mnie - wyszeptała Tara. - Byłam jedynie... narzędziem twojej... zemsty.

- To było pierwszą przyczyną - zgodził się książę. - Lecz gdy opiekowałam się mną, uświadomiłem sobie, że z każdym dniem jesteś mi droższa, niż ktokolwiek w całym moim życiu.

Tara westchnęła.

- Gdybym... wiedziała. Książę zaśmiał się cicho.

- Bronilem się przed tą miłością, jak tylko umiałem. Chciałem dalej walczyć o zemstę. Ale ty oczarowałaś mnie albo jeżeli wolisz: rzuciłaś na mnie urok!

- Ja... nie mogę uwierzyć!

Słowom towarzyszył urwany szloch. Wreszcie Tara dodała:

- Jestem taka niedouczone... czy będziesz mnie uczył... żebyś nie musiał się... za mnie wstydzić?

- Nigdy nie będę musiał się za ciebie wstydzić, kochanie moje - odparł książę. - Ale jest tak wiele rzeczy, których chciałbym cię nauczyć.

- Jak... kochać cię, tak jak ty pragniesz... być kochany.

- Pragnę tylko, abyś wzięła mnie w ramiona i przycisnęła do piersi, dała mi czar swego dotyku i miękkości swoich warg.

- Właśnie o tym... marzyłam... lecz wydawało mi się, że... uznasz to... za impertynencję.

- Lecz teraz wiesz, że uważam to za najwspanialszą rzecz, która mi się w życiu przytrafiła.

Tara zaszłochała ze szczęścia. Wargi księcia przesunęły się po jej policzku. Znów zapragnęła, aby pocałował ją w usta.

Nagle krzyknęła z cicha.

- Co się stało? - zapytał.

- Właśnie przyszło mi na myśl... że klątwa... przestanie działać.

- Jaka klątwa? - zdziwił się książę.

- Klątwa klanu, która spadłaby na twą głowę, gdybyś wziął żonę nie z McCraigów.

Książę roześmiał się.

- Nie wierzę, że słuchałaś tych niedorzeczności, które wykrzykiwała do mnie ta wstrętne starucha?

- Pan Falkirk też nazwał to niedorzecznością - powiedziała Tara - ale gdy postrzelono cię na szczycie Ben Ark i trzymałam cię w objęciach, żebyś nie zmókł, bałam się... strasznie się bałam, że... przekleństwo może... cię zabić.

- Nie wierzę w klątwy - odrzekł książę - ale wierzę w ciebie, moja ty najdroższa, i wiem, że jesteś wszystkim, czego pragnąłem i czego nigdy nie spodziewałam się znaleźć.

- Księżna Margaret zginęła - Tara nie dawała za wygraną - ciebie postrzelił Kildonnon, a to wszystko dlatego, że... nie wzięłaś żony z McCraigów.

- Teraz już wziąłem - rzekł książę.

- Przypadkowo - odparła. - Mogłam rzeczywiście okazać się tym, za co mnie miałeś - Sassenach.

- Jeżeli dajesz wiarę klątwom, uwierz w przeznaczenie - rzekł książę. - To przeznaczenie, droga moja, sprawiło, że przybyłaś do mnie z sierocińca. To dzięki przeznaczeniu Charles odnalazł swą zaginioną córkę.

Jego wargi dotykały kącika ust Tary, gdy mówił gwałtownie:

- Jeżeli twojemu ojcu wydaje się, że odbierze mi ciebie, to myli się ogromnie!

- On chce, abym była... szczęśliwa - szepnęła Tara. Mówiła z wysiłkiem, ponieważ drżała pod dotykiem warg księcia i pod dotykiem jego dłoni. Nigdy nie wyobrażała sobie, że można doznawać tylu dziwnych i wspaniałych wrażeń, które teraz ogarniały jej ciało niby płomienie - intensywne aż do bólu, a jednocześnie przepajające niezwykłym szczęściem.

- I uczynię cię szczęśliwą? - zapytał.

- Pragnę jedynie... być z tobą... patrzeć na ciebie... słuchać twego głosu mówiącego do mnie, wiedzieć, że choć trochę... zależy ci na mnie.

- Kocham cię! - rzekł z przekonaniem książę. - Taro, tych słów nie powiedziałem wcześniej żadnej kobiecie. Kocham cię! Nie wiem, jak to się stało, lecz gdy pojechałaś do Edynburga, zabrałaś ze sobą me serce. Ból jego utraty był nie do opisanania!

- Postaram się... uśmierzyć... ten ból - wyszeptała Tara.

Znów przyłgnał wargami do jej ust i Tarze zdawało się, że to cudowne uczucie, które ogarnęło ich oboje, było jak muzyka kobzy, unosząca się ponad zamkiem i stapiająca się z dzikim, pięknym krajobrazem.

Ogień przygasał, lecz w świetle rozżarzonych popiołów książę widział złociste błyski na lokach Tary.

- Czy jesteś szczęśliwa, kochanie moje? - zapytał.
- Tak szczęśliwa, że czuję, jakbym cała była pieśnią... to takie wspaniałe.
- Jesteś taka łagodna, słodka i kochana, że strasznie boję się, iż cię stracę. Czy jesteś pewna, że nadal mnie kochasz?
- To samo pytanie chciałam tobie zadać, ponieważ jesteś tak wspaniałą, wyjątkową i ważną, iż nie mogę uwierzyć, że należę do ciebie.
- Jesteś moja i kocham wszystko, co ciebie dotyczy, nie tylko twą urodę... a jesteś najpiękniejszą osobą, jaką kiedykolwiek widziałem. Kocham twoją dobroć, wyrozumiałość i chyba najbardziej twoje współczucie... nawet dla Kildonnonów.
- Czyżbyś zapomniał? - zaczęła Tara i uświadomiła sobie, że książkę żartuje.
- Przyciągnął ją do siebie.
- Musimy połączyć klany - powiedział. - Masz rację, zupełną rację uważając, że musimy położyć kres walkom, kres waśniom i zemście między naszymi ludźmi.
- Pocałował ją i ciągnął dalej:
- Jutro pojedziemy złożyć wizytę The Kildonnonowi i powiemy mu, kim naprawdę jesteś. Choć jestem przekonany, iż już o tym wie.
- Czyżby ktoś już mu powiedział? Książę roześmiał się.
- Nie rozumiesz, ukochana moja, że w Szkocji wszelkie wieści roznosi wiatr? Nie trzeba nam gazet. Wszyscy o wszystkim wiedzą niemal w chwilę po tym, jak się to wydarzy. Jestem pewien,' że The Kildonnon będzie już wiedział, iż w żyłach księżnej Arkcraig płynie jego krew.
- I twoja - dodała szybko Tara. - Jestem w połowie McCraigówną.

- Jesteś moją żoną i poza tym nic nie jest ważne - odrzekł książę. - Cała należysz do mnie i nie podzielę się tobą z nikim, do jakiegokolwiek klanu by należał.

- Chcę... abyś tak właśnie... czuł. Czy to rzeczywiście... prawda? Ze kochasz mnie, że jestem tutaj, na zamku, blisko ciebie?

Prawie zatkała.

- A jeśli... obudzę się i to okaże się... tylko cudownym snem, a ja będę w... sierocińcu, gdzie dzieci płaczą, bo brakuje jedzenia... na śniadanie?

Książę przycisnął ją do siebie, tak mocno, że prawie nie mogła oddychać.

- Nie śniesz, najdroższa moja. Leżysz w moich ramionach i nigdy już nie będziesz samotna ani głodna.

Ucałował jej oczy i dodał:

- Dzięki nam sierociniec będzie wzorem dla innych. - Zawsze będę go błogosławił za to, że istniał, że należał do naszej rodziny, bowiem w innym razie może nigdy bym cię nie odnalazł.

- A gdyby mnie... oddano na służbę... gdy miałam dwanaście lat? - zaszepotała Tara.

Książę musnął wargami jej skórę.

- Ten plan obmyślił ktoś o wiele od nas potężniejszy - powiedział łagodnie. - Z pewnością tak samo myśli twój ojciec.

- Jest taki szczęśliwy, że mnie znalazł, i wierzy, że to Bóg pozwolił nam się spotkać.

- Kazałaś mi zapomnieć przeszłość, prześliczna moja - powiedział książę. - Lecz ty też musisz o niej zapomnieć. Mamy razem tak wiele do zrobienia w przyszłości.

- Wiesz, że zrobię... wszystko... o co mnie poprosisz.

- To niemało - odrzekł. - Gdy wyjechałaś do Edynburga, zrozumiałem, jak bardzo samotne życie prowadziłem tutaj.

Tyle osób ode mnie zależało, tak wiele miałem zajęć, lecz w myślach byłem osamotniony, kochanie, a moje serce było zimne.

- Już nigdy to się nie powtórzy - szepnęła Tara. - Będę kochać cię... zawsze... bez granic i każdą... cząstką siebie. Nikt inny nie istnieje. Wypełniasz całe moje życie.

- To właśnie chciałem usłyszeć - odparł książę - lecz ostrzegam cię, moja śliczna zoneczko, będę bardzo zazdrosny.

Spojrzała na niego z uśmiechem, ledwo dostrzegalnym w świetle kominka.

- Zazdrosny? - zdziwiła się.

- Jesteś zbyt piękna - odrzekł. - Gdy zobaczyłem cię w Edynburgu, zrozumiałem, że nie zostawię cię tam ani na dzień dłużej. Za dużo tam pokus.

Tara zaśmiała się łagodnie.

- Wielu jest przystojnych mężczyzn, lecz żaden nie przypomina... ciebie. Wciąż myślałam, że zaćmiłbyś wszystkich mężczyzn w pałacu, na sali balowej, na przeglądzie wojsk.

Książę objął ją mocniej ramionami i znowu całował, całował jej usta, szyję, ramiona, wreszcie różane piersi.

- Kocham cię! - powiedział z naciskiem. - Pragnę ci wciąż to powtarzać, ale nie ma słów, by wyrazić, co do ciebie czuję ani jak bardzo cię potrzebuję.

- Jak ja... potrzebuję cię - szepnęła Tara. - Lecz tak bardzo się obawiam, że... cię rozczaruję.

- Nigdy mnie nie rozczarujesz, ponieważ należymy do siebie. Twoja krew jest moją krwią, twoje serce moim sercem, ale istnieje coś jeszcze, najdroższa moja, coś, co wypływa z samych dusz naszych, coś, co usłyszałaś w muzyce kobzy.

- I ja... to samo myślałam.

- Myślmy tak samo i jesteśmy tacy sami - powiedział książę. - Dlatego nieważne, jak wielkie będą przeszkody,

problemy, z którymi przyjdzie nam się zmierzyć, przezwyciężymy je, ponieważ odnalazłszy się nawzajem, uzupełniliśmy siebie.

Tara westchnęła ze szczęścia.

Potem, ponieważ księżę znowu ją całował, namiętnie i natarczywie, nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o nim.

Ich miłość była niczym tęcza, otoczyła ich wzniosłym blaskiem, niosąc nadzieję klanom.